

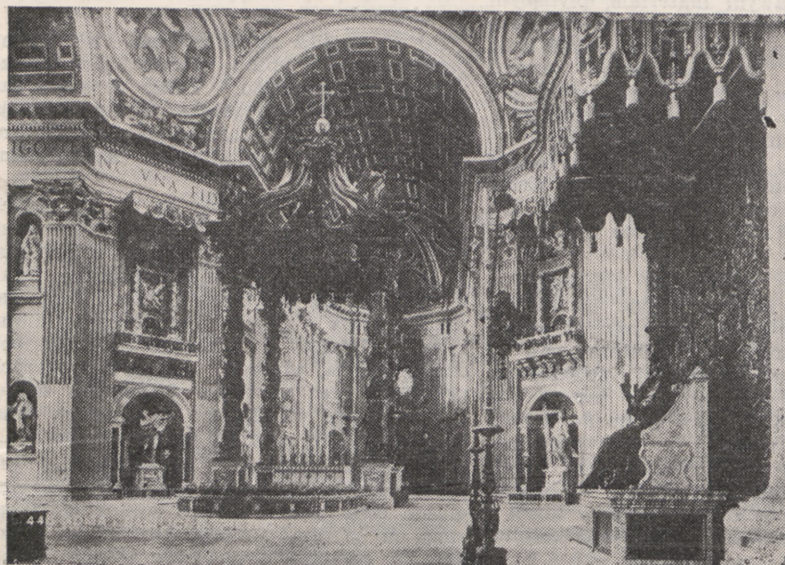
ŻYCIĘ

ROK XII Nr 6 (555)

LONDYN, CZERWIEC 1958 R.



CENA 3/-



Bazylika n a o p o c e w mieście Piotra i Pawła

«...I wy również dokładajcie wszelkich starań, abyście wiarę waszą ugruntowali na enocie, a cnotę na umiejętności. Umiejętność zaś na powściągliwości, powściągliwość na cierpliwości, cierpliwość na pobożności, pobożność na miłości bratniej, a miłość bratnią na miłości Bożej.» (II Piotr, 1, 5-7)

«Tak, abyśmy już nie byli chwiejącymi się dziećmi, unoszonymi każdym podmuchem wiatru nauki przez złość ludzką i przez podstęp wiodący do błędu, ale byśmy czyniąc prawdę w miłości wzrastali we wszystko w tym, który jest głową, tj. w Chrystusie.» (Efez. 4, 14-15)

«Nie kłamcie jedni wobec drugich, boście zwlekli z siebie starego człowieka z uczynkami jego, a przyoblekli się w nowego, który wciąż się odnawia ku doskonalszemu poznaniu na wzór tego, który go stworzył. W tym odnowieniu nie masz poganina ani żyda, obrzezanego czy nieobrzezanego, barbarzyńcy i Scyty, wolnego i niewolnika, ale wszystko i we wszystkim Chrystus.» (Kol. 3, 9-11)

«...Jeśli językiem w zrozumiały sposób nie przemówicie, jakże kto zrozumie, co się mówi? Na wiatr mówić będziecie.» (I Kor. 14, 9)

Dobro ogółu u św. Tomasza — DR FELIKS W. BEDNARSKI, O.P.

Profesor Adam Żółtowski — WŁADYSŁAW WIELHORSKI

Diagnoza i nadzieja — DR TADEUSZ STARK

Starzy i młodzi — TERESA SKÓRZEWSKA

Człowiek walczy z rakiem — DR WIKTOR TOMASZEWSKI

CHRZEŚCIJANIN DOSKONAŁY — HENRYK C. SLIWIŃSKI ■ MONTHERLANT — PISARZ KATOLICKI? — ZDZISŁAW E. WAŁA-SZEWSKI ■ WIERSZE — ZYGMUNT ŁAWRYNOWICZ ■ CHRZEŚCIJAŃSKA SYNTEZA NASZYCH DZIEJÓW — MARIAN KUKIEL

ŻYCIE

KATOLICKI MIESIĘCZNIK
SPOŁECZNO-KULTURALNY

ROK XII NR 6 (555)

Czerwiec 1958 r.

SPIS TREŚCI:

- PÓŁROCZE — S. G. (str. 2)
DOBRO OGÓŁU U ŚW. TOMASZA — O. F. W. Bednarski, O.P. (str. 3)
PROFESOR ADAM ŻÓŁTOWSKI — Prof. W. Wielhorski (str. 5)
DIAGNOZA I NADZIEJA — Dr T. Stark (str. 6)
CHRZEŚCIJANIN DOSKONAŁY — H. Cz. Słowiński (str. 8)
MONTHERLANT — PISARZ KATOLICKI? — Z. E. Wałaszewski (str. 10)
SŁOWO O BELLOCU — W. T. (str. 12)
STARZY I MŁODZI — T. Skórzewska (str. 13)
KŁĘSKA WIEKU — R. Jasieńczyk
WIERSZE — Z. Ławrynowicz (str. 16) (str. 15)
Życie Kraju: Z PRASY I ŻYCIA — J. K. (str. 18)
Życie międzynarodowe: OFENSywa REWIZJONISTÓW — S. C.; PŁODNY WSTYD — S. C. (str. 19)
STEFAN WYRZYKOWSKI — J. Kisielewski, A. Dargas (str. 20)
Nasze sprawy: POSTAWA KATOLICKA W TRUDNYCH CZASACH — Polonus (str. 21)
DZIAŁALNOŚĆ NAUKOWA MARIANA SMOLUCHOWSKIEGO — T. Felsztyn (str. 22)
Książki: CHRZEŚCIJANSKA SYNTEZA NASZYCH DZIEJÓW — M. Kukiel (str. 24); WRZEŚNIOWCY — J. B. (str. 24); FUTURE TO LET — J. B. (str. 25)
CZŁOWIEK WALCZY Z RAKIEM — Dr W. Tomaszewski (str. 26)
Po lepkach: KAFEJKI — J. B. (str. 28)
NA WYSTAWIE W BRUKSELI — J. Pomorska (str. 28)
PRAWNIK-ARTYSTA — S. L. (str. 29)
Listy i uwagi: A. WASUNG, KS. A. GUZY, R. SYSKI, J. POMORSKA, A. JAROSINSKI, I. DWORZANSKI (str. 30)

PODZIĘKOWANIE

Zdjęcie posągu św. Józefa-Robotnika na okładce majowego numeru ŻYCIA zawdzięczamy przyjaznej uczynności redaktora „Catholic Herald”, Michael de la Bedoyere, który kłiszę wypożyczył ŻYCIU bezpłatnie. Posąg jest dziełem irlandzkiego rzeźbiarza John Haugh. Wykonany został z drzewa. Ufundowali go byli i obecni uczniowie Katolickiego Kolegium Robotniczego w Dublinie dla Kolegium, które dzisiaj kształci ponad 900 uczniów na kursach wieczorowych.

PÓŁROCZE

Ukazuje się szósty numer ŻYCIA-miesięcznika. Minęło pół roku od decyzji zmiany. Jakie wnioski można wyciągnąć z tego półrocza?

Rozrósł się zespół przyjaciół. Spora garść nazwisk, dawnych i nowych, paru autorów z Kraju, pokazała się na łamach pisma. Odezwało się wiele głosów życzliwej zachęty i pożytecznej, szczerej krytyki. Dostaliśmy kilkanaście wartościowych artykułów...

Ale, powiedzmy to otwarcie, ŻYCIE nie stoi przed radosnym kłopotem przebijania w żywym i ciekawym materiale, płynącym niewymuszoną strugą. Zaledwie gdzieniegdzie przerwana została cisza, którą nazwaliśmy „najgroźniejszym, bo bezpłodnym stanem rzeczy”. Numerów rozchodzi się nieco więcej niż parę miesięcy temu, ale ciągle niewiele; deficyt, chociaż mniejszy, trwa i ciąży... — Bilans pierwszego półrocza nie daje jeszcze wyraźnej odpowiedzi na pytania: czy pismo jest potrzebne? czy narzędzie, jakim być może i powinno, zostało uznane i zaprzęgnięte do roboty?

W styczniowym prospekcie pisaliśmy m. in.: „...Dążeniem naszym będzie, by ŻYCIE stawało się w możliwie konkretnym sensie wyrazicielem stanowiska, zainteresowań i potrzeb katolickiej inteligencji polskiej na emigracji. Tam, gdzie procesy jeszcze nie dojrzały, pismo winno być pomocne w formułowaniu stanowiska i precyzowaniu zainteresowań i potrzeb. Ambicją naszą wspólną — to jest pisma i czytelników — będzie, by ŻYCIE było platformą wymiany myśli i informacji z ośrodkami inteligencji katolickiej w Kraju...”

Pisaliśmy dalej — po omówieniu merytorycznych zadań pisma — z trzeźwą i uzasadnioną, jak się okazuje, ostrożnością: „...Realizacja tych dążeń następować będzie z konieczności stopniowo, jak każde dzieło zbiorowe. Sukces eksperymentu, trwanie i rozwój ŻYCIA w nowej postaci jako miesięcznika, będzie zależał nie tylko od wysiłków redakcji i pomocy bliższych i dalszych kręgów przyjacielskich, ale także od postawy czynnego zainteresowania ze strony czytelników, a więc społeczeństwa, które pismo wesprze poparciem moralnym i materialnym. ŻYCIE — przyszłość pisma to test podwójny: po pierwsze — zawartość jego łamów odpowie na pytanie, czy znajdują się na emigracji pióra chętne, by dać nie tylko „katolicki” materiał, ale katolickie spojrzenie na rzeczy, by wychodząc z katolickich założeń ogarnąć najistotniejsze zagadnienia nas interesujące; po drugie — jeżeli miesięcznik znajdzie echo i poparcie, będzie to znaczyło, że emigracji, a zwłaszcza inteligentom na emigracji, problematyka katolicka jest bliska, a jej chwytnie i pogłębianie potrzebne...”

Po pół roku pracy nad zdaniem tego „testu”, rezultaty są bardzo cząstkowe i trzeba powtórzyć niektóre pytania:

czy i gdzie są jeszcze pióra chętne i zdolne?

gdzie są czytelnicy, których zainteresowanie i poparcie jest niezbędnym elementem sukcesu?

gdzie są dalsze zastępy polskiej inteligencji katolickiej?

czy nieliczne jednostki i niewielkie gromadki skupione dokoła pożytecznych, ale nie popieraných inicjatyw, są jedyną świadomą, myślącą i działającą częścią kato-

lickiego społeczeństwa, poza tym grzęznące w letargu?

Gdzie i jak szukać odpowiedzi na dalsze, aktualne pytania: czy potrafimy reagować zbiorowo na przejawy napierającej na nas rzeczywistości? brać udział, jako zbiorowość, w formułowaniu stanowiska? czy chcemy poruszać zagadnienia ważne i rozwiązywać je w wysiłku zbiorowym? czy zamierzamy się włączyć w nurt współczesnego życia katolickiego, czy też dopuszczamy, że tylko niektóre jednostki zanurzać się w nim będą, przy obojętności reszty, stojącej na uboczu?

Od odpowiedzi na te pytania, ze strony przewodników i opinii, zależeć będzie dalszy rozwój eksperymentu. Także w sensie zupełnie materialnym zależy od tego decyzja co do wspierania finansowego placówki, zanim stanie się przynajmniej samowystarczalna...

Zdajemy sobie sprawę, że na wszystkich inicjatywach, opartych o dobrowolny wysiłek zbiorowy, ciężą poprzednie zaniechania, zmarnowane okazje, niedostateczne wyniki. Nie od razu dokonywa się mobilizacja zaufania, wiary w pożytek i skuteczność inicjatywy. — Ufajmy, że niezaprzeczony dorobek dziesięciolecia, wierność idei, powrót starych przyjaciół oraz uzyskane dotychczas zachęty i obietnice współpracy z szerokiego świata powinny być gwarancją dla nieufnych...

Jest inna trudność. Zainteresowanie, poparcie, czynna postawa czytelników dająca głośnie echo pismu — nie wystarczą. Pisać mogą ci co pisać umieją, których zdolności dają im możliwość wypowiedzenia myśli i dążeń tych i za tych, którzy potrafią czytać i oceniać i wcielać w życie, ale napisać nie potrafią. — W tej sprawie możemy tylko odwołać się do poczucia odpowiedzialności obdarzonych talentem pisarskim. Odpowiedzialność to tym większa, im więcej nagromadziło się zagadnień wymagających wydobycia, naświetlenia, dyskusji i wniosków.

W Kraju dokonywa się mobilizacja społeczeństwa katolickiego na ogromną skalę. Pomimo tylu zawiędzonych nadziei, kluby inteligencji katolickiej stają się siłownikami myśli i czynu. To hasło zjednoczenia dla roboty pozytywnej, policzenia się i zwielokrotnienia sił w zbiorowym działaniu — hasło „Klubu Inteligencji Katolickiej” powinno być podjęte na obczyźnie.

Trzeba budzić z letargu, przeciwstawić „kapliczkom” szeroki front, pobożnym westchnieniom i kameralnym rozważaniom — chóralną modlitwę i publiczną dyskusję, prowadzącą do pospolitego ruszenia i zbiorowego, uporządkowanego działania wszystkiego co żywe w polskim społeczeństwie katolickim, włącznie z młodymi, których paraliż starszych pokoleń często odpycha.

Od tego zależy przecież wykonanie najpilniejszego obowiązku pomocy dla Kraju, pomocy wszechstronnej, obejmującej także wzajemną wymianę wartości (jeśli nas na to stać) i studiowanie, na rzecz Kraju, dorobku katolickiego w wolnym świecie.

W tej robocie ŻYCIE chce i może służyć. Żeby mogło służyć, trzeba pismo zapełnić żywą treścią, tę treść wykorzystywać, mnożyć odbiorców pisma, zapewniając tym samym naszemu zbiorowemu narzędziu siłę moralną, intelektualną i materialną.

S. G.

DOBRO OGÓŁU U ŚW. TOMASZA

Od wielu stuleci zarówno w teorii jak i w życiu narodów toczy się walka pomiędzy indywidualizmem a totalizmem. Ponieważ zagadnienie to jest w dzisiejszych czasach bardzo aktualne, warto je naświetlić pod kątem widzenia nauki św. Tomasza, którą Kościół katolicki zalecił jako bezpieczny i pewny drogowskaz pośród bezdroży współczesnych prądów filozoficznych i społecznych. Szczególniej warto zbadać sens słynnego powiedzenia Akwinata, że „dobro ogólne jest wyższe od dobra prywatnego, jeśli są tego samego rodzaju” (STh, 2-2, q. 152, a. 4, ad 3).

Co św. Tomasz rozumie przez „dobro ogólne”?

Dobro u św. Tomasza zasadniczo utożsamia się z doskonałością; jest bowiem czymś godnym pożądania. „Godnym zaś pożądania jest coś o tyle o ile jest doskonałym, gdyż każde jestestwo pożąda swej doskonałości” (STh I, q. 5, a. 1). Zasadniczo więc dobrem dla każdego jestestwa jest to co stanowi jego doskonałość; ubocznie zaś to, co jest warunkiem lub następstwem jej osiągnięcia.

Doskonałość zaś może być dwojaka; podstawowa i wtórna. Pierwszą, czyli podstawową jest doskonałość tej twórczej siły, która stanowi o naturze danego jestestwa, zwanej przez filozofów średniowiecznych *forma*; w człowieku np. tą twórczą siłą, czyli formą, jest dusza. Doskonałością wtórną natomiast jest cel, którym jest już to działanie jestestwa, już to coś co osiąga się przez to działanie. Doskonałość podstawowa jest przyczyną i źródłem doskonałości wtórnej, wtórna zaś jest celem doskonałości podstawowej (STh I, q. 73, 1).

Ponieważ działanie jest wewnętrznym celem każdej natury, ostatecznym zaś celem, a więc takim, który jest celem wszystkich innych celów, a nie środkiem do jakiegoś innego celu, musi być dobro najwyższe i najdoskonalsze, czyli takie, które by zaktualizowało całą potencjalność jestestwa i tym samym uszczęśliwiło je, osiągając to co jest celem wszystkich jego działań i dążeń, dlatego ostatecznym celem wewnętrznym czyli immanentnym każdego jestestwa jest najdoskonalsze działanie w stosunku do najdoskonalszego dobra, jakie przez to działanie da się osiągnąć. Takim najwyższym ostatecznym celem immanentnym jest szczęście, czyli najwyższy i pełny „*d o b r o b y t*” w etymologicznym znaczeniu tego wyrazu („był dobry”). Najdoskonalszym zaś dobrem wszelkiego jestestwa jest Bóg. Dlatego według św. Tomasza Bóg jest przedmiotowym bezwzględnie ostatecznym celem wszelkiego jestestwa, i tym samym wszelkiego zbioru jestestw, jakim jest społeczność, podczas gdy szczęście, polegające na zjednoczeniu się z tym Najwyższym Dobrem, aktualizującym całą potencjalność jestestwa ku doskonałości, jest ostatecznym celem przedmiotowym czyli immanentnym. Na tej podstawie, powiada Akwinata, że „Bóg jest powszechnym dobrem całego wszechświata” (In I. Cor.), że: „wszelkie stworzenie dąży do osiągnięcia właściwej mu doskonałości, będącej podobieństwem do Boskiej doskonałości i dobroci. Tak więc dobroć Boża jest celem wszechrzeczny” (St I, 65, a. 4).

Ustaliwszy, jak należy rozumieć dobro ogółu, jako najwyższy cel przedmiotowy wszelkiego jestestwa i wszelkiego zbioru jestestw, możemy przejść do określenia, co św. Tomasz rozumie przez do-

bro ogółu w znaczeniu podmiotowym, a więc w znaczeniu działania najdoskonalszego, przez które jestestwo osiąga bezwzględnie ostateczny cel przedmiotowy i jednoczy się z nim. Otóż taki cel, jakim jest sam Bóg, da się osiągnąć w sposób doskonały jedynie na drodze nadprzyrodzonej; w sposób zaś niedoskonały przez zespół wartości wytworzonych pracą człowieka dla udoskonalenia swej natury w postępowaniu zgodnym z bezwzględnie ostatecznym celem czyli przez kulturę moralną, która jest właśnie zespołem takich wartości, a szczególnie cnót czyli sprawności moralnych. A więc kultura moralna jest podmiotowym celem wszelkiego człowieka czy jakiegokolwiek zbioru ludzi, i to celem nadrzędnym w stosunku do wszystkich innych celów ziemskich, podporządkowanym jedynie celowi bezwzględnie ostatecznemu. Tym samym kultura moralna to prawdziwy „był dobry”, czyli dobrobyt zarówno jednostki, jak i społeczeństwa, i w tym znaczeniu jest dobrem ogółu.

Skoro dobrobyt społeczeństwa to jego „*b y t d o b r y*”, a był dobry dla jestestw żyjących to życie dobre, życie zaś jest zasadniczo dobre gdy jest zgodne z właściwym sobie celem, wobec tego dobrobyt społeczeństwa polega zasadniczo na życiu zgodnym z właściwym celem człowieka, czyli na kulturze moralnej, gdyż życie jest moralnie tylko wtedy dobre, gdy jest usprawione cnotami, a na takim właśnie usprawieniu polega moralna kultura. Stąd wynika, że dobro ogółu w znaczeniu podmiotowym to zasadniczo kultura moralna, jako wewnętrzny przyrodzony cel każdego społeczeństwa i jego najwyższa doskonałość. (In I Eth. n. 29; In 3 Pol. 7, n. 14.)

Wszystkie inne wartości czy ich zespoły w postaci tzw. kultury gospodarczej, fizycznej, artystycznej czy umysłowej, doskonaląc naturę tylko pod pewnym względem, a nie zasadniczo, nie mogą stanowić najwyższej doskonałości człowieka ani jego ostatecznego celu. Niemniej wchodzą w zakres dobra ogółu — czyli ogólnego dobrobytu — przynajmniej ubocznie, gdyż normalnie stanowią konieczne warunki i zespół środków niezbędnych do osiągnięcia kultury moralnej. Brak bowiem kultury gospodarczej prowadzi do biedy a nawet nędzy, a jedna i druga wywołują chorobę i utratę zdrowia; bez zdrowia zaś niesłychanie trudno tworzyć kulturę umysłową, sprawnie poznawać prawdę i tworzyć duchowe piękno, a bez tego jest niemniej trudno tworzyć kulturę moralną. Dlatego św. Tomasz mówi, że „jest rzeczą oczywistą, iż brak zdrowia może człowiekowi przeszkadzać w wykonywaniu czynności jakiegokolwiek cnoty” (STh I-II, q. 4, a. 6).

Należy jednak zaznaczyć, że tylko w teorii, a nie w życiu, można oddzielać kulturę fizyczną, techniczną, czyli gospodarczą, oraz naukę i sztukę od kultury moralnej. Kultura jest tylko jedna: doskonalenie natury pracą człowieka. Pełna zaś doskonałość natury człowieka to kultura moralna. Próba oddzielenia jej od wpływu na całe życie lub uniezależnienia od niej tego co nazywamy kulturą fizyczną czy techniczną, nauką czy sztuką, byłaby podobną do próby uzdrowienia człowieka przez odcięcie mu głowy od tułowia.

Ponieważ kultura moralna, stanowiąca

istotę dobra ogółu społeczności, polega na organicznym zespole sprawności moralnych czyli cnót, a duszą i twórczą mocą wszystkich cnót jest miłość Boga i bliźnich w Bogu. Jest rzeczą zrozumiałą, że miłość jako stałe usposobienie woli by innym czynić to co ich doskonalą, tj. to co dla nich naprawdę dobre, odgrywa zasadniczą rolę w prawdziwym dobrobycie społeczeństwa. Jej owocem jest zgoda, a więc jedność serc (jak wyraża łaciński odpowiednik tego wyrazu: „*concordia*”) oraz jedność pożądań w stosunku do wspólnego celu, czyli pokój. Ważną rolę w dziedzinie dobrobytu ogółu odgrywa również roztropność, sprawiedliwość społeczna oraz wielkoduszność. Roztropność, gdyż jako sprawność w wyszukiwaniu i stosowaniu jak najlepszych środków dla osiągnięcia właściwego celu życia rodzi wewnętrzny porządek, podział pracy i planowość działania; sprawiedliwość społeczna — jako sprawność, doskonaląca ludzi w podporządkowywaniu swych czynów dobru ogólnemu — jest ostoją i niezbędną więzią życia społecznego i jego dobrobytu. Sprawiedliwość społeczna jest z tego powodu najbardziej istotną dla społeczności, która musi się rozlecieć z chwilą, gdy ludzie, z jakich się składa, zaprzestaną podporządkowywać swe czynności dobru ogółu. Ważną rolę odgrywa między innymi sprawnościami także wielkoduszność, która doskonalą obywateli społeczeństwa w dążeniu do tego co naprawdę wielkie w zakresie którejkolwiek cnoty, w sposób zgodny z rozumem.

Skoro dobro ogółu zasadniczo polega na zespole sprawności moralnych, to staje się jasne, że takie wartości, jak pokój, porządek i planowość działania, są tylko koniecznymi następstwami prawdziwego dobrobytu społecznego, czyli moralnej kultury społeczności; wszelkie zaś inne gałęzie kultury: kultura techniczno-gospodarcza, fizyczna, artystyczna, naukowa — to jedynie warunki istnienia dobra ogółu:

„Do ustanowienia dobrego życia społeczności potrzebne są trzy rzeczy: po pierwsze, by dać jej jedność pokoju; po drugie, by społeczność zjednoczoną więzią pokoju skierować do dobrego działania; i po trzecie, by przez zapobiegliwość rządu dostarczyć środków koniecznych do dobrego życia”. (De Reg. Princ. 1, 15.)

Przy takim rozumieniu dobra ogółu w nauce św. Tomasza, jasnym się staje jego uzasadnienie arystotelesowskiej tezy, że dobro ogółu jest wyższe od dobra jednostki i że jemu właśnie, to znaczy dobru ogółu, trzeba podporządkować całe życie prywatne — o ile jest tego samego rzędu. (In I. Eth., n. 30.) Nerwem tego uzasadnienia jest zasadnicza własność dobra, mianowicie jego rozprzestrzenianie się i udzielanie. Dobro jest celem i dlatego jest tym większe, im bardziej rozciąga się i obejmuje coraz większą ilość osób. Otóż dobro całej ludzkości, pojętej jako organizm obejmujący wiele państw, najbardziej urzeczywistnia ten ideał dobra.

Wyższosc dobra ogółu jest racją podporządkowania mu całego prywatnego życia człowieka i jego osobistych celów. Dowód św. Tomasza można streścić w następujących słowach:

Kto bez podporządkowania swych osobistych celów dobru społeczności nie może o-

sięgnąć właściwego sobie bezwzględnie ostatecznego celu swej osobowości i swego życia, ten jest obowiązany podporządkować swe osobiste cele dobru ogółu, obowiązkiem bowiem każdego jest czynić to, co jest niezbędne do osiągnięcia ostatecznego celu. Otóż każdy człowiek jako cząstka społeczności jest właśnie w tym położeniu, że nie może osiągnąć właściwego sobie celu życia bez podporządkowania swych osobistych celów ogólnemu dobru społeczności, gdyż bez sprawiedliwości społecznej, która tego właśnie podporządkowania wymaga, nie mógłby mieć prawdziwej kultury moralnej. A więc każdy człowiek jako cząstka społeczności jest obowiązany do podporządkowania swych osobistych celów dobru społeczeństwa.

Każdy człowiek jest cząstką społeczności, czyli zespołu wielu osób zjednoczonych z sobą na całe życie potrzebą uporządkowanego współdziałania przez odpowiedni podział pracy dla osiągnięcia tego samego celu, którym jest wspólne dobro (C. Imp. 2, 8). W myśl tego określenia społeczność zasadniczo winna być zbiorowością samowystarczającą w tym zakresie, jaki jest konieczny do zapewnienia możliwości rozwoju życia ogółu osób, z których się składa. Ze względu na tę samowystarczalność społeczności i brak jej ze strony poszczególnych ludzi, jednostki mają się tak do całości jak to co niedoskonałe, do tego, co doskonałe: „Każda bowiem część jest podporządkowana całości jak to co niedoskonałe temu, co doskonałe i dlatego każda część z natury jest dla całości... Każda zaś poszczególna osoba z natury ma się tak do społeczności jak część do całości“ (STh 2-2, q. 64 a. 2).

Spółeczność jest całością heterogeniczną, czyli taką, której forma całości nie jest substancjalną siłą twórczą (formą) poszczególnych składników, jak to np. zachodzi w wodzie, w której każda kropla spełnia definicję H₂O, tj. ma tę samą formę co całość; w społeczności natomiast jest inaczej, gdyż społeczność nie jest całością homogeniczną, jak woda, bo jednostki, z których się składa, mają odrębną, właściwą sobie istność, a mianowicie substancjalną moc twórczą, którą jest rozumna dusza. Jest więc rzeczą jasną, że człowiek nie pod każdym względem jest częścią tej całości, jaką jest społeczność, ale tylko ze względu na wrodzoną mu potrzebę współdziałania dla dobra ogółu, skoro bez takiego współdziałania nie mogłoby istnieć życie społeczne, a bez życia społecznego ludzkość musiałaby zginąć.

Życie człowieka, od pierwszej chwili jego ukazania się na świecie, jest bezustannie zagrożone przez tysiące sił gotowych w każdej chwili zniszczyć jego kruche istnienie i tylko zbiorowy wysiłek całej społeczności może ocalić go od nieuchronnej zguby. Żaden człowiek bez pomocy społeczeństwa nie zdołałby się utrzymać przy życiu, lecz musiałby zginąć tuż po swym urodzeniu, gdyż rodzi się w postaci nagiego, całkowicie nieodolnego i bezbronnego niemowlęcia. Tak więc samo prawo natury wymaga istnienia społeczności, i tym samym, podporządkowania jej osobistych celów i spraw jednostek w tej mierze, w jakiej to jest konieczne do urzeczywistnienia jej podstawowych zadań: ochrony życia i wychowania jednostek, z których się składa.

Ale człowiek jest nie tylko cząstką społeczności i dlatego nie pod każdym względem ma być jej podporządkowany. Społeczność bowiem jest całością heterogeniczną, tj. taką, w której forma całości, czyli jej twórcza siła nie jest substancjalną formą poszcze-

gólnych jednostek, a więc tym co stanowi o ich naturze. Dlatego Akwinata dochodzi do następującego wniosku:

„Człowiek nie jest podporządkowany społeczności politycznej całkowicie i ze względu na wszystko co do niego należy, ...lecz wszystko czym człowiek jest oraz wszystko co potrafi zrobić i co posiada należy podporządkować Bogu“ (STh 2-2, q. 21, a. 4, ad. 3m).

Z tej tezy wynika, że człowiek winien Bogu podporządkować siebie i wszystkie swoje osobiste cele i sprawy, skoro nie pod każdym względem jest cząstką społeczności, ale za to pod każdym względem zależy od Boga, któremu zawdzięcza swe istnienie i swą naturę wraz z jej twórczymi siłami rozwojowymi i zdolnością prawidłowego działania skierowaną do bezwzględnie ostatecznego celu życia ludzkiego. Jeśli społeczność potrafi coś zdziałać, to tylko dzięki tym siłom, które Bogu zawdzięcza, a skoro ostatecznym celem społeczności jako zbioru jednostek jest również Bóg, staje się rzeczą oczywistą, że Bóg jest ostateczną racją obowiązku podporządkowania się społeczności, a równocześnie zasadą wyznaczającą miarę i granice tego podporządkowania, gdyż ostateczny cel jest miarą i sprawdzianem potrzeby i wartości wszystkich innych celów.

Może się jednak zdarzyć, że człowiekowi w pewnych wypadkach nie będzie wolno podporządkować osobistych celów i spraw dobru ogółu, a mianowicie wtedy, gdy chodzi o cel bezwzględnie ostateczny lub o cele i środki bezwzględnie konieczne do osiągnięcia ostatecznego celu. Jeśli przez dobro ogółu rozumie się nie bezwzględne dobro wszechświata, jakim jest Bóg, ale dobrobyt społeczeństwa, wówczas tego rodzaju cel jest tylko względnie, czyli pod pewnym względem ostateczny i musi być podporządkowany celowi bezwzględnie ostatecznemu pod grozą rozsadzenia wewnętrznego porządku, którego zasadą jest właśnie bezwzględnie ostateczny cel. Podobnie jak w organizmie ludzkim, gdy serce bić przestanie, wszystko w ciele rozprzega się i ulega zepsuciu, tak i w życiu jednostki i społeczeństwa wszystko się rozprzega z chwilą zamarcia tego, co jest jakby sercem i sprężyną życia duchowego, a mianowicie miłości do Boga jako ostatecznego celu. Ani więc poszczególnej jednostce ani całej społeczności nie wolno czynić tego co jest sprzeczne z bezwzględnie ostatecznym celem, gdyż tego rodzaju działanie byłoby zapaleniem dynamitu pod samym fundamentem ludzkiej kultury. Nie wolno więc dla „dobra“ społeczności popełnić grzechu, np. dokonać zbrodni politycznej, by w ten sposób pozbyć się kogoś, kto wydaje się w poprzek stawać dobrobytowi danej społeczności. Dobry bowiem cel nie uswięca złych środków.

Ale zdarza się także, że niekiedy na rzecz niższego dobra ogółu należy poświęcić wyższe dobra jednostki, a mianowicie wtedy, gdy z jednej strony owe wyższe dobra nie są w danych warunkach konieczne do osiągnięcia bezwzględnie ostatecznego celu, a z drugiej strony — poświęcenie tego wyższego dobra jest konieczne do ratowania życia lub zdrowia, czy nawet bardzo ważnych dóbr gospodarczych lub umysłowych, względnie technicznych i artystycznych, jeśliby ich utrata mogła równocześnie narazić społeczność na niebezpieczeństwo utraty lub zrujnowania moralnej kultury tej społeczności, a pośrednio znacznej części jednostek, z których się składa.

Dążenie do bezwzględnie ostatecznego celu nie tylko wymaga, ale wprost polega na miłości Boga i bliźniego. Prawdziwa zaś miłość bliźniego to stałe pogotowie woli, by czynić to co dobre dla drugich, co ich doskonali, a tym samym, by usuwać z ich drogi to co im szkodzi lub prowadzi do ich zguby. Skoro więc bez tej gotowości, by w razie potrzeby w miarę możliwości nieść chętną pomoc bliżnim, nie można osiągnąć właściwego celu życia ludzkiego, ani nawet być chrześcijaninem w pełnym znaczeniu tego słowa — gdyż istota chrześcijaństwa to właśnie miłość — ani, co więcej, być człowiekiem prawdziwie kulturalnym, bo prawdziwa kultura to zespół sprawności moralnych, których duszą jest miłość — jest rzeczą jasną, że w celu niesienia tej pomocy trzeba niejednokrotnie przerwać na jakiś czas nawet modlitwę czy nabożeństwo, a prawie zawsze: trzeba wyrzec się własnej przyjemności, czy korzyści materialnej, gdy tylko tego wymaga dobro bliźniego lub tym bardziej dobro ojczyzny. Wszak ojczyzna to nie innego jeno zespół bliźnich związanych z sobą na całe życie wspólnotą kultury, historii oraz pochodzenia z tego samego kraju wraz z jego przyrodą i sztuką. Kto więc nie kocha własnej ojczyzny, czyli w praktyce nie czyni tego co jest potrzebne dla jej dobra, ten nie jest ani dobrym chrześcijaninem, ani nawet prawdziwie kulturalnym człowiekiem. Św. Tomasz z Akwinu nie ma najmniejszej wątpliwości, że „jest aktem cnoty, gdy ktoś naraża własne życie na niebezpieczeństwo dla ogólnego dobra Rzeczypospolitej — tak duchowego jak i doczesnego“ (STh 2-2, q. 26, a. 3).

Tak więc dochodzimy do wniosku, że według Akwinaty dobro ogółu społeczeństwa polega zasadniczo na jego moralnej kulturze, ubocznie zaś na tym co jest warunkiem lub następstwem kultury moralnej, a więc na kulturze umysłowej, fizycznej, gospodarczo-technicznej. A skoro kultura moralna jest dobrem wyższym i nadrzędnym w stosunku do wszystkich innych dóbr doczesnych, należy jej podporządkować wszystkie inne wartości, które o tyle są dobre, o ile odpowiadają człowiekowi jako człowiekowi, gdy są zgodne z jego rozumną naturą i tym samym z jego ostatecznym celem. Dobru ogółu należy zatem podporządkować wszystkie doczesne i przyrodzone cele i sprawy osobiste łącznie z życiem, jeśli dobro ogółu tego naprawdę wymaga. Nigdy jednak nie wolno czynić tego co moralnie złe, choćby pod pretekstem, że to potrzebne dla dobra ogółu, gdyż tego rodzaju pretekst jest fałszem. Skoro bowiem dobro ogółu polega zasadniczo na kulturze moralnej, nie może wymagać tego co z nią jest sprzeczne. Nie wymaga też wyrzeczenia się wyższych dóbr, na przykład wartości nadprzyrodzonych, celem dopomożenia do zdobycia niższych dóbr społeczności, np. rzeczy materialnych, chociaż niekiedy żąda przerwania na jakiś czas pewnych niekoniecznych w danych warunkach czynności wyższego rzędu, by ratować dobra wprawdzie niższego rzędu, ale konieczne do zachowania dóbr wyższego rzędu lub samego istnienia społeczności.

Ks. Feliks W. Bednarski, O. P.

„AQUINAS“

W marcu b.r. w Rzymie ukazał się pierwszy zeszyt nowego pisma „Aquinas“, wydawanego przez Wydział Filozoficzny Papieskiego Ateneum Laterańskiego. Pismo poświęcone jest wyłącznie problemom filozoficznym.

Profesor Adam Żółtowski

Adam Żółtowski był przede wszystkim filozofem. Wypada sięgnąć najpierw do tej dziedziny jego życia. Jako badacz i autor dzieł naukowych, Zmarły skupiał kolejno uwagę na postaciach czolowych, które tworzyły przełomy w dziejach myśli ludzkiej. Ogłosił źródłowe, oryginalne prace o Kartezjuszu, Kancie, Heglu. Nie tu miejsce na ich analizę. Zajmę się czymś innym: osobowością ś. p. Profesora, jako filozofa i człowieka, na tle historycznego nurtu myśli badawczej. Postawa bowiem ideowa Zmarłego, jako myśliciela, odtwarza może najwierniej istotę jego indywidualności.*)

Bliski był mu duch starożytnej Hellady, której językiem władał jak polskim.. Wielbił Platona, czcił Arystotelesa, lecz raczej milczał o ich poprzedniku i mistrzu, z którym łączyło go bliskie pobratymstwo w poglądzie na świat. Chodzi o Sokratesa. On to pierwszy wyodrębnił ze świadomości człowieka cnotę, jako naczelną zasadę życia; pouczał, że cnotę poznajemy głównie przy pomocy władzy, którą nazwał „praktycznym rozsądkiem”. Mniej nadaje się do tego myśl dyskursywna. Prawa rządzące cnotą byłyby aprioryczne: wywodzą się one z natury ludzkiej. Cnocie służymy wola i namysłem, strzegąc się odruchów. Tak pouczał Sokrates. Podstawy jego filozofii tworzą przeto moralizm, oparty na opanowaniu i silnej woli. Stwierdzić należy, że chodzi tu właśnie o te cechy charakteru, które stanowią tło najistotniejsze duchowości prof. Żółtowskiego.

Zmarły był w swych dociekaniach i zainteresowaniach i metafizykiem i teoretykiem poznania. Posiadał w zgłębianiu tych dziedzin ostre, wnikliwe, subtelne poczucie krytyczne. Wysnuwał ponadto własną, swoistą syntezę z każdej treści, jaką poddawał rozbirowi. Uzdolnienia powyższe widnieją we wszystkich dziełach Zmarłego. Wyrażał on swe myśli w stylu jasnym, zwięzłym, ścisłym. Piękno jego polszczyzny darzy czytelnika wytwornym wdziękiem. Natomiast krasomówstwo parlamentarne — nie było jego dziedzina.

Właśnie zamiłowania krytyczne musiały zbliżyć Profesora do geniuszu Kanta w tej dziedzinie. Istotnie, poświęcił temu mocarstwu myśli wiele trudu i piękne dzieło. Kant odwrócił — jak wiemy — tryb myślenia wiedzy doświadczalnej. Nazwał to sam „Kopernikowskim przewrotem” w teorii poznania. Uznał że wiedza, oparta wyłącznie na eksperymencie rozumu nie zaspakaja. Bowiem, według Kanta, pojęcia zasadnicze o świecie mają swe źródła pierwotne nie w przyrodzie, lecz właśnie w rozumie. Pojęcia te Kant nazwał ideami. Trzy z nich są podstawowe: idea o Bogu, duszy i świecie.

*) Wspomnienie o działalności i osobowości ś. p. prof. Adama Żółtowskiego wygłosił prof. Władysław Wielhorski nad grobem zmarłego w Londynie dnia 14 maja 1958, przemawiając imieniem Polskiego Towarzystwa Naukowego, Polskiego Uniwersytetu na Obczyźnie, Zrzeszenia Profesorów i Docentów Polskich Zagranicą oraz Związku Ziemi Północno-Wschodnich R. P. Żegnali zmarłego również: amb. Edward Raczyński — w imieniu Polish Research Centre i Związku Ziemi Zachodnich, oraz organizacji katolickich, a prez. Zygmunt Berezowski — w imieniu Stronictwa Narodowego. Red.

tle krytyki czystego rozumu Kanta dziedzina wiedzy i dziedzina wiary nie przeciwstawiają się sobie; odwrotnie, tworzą przyrodzoną całość w rozumie ludzkim. Twierdzenia powyższe Kanta odpowiadały i skłonnościom światopoglądowym i poczuciu krytycznemu ś. p. Profesora. Były mu bliskie i jako myślicielowi i jako katolikowi. Zespalały bowiem dziedziny wiedzy z dziedzina wiary w trwałej harmonii.

Kant twierdził ponadto, że idee: Boga, duszy, świata — poznaje nie rozum teoretyczny, lecz tzw. przez niego „rozum praktyczny”. Działa on w nas według wymagań woli i czynu. Dostrzegamy tu zbieżność założeń filozoficznych Sokratesa i Kanta. Chodzi o prymat woli i czynu w życiu człowieka, o zasadę moralną, która stanowiła również najgłębszą potrzebę duchową Adama Żółtowskiego.

Z powyższego rodowodu pojęć o świecie i roli w nim człowieka — wypłynęło również pokrewieństwo duchowe Profesora z Augustem Cieszkowskim. Cieszkowski po epigonach polskiego heglizmu: Libelcie i Kreme-rze, odszedł, jak i oni, od teorii bytu Hegla, zachowując wierność dla metody badań tego myśliciela. Wszystko przemawia za tym, że Cieszkowski był, obok Zygmunta Krasieńskiego, najbliższym spośród polskich myślicieli Adamowi Żółtowskiemu. Dzieło „Ojciec nasz” Cieszkowskiego stanowiło przedmiot niekończących się rozmyślań Profesora. Nie pozostawił on wszakże o Cieszkowskim pracy na piśmie, choć się do niej stale sposobiał. Nasz drogi Zmarły nie był na pewno odosobniony w uznaniu dla Cieszkowskiego jako myśliciela. Ze współczesnych oceniali go wysoko ludzie takiej miary, jak Wincenty Lutosławski i Marian Zdziechowski.

August Cieszkowski istotę bytu odnajdywał w zdyscyplinowanej woli i w czynie, zaś źródła wiedzy szukał wyłącznie w czynniku religijnym — w Objawieniu. W prawach rozwoju świata widział polski mesjanizm. W jego duszy wiedza i wiara zlały się już najzupełniej w jednolitą całość. Właśnie powyższa okoliczność decydowała o pobratymstwie ideowym pomiędzy Adamem Żółtowskim i autorem dzieła „Ojciec nasz”.

Bliskość ta nie była wszakże ani wszechstronna ani zupełna. Profesor Żółtowski szukał bowiem prawdy również i chłodnym, ostrym narzędziem docieklivej myśli dyskursywnej, w czym celował. Znamy go z tej strony i z jego dzieł i z rozważań o życiu bieżącym. Doceniał też w nauce potęgę metody doświadczalnej. Był mistykiem w dziedzinie wiary, zaś zwolennikiem metod wiedzy ścisłej w sprawach, jakie przebiegają w świecie zjawiskowym.

Właściwość wspaniałą i wyjątkową ś. p. Profesora Żółtowskiego stanowiła doskonała harmonia władz duchowych. W dziedzinie najwyższej wyrażała się ona w czymś, co nazywać by można „wiarą widzącą”. Stąpiła tam ona w jednolitą całość wizję świata zmysłów i świata ducha. W życiu codziennym harmonię tę cechowała zbieżność doskonała przekonań i czynów w rzeczach wielkich i drobnych, zawsze i wszędzie. Człowiek ten żył bezwzględnie prawdą. Zdawało się, że pokonał już w sobie wszelkie słabości i słabostki ludzkie, że pokusy takie, jak za-



Profesor Adam Żółtowski w średnim wieku
(fot. Jan Bułhak — Wilno)

wieść, próżność, złość — nie mają do niego dostępu. Czynna dobroć, siejąca dokoła siebie pomoc ludziom — oto stała jego postawa. Był nie tylko antytezą samolubstwa, lecz i egocentryzmu.

Usiłował niczego nie brać osobiście. Przed ćwierćwiekiem doznał ciężkiej krzywdy. Pozbawiono go katedry filozofii w Poznaniu. Utalentowany pedagog, umiłowany przez słuchaczy, został ze swego zawodu usunięty. Wspominając o tym twierdził, że padł ofiarą systemu, nie zaś wrogości osobistej. Cieniał złych uczuć wobec sprawców krzywdy nie okazał.

Znamy wszakże objawy jego i gniewu i nienawiści. Tak! Lecz nie przeciw ludziom skierowane. Człowiek ten, istic gołębiego serca, umiał nienawidzić idee; zwłaszcza potęgę psychologiczną zła, jaka usiłuje współcześnie zepchnąć ludzkość w otchłań niebytu. Wybuchął gniewem, gdy o sprawy takich kategorii chodziło.

Mimo lat sędziwych siły go nie zawodziły. Do ostatniej chwili życia przeciążony był mnóstwem obowiązków Polaka i katolika, naukowca i pedagoga, społecznika i polityka. Na wszystko starczało mu czasu i energii. Mocne zdrowie i potężna wola służyły.

Adam Żółtowski, potomek zasłużonego rodu w Poznańskim, był nie tylko Wielkopolaninem. Matka jego, Maria z Sapiechów, kniazioń ongi ruskich, pochodziła z województwa brzesko-litewskiego. Po kądzieli nosił i we krwi i w duszy tradycje Wielkiego Księstwa Litewskiego. Przez żonę, Janinę z Pultkammerów, wierną towarzyszkę życia i współuczestniczkę prac i zainteresowań, związał się najbliżej z ziemią wileńską. Na tej ziemi stał ich dom — uroczce Bolcieniki.

Adam Żółtowski był na emigracji jednym z najczynniejszych działaczy, tak w Związku Ziemi Zachodnich, jak i Związku Ziemi Północno-Wschodnich Rzplitej. Choć tak pracowany, zadał sobie trud zgłębiania przemości swej matczynej ziemi. Książka jego „Border of Europe” (1950) poucza cudzoziemców o wysiłku, z jakim naddziadowie

Profesora wznosili nad Dnieprem i Dźwiną szanse obronne ładu społecznego cywilizacji zachodniej.

W żadnej instytucji naukowej, czy organizacji społecznej w Londynie udział jego nie był tylko symbolem. Wyrażał wszędzie

wyteżony, ofiarny i bezinteresowny wysiłek.

Nie zabrakło mu też i zasługi rycerskiej. Brał udział w Powstaniu Śląskim w r. 1921 i odznaczony został Krzyżem Walecznych. Wierzmy najgłębiej, że drugi Krzyż Walecznych należy mu się za całość dorobku

życia. Było ono bowiem twardą i bezustanną walką o najwyższe ideały Polaka i katolika. Ufamy, że Bóg Miłosierny nagrody takiej naszemu ukochanemu Zmarłemu nie poskąpi.

Władysław Wielhorski

DR TADEUSZ STARK

DIAGNOZA I NADZIEJA

Wśród współczesnych lekarzy i biologów, którzy zabierali głos w sprawach moralno-religijnych i tajemniczymi drogami zdiwiających przemian wewnętrznych wzniesli się do poznania Boga, jednym z najbardziej znanych i popularnych jest Francuz dr Alexis Carrel*). Lecomte de Noüy, zresztą jego uczeń i rodak, stoi pod tym względem najbliżej Carrela, ale nie jest tak jak on popularny.

Carrel od wczesnej młodości żył w ciągłym rozdźwięku z otoczeniem. Dokonane przez niego w czasie studiów w Lyonie odkrycie nowej metody operacyjnej — z zastosowaniem zszywania arteryj — nie spotkało się z przychylnym przyjęciem kół naukowych. Potem stosunek jego do sprawy cudownych uzdrowień w Lourdes doprowadził do zerwania z kolegami i wyjazdu na stałe do Kanady, a następnie do Stanów Zjednoczonych, gdzie — wbrew oczekiwaniom — zostaje członkiem Instytutu Rockefellera, a w roku 1912 otrzymuje nagrodę Nobla. Mimo sławy u Amerykanów, olbrzymi dorobek badawczy Carrela pozostaje raczej nie doceniony i zapoznany. Przypadkowe złączenie nazwiska Carrela z polityką Pétaina rozpełtało prawdę burzę. „Dorobek Carrela? — dziwi się G. Roussy — przecież to nic...” Nawet jego biograf R. Saupol't stwierdził, że było „coś „niehumanitarnego“ w Carrelu, lekceważenie i pogarda dla bliźnich.

A jednak zasługi tego uczonego są duże. W medycynie i biologii wskazał on nowe metody, w badaniu problemów ludzkich procrzą miał wyobraźnię i dar syntezy.

WIARA UCZONEGO

Carrel był zawsze katolikiem, wbrew opiniom, że się „nawrócił“. Urodzony w rodzinie katolickiej i wychowany przez matkę praktykującą, lata gimnazjalne spędza w internacie św. Józefa u oo. jezuitów w Lyonie. W życiu religijnym przechodził dwa przejściowe załamania. Pierwsze przypada na okres studiów uniwersyteckich, kiedy przejęty metodą pozytywistyczną, odnosi się z „pobłażliwym sceptyzmem“ do ideałów religijnych. Ożywienie wary następuje w okresie „Podróż do Lourdes“, pod wpływem cudu. Nie wyciąga zaraz wniosku. Broni się przed konkluzjami; waha się jeszcze i mimo lojalnego podpisania protokołu i ogłoszenia artykułu o cudzie, odkłada dla siebie ostateczną decyzję na później: „Jakie jest znaczenie tego co widziałem? Zobaczmy później. Na razie stwierdzam fakt wyleczenia.“

Na pobyt Carrela w Kanadzie i początek jego pracy w Instytucie Rockefellera w Nowym Jorku przypada jego jak gdyby drugi okres oziębienia religijnego. Mimo odrzucenia

*) Szczególną popularnością cieszą się jego dwie książki: „Człowiek, istota nieznaną“ i „Podróż do Lourdes“ (ta ostatnia wydana w języku polskim przez „Veritas“ w Londynie. Rok 1954. Str. 196. Cena 15 szyl.).

zaproszeń wstąpienia do loży masonskiej, pozostaje w tym czasie katolikiem tylko z przynależności, jednak bierze ślub kościelny i przebywa w towarzystwie wielkiego myśliciela ojca Clifford, choć utrzymuje, że jego kazań „zupełnie nie rozumie“. Lubi słuchać śpiewów gregoriańskich, ale co do przekonania religijnych jest w pół rezerwie, raczej wolnomyśliciel, jednakże nie ateista.

Ponowne obudzenie następuje, gdy zabiera się do badań nad człowiekiem. Zmęczone badaniami biologicznymi, które nie dają mu dostatecznej odpowiedzi co do celu istnienia na ziemi, wraca do religii, moralności, mistyki. Szuka potwierdzenia swej wiary u o. Sertillanges; u Maritaina, którego spotyka w Nowym Jorku; u ojca Dubarle; jak również u Dom Chautard i innych. W 1937 r., w Bretanii, gdzie osiedla się na wyspie St. Gildas, spotyka trapiście Dom Alexis Presse, Bretończyka, o dużym dynamizmie, który staje się odtąd jego duchowym powiernikiem. U niego znajduje oparcie dla swych skłonności mistycznych. Do jakiego stopnia sprawy życia religijnego go interesują świadczy m. in. fakt, że przyjmuje prezesurę sekcji lokalnej „Jeunesse ouvrière catholique (JOC), organizacji robotniczej młodzieży katolickiej, która w tym okresie powstaje we Francji. Od 1936 r. zostaje też członkiem Akademii Papieskiej w Rzymie.

Dialogi teologiczne i kolokwia duchowe podtrzymują go w ostatnim okresie życia, wśród intryg i chorób, gdy widzi, że jego plan pchnięcia badań nad człowiekiem na nowe tory nie będzie mógł być urzeczywistniony. Ostatnie chwile jego życia w Paryżu cechuje godność i spokój. Do prałata Hamoyon, który go przygotowuje na śmierć, Carrel oświadcza: „W świecie mówi się tyle o mnie i o moich dziełach, ale wobec Boga jestem małym i biednym dzieckiem“. Do końca są z nim: Dom Presse, żona i kuzynka szarytka.

Poza okresem wczesnej młodości i schyłkiem życia Carrel nie był praktykującym katolikiem. Nie wyciągał wniosków ze swojej wiary i nie uważał, aby przynależność do Kościoła pociągała za sobą obowiązki, ale wierzył i modlił się. Być chrześcijaninem znaczyło dla niego poddawać całą inteligencję Boskiej woli.

DWA DZIEŁA

W spuściźnie naukowej mamy po Carrelu dwa jego, zupełnie odrębne nawzajem, dzieła. Jednym jest praca badawcza medycynobiologiczna, artykuły, notatki, sprawozdania naukowe z odkryć dokonanych na uniwersytetach, w laboratoriach, głównie zaś w Instytucie Rockefellera, gdzie spędził 30 lat.

Drugim dziełem życia Carrela są jego badania nad człowiekiem, stojące na pograniczach moralności, religii i biologii. Obejmują one 12 lat, od roku 1933 począwszy, kiedy zaczął pisać „Człowieka, istotę nieznaną“, poprzez „Modlitwę“ (1944) oraz „Roz-

ważania nad zachowaniem się w życiu“, wydane już po śmierci przez żonę. Do tego dzieła należy wcześniejsza „Podróż do Lourdes“, którą napisał mając lat 30.

W skali porównawczej — doniosłość odkryć Carrela — według opinii jego biografów medyka — została przewyższona może jedynie przez niedawne odkrycia antybiotyków. Odkrycia te i badania obejmowały obok chirurgii eksperymentalnej: fizjologię, leczenie chorób raka; chemię, biologię i psychologię. W dziale chirurgii otwarł on nowe drogi i nowe wskazał metody, jak np. przeprowadzanie operacji przy otwartej klatce piersiowej, chwilowe przerywanie krążenia krwi i stosowanie połączeń między naczyniami krwionośnymi (anastomoza), używanie szczepów przechowywanych pod lodem (m. in. szczepienie rogówki), itd. Dał też — w czasie pierwszej wojny światowej — podwaliny pod nową metodę dezynfekcji ran. W dziedzinie hodowli tkanek wynalazł nowy sposób techniki laboratoryjnej. Najbardziej sensacyjnym było ulepszenie (dokonane razem z lotnikiem Lindbergiem) działania tzw. sztucznego serca.

Do praktycznych zagadnień badań nad człowiekiem Carrel przechodzi mając lat 50. Stawia tezę, że „wiedza o człowieku“ powinna polegać na syntezie wszystkich działów nauki. Człowiek jest całością w zakresie funkcji fizjologicznych i duchowych. Carrel marzy o zebraniu grupki naukowców i stworzeniu „umysłu zbiorowego“. Zaczątkiem tego projektu była jego „Fundacja dla studiów nad problemami człowieka“, założona we Francji. Fundacja ta nie przeżyła swego inicjatora.

Główne myśli „wiedzy o człowieku“ zawarte są nie tyle w „Człowieku, istocie nieznaną“, co w „Rozważaniach nad zachowaniem się w życiu“ (dotąd nie przetłumaczonych na polski język). Myślą przewodnią jest twierdzenie, że nasze ciało jest fragmentem kosmosu, działającym w sposób sobie właściwy, ale posiadającym te same zasady, co reszta świata. Między człowiekiem a środowiskiem, w którym żyje, istnieje zależność funkcjonalna: człowiek i środowisko są współzależne jak klucz i zamek. Dostosowanie do środowiska dokonuje się przez stały wysiłek człowieka. Aby osiągnąć „optimum“ rozwoju, jednostka musi być w walce ze środowiskiem.

Są trzy prawa natury, których człowiek winien ściśle przestrzegać: prawo zachowania życia, prawo rozmnażania się, prawo postępu duchowego.

Jeśli człowiek występuje przeciw tym prawom, działa przeciw samemu sobie. Wyjątki są jedynie dopuszczalne co do drugiego z tych praw, np. św. Franciszek z Asyżu uczynił dla ludzkości więcej przez modlitwę i życie zakonne niż gdyby był ojcem licznej rodziny.

Prawo zachowania życia nakazuje jego poszanowanie. Nie chodzi tylko o nieniszcz-

nie życia własnego lub cudzego (zabicie), ale i o nieprzeszkadzanie życiu innych. Występuje przeciw tej zasadzie np. architekt, który konstruuje plany dużych skupień miejskich nie dających dostatecznych warunków zdrowotnych dla jego mieszkańców, albo np. automobilista, przez hałas, jakim zakłóca spokój innych mieszkańców ulicy. Każdy winien starać się uczynić życie drugich i swoje jaśniejszym i weselszym.

Prawo rozmnażania nakazuje mieć dzieci i to dzieci jak najlepszej jakości — mówi Carrel — co jest możliwe przy zastosowaniu praw eugeniki. Po drugie, wychować te dzieci tak, aby ich dziedziczne zdolności rozwinięły się jak najlepiej; w końcu zdobyć samym i przekazać dzieciom wartości moralne i intelektualne konieczne dla powodzenia. „Przyszłość rasy — jak podkreśla Carrel — szczęście i nieszczęście ludzi zależą od wartości rodziny i społeczeństwa. Nic nie ma trudniejszego jak wytrzebiecie u ludzi nawyków antyspołecznych, które stosują jedni przeciwko drugim. Nawyki te rujną nas wszystkich i trzeba przeszkodzić rozwijaniu się ich ucząc dzieci od lat najmłodszych praktykowania grzeczności, cierpliwości, szczodroliwości, prawdomówności, dochowywania danego słowa, darowywania szkód oraz braterskiej miłości“.

Prawo postępu duchowego zobowiązuje nas do rozwijania wszystkich zdolności umysłowych, moralnych, estetycznych i religijnych. Chodzi o doskonalenie jednostki i osiągnięcie „optimum“ osobowości. Prowadzi to do tworzenia „elity“ w każdym narodzie, zdolnej do nadawania kierunku innym.

Dzięki naszej wiedzy o odżywianiu — wiemy jak np. żywić dzieci, lecz nie wiemy, jak wzmocnić ich system nerwowy, ich od wagę lub poczucie moralne. Albo jaka np. temperatura w domu, w biurach, w fabrykach — odpowiada największej wydajności. Jaki jest w naszym życiu codziennym wpływ gorąca, wilgoci, wiatru, hałasu lub np. kurzu na organizm ludzki. Jakie zycząją się najkorzystniejsze dla jednostki: jak długi powinien być sen, ile razy dziennie winniśmy przyjmować posiłki, jak obfite być mają. Badań tych nie należy przeprowadzać oddzielnie, lecz we wszystkich dziedzinach łącznie. Zdobyta w ten sposób wiedzę trzeba stosować nie do osób chorych, ale do normalnych i zdrowych. Zamiast przedłużania życia słabych i chorych — twierdził Carrel — trzeba pomagać mocnym.

BŁĘDY CARRELA

Obok oryginalności i celowości niektórych myśli widzimy u Carrela bezwzględność w stosunku do słabych. Katolików najbardziej razi jego teza o nierówności ludzi oraz bezwzględne stosowanie zasad eugeniki. Carrel zwalczał system demokracji. Wiara w równość jednostek jest — zdaniem jego — fantazją i nie ma żadnych podstaw naukowych... „Pomieszczenie symbolu z rzeczywistością powoduje, iż dajemy każdej osobie te same uprawnienia, a nie rozumiemy, że ludzie, którzy z punktu widzenia filozoficznego mogą być uważani za równych, niekoniecznie są nimi... Szereg ludzi nie przekracza w rozwoju psychicznym wieku dziecka dziesięcioletniego, a większość nie osiąga nigdy dojrzałości umysłowej. Tymczasem właśnie ci ludzie gorszego gatunku (podludzie) nadają ton polityce narodu poprzez głosowanie powszechne“.

Co do eugeniki, Carrel uważał, że jednym z zasadniczych błędów medycyny oraz higieny

było dopuszczenie do rozmnażania się słabych, chorych i zdegenerowanych. Eugenika stała się nieodzowna dla przyszłości rasy białej. „...Opiekujemy się słabymi i ułomnymi bardziej niż silnymi — mówi. — Okazujemy znacznie więcej troski dzieciom zacofanym w rozwoju niż dzieciom uzdolnionym.“ I w związku z tym Carrel wysunął projekt, aby każde dziecko otrzymywało „kartę rodowodu“ z zaznaczeniem chorób przodków.

O konieczności stosowania zasad eugenicznych Carrel jest tak przeświadczony, iż nie widzi ani niebezpieczeństw nadużyć w tym zakresie, ani też sprzeczności z głoszonymi przez siebie prawami natury, zwłaszcza z prawem o zachowaniu życia i rozmnażaniu się. Jest to tym bardziej charakterystyczne, że występuje on przeciwko kontroli urodzeń.

Stanowisko Kościoła katolickiego w sprawie stosowania zasad eugenicznych dla zapobieżenia płodności nie pozostawia wątpliwości. „Każda istota ludzka, a nawet dziecko w łonie matki — mówił Pius XII w 1951 roku — otrzymuje prawo do życia bezpośrednio od Boga, a nie od rodziców, społeczeństwa lub władzy ludzkiej. Zatem żaden człowiek, żadna władza ludzka, żadna nauka, żadne „wskazanie“ lekarskie, eugeniczne, społeczne, ekonomiczne lub moralne nie może uzasadnić lub dać ważnego tytułu prawnego do bezpośredniego lub rozmyślnego dysponowania niewinnym życiem ludzkim; to znaczy rozporządzania nim w celu przewidzianego zniszczenia tego życia, bądź to służąc jako cel, bądź to jako środek do otrzymania celu, który może sam w sobie nie jest wcale nieprawowity“ (Documentation Catholique, nr 12, 1951).

„W nauce Kościoła istnieje jasna reguła mogąca służyć na użytek wewnętrzny i zewnętrzny. Bezpośrednia sterylizacja, tj. taka, której celem jest uniemożliwić płodność, bądź to jako środek, bądź to jako cel, jest ciężkim pogwałceniem prawa moralnego i z tego powodu jest zakazana“ (Documentation Catholique, nr 27, 1951)

WSPANIAŁE PRAWDY

W książkach Carrela największe wrażenie czynią karty poświęcone poczuciu religijnemu oraz Bogu.

Poczucie religijne — stwierdza Carrel — jest, podobnie jak poczucie estetyczne, podstawową działalnością fizjologiczną człowieka. Chrześcijaństwo jest najodpowiedniejszą formą poczucia religijnego, gdyż zaleca ono związek z Bogiem i bliźnimi. Kościół katolicki zaś jest formą najpełniejszą poczucia religijnego.

Ludzkość nie zrozumiała, że „nigdy żadne odkrycie naukowe nie było w historii ludzkości ważniejsze niż odkrycie Jezusa Ukrzyżowanego o prawie miłości. To prawo jest istotnie nieodzownym prawem, jeśli społeczeństwo ludzkie nie chce zginąć“.

Potrzeba Boga wyraża się w modlitwie. Temu tematowi Carrel poświęcił całą książkę. Mówi w niej, że „modlitwa jest krzykiem rozpaczliwej, prośbą o pomoc i hymnem miłości“. „...Gdyby ludzie zrozumieli jak skuteczne są modlitwy, spędziliby całe życie na klęczkach.“

Carrel jest zdecydowanym przeciwnikiem zarówno marksizmu, jak i wszelkich prądów liberalizmu. Píše, że marksizm nie

posiada przede wszystkim naukowych podstaw, lecz opiera się na ideologii, której brak wyczerpującej obserwacji realnego życia. Zasady manifestu komunistycznego, podobnie jak rewolucji francuskiej, są poglądami filozoficznymi, a nie koncepcjami naukowymi. Wiara marksizmu w prymat wyłączności ekonomicznej została odziedziczona od filozofów XVIII wieku, ale nie bierze zupełnie pod uwagę ani fizjologicznych ani umysłowych działalności jednostki ludzkiej oraz nie uwzględnia warunków, jakie są konieczne, aby rozwinąć u każdego człowieka „optimum“ rozwoju. Prymat w rzeczywistości nie należy do ekonomii, ale do pierwiastków duchowych w człowieku.

„Marksizm — mówi Carrel — gwałci podstawowe zasady natury.“ „Nie jest możliwe ograniczenie wysiłków ludzkich wyłącznie do korzyści materialnych bez ściszenia naszej osobowości“, Homo oeconomicus jest sztucznym tworem i wymysłem fantazji, gdyż istota ludzka nie jest stworzona wyłącznie dla wytwarzania i do konsumowania. Od najmłodszych czasów człowiek zawsze znał miłość, piękno, poczucia religijne, ciekawość umysłową, imaginację twórczą oraz heroizm. Ograniczyć człowieka do działalności ekonomicznej jest równoznaczne z amputacją lekarską części ciała.

Poglądy marksizmu na pracę są również błędne... „Praca ludzka nie jest towarem, który można by kupić. Odczłowieczenie jednostki ludzkiej, która myśli i czuje, i zepchnięcie jej w przedsiębiorstwie przemysłowym do rzędu rąk roboczych, jest fałszywe.“

W końcu tych rozważań Carrel dochodzi do wniosku, że marksizm rozdumachany do rzędu namiętności rodzi nienawiść i ucisk.

KRYTYKA METOD WYCHOWAWCZYCH

Współczesne metody wychowawcze były stałym przedmiotem krytyki Carrela. Społeczeństwo popełnia wielki błąd nie stosując się do „prawa postępu duchowego“. W szkołach zredukowano ducha do inteligencji. Szkoły nie uczą ani opanowania siebie samego, ani porządku, ani przejmności, nie zapoznają dzieci ani z pięknem rzeczy, ani ze sztuką.“ „Praktykowania cnót nie uczy się w szkołach publicznych, a czyż nie jest jasne, że c n o t a jest istotnie niezbędna dla powodzenia zarówno w życiu zbiorowym, jak i prywatnym?“

W swoich receptach, dla codziennego życia przeznaczonych dał Carrel wiele aktualnych wskazań. A więc: brutalne zaspakajanie swego apetytu może być w pewnych wypadkach celowe, ale nie ma nic bardziej absurdalnego jak życie tylko dla przyjemności. Po co żyć, jeśli życie ma polegać na tańczeniu, bezmyślnych jazdach samochodem, chodzeniu do kina i słuchaniu radia? Gońnitwa za przyjemnością, zajmuje bez najmniejszej korzyści wolny czas, który pracownicy zyskali wskutek rozwoju maszyn... Gdyby te cenne godziny były używane w sposób należyty, pozwoliłyby one każdemu dokształcić się, rozwinąć ciało i ducha i zyskać to, co nazywa się osobowością człowieka...

Zarówno radio, jak kino i teatry narzucają całkowitą bierność tym, którzy chcą się rozerwać...

Ogólny spadek poziomu inteligencji i zdrowego rozsądku jednostki jest najprawdopodobniej wynikiem używania alkoholu. Można z całą pewnością stwierdzić, iż w

społeczeństwie istnieje bezpośredni związek między osłabieniem jego rozwoju umysłowego i alkoholizmem...

Zapałaliśmy namiętnością co wolności. Po większej części zadowoliliśmy się jednak brakiem porządku i energii w działaniu, które są koniecznym następstwem odrzucenia wszelkiego przymusu... „Człowiek wyzwolony wcale nie jest podobny do orła unoszącego się w przestworzach, ale raczej do psa, który uciekł od swego pana i błądzi na chybił trafił wśród masy samochodów...”

Ofiara jest prawem w życiu. Posiadanie dzieci jest połączone dla kobiety z niezliczoną ilością ofiar. Tak samo sportowiec, artysta, uczonej muszą odmówić sobie zaspokojenia pewnych apetytów, aby uzyskać siłę i wiedzę. Nie ma ani wielkości, ani piękności, ani świętości na świecie bez ofiar. Nasza era rozpoczęła się pod znakiem ofiary, tj. ukrzyżowaniem Chrystusa. Ale ofiara nie jest zarezerwowana jedynie dla bohaterów i świętych...

Kochać kogoś, pisał już Arystoteles, znaczy życzyć mu dobrze. Dziwna rzecz, ludzkość nie chce dotychczas zrozumieć, że chcieć dobra dla drugich jest konieczne dla powodzenia w życiu zbiorowym. Miłość bliźniego, a nawet nieprzyjaciela, przebaczenie szkód i miłosierdzie stanowią zasadniczą podstawę życia moralnego... Zasada miłości bliźniego ma podwójny charakter. Z jednej strony każe każdemu kochać drugich, a z drugiej — nakazuje wyraźnie każdemu stać się godnym miłości drugich „przez zreformowanie nas samych, wyzbycie się naszych wad oddzielających nas od drugich. Dopiero wtedy będzie możliwe, aby bliźni kochał bliźniego, robotnik swego chlebobawcę, a chlebobawca robotnika...” „Należy żyć życiem najprostszym: pracować, mieć dzieci, wychowywać je, pomagać im, a potem pomagać swym wnukom. Cała reszta, jak bogactwa, sława lub honory, są jedynie próżnością...”

Tych kilka cytatów nie wyczerpuje oczywi-

ście bogatego materiału, jaki znajduje się w dziełach Carrela.

POMOST MIĘDZY MEDYCYNĄ A DOKTRYNĄ KATOLICKĄ

Główne znaczenie Carrela polega — naszym zdaniem — na rzuceniu pomostu łączącego nowoczesne nauki medycyny — biologiczne z doktryną katolicką i wykazanie, że doktryna ta posiada trwałe podstawy naukowe. Zasadą Carrela jest również twierdzenie, iż medycyna winna widzieć w jednostce nie tylko ciało, ale i duszę, a nadto badać środowisko człowieka. Za punkt wyjścia obrał sobie pewniki udowodnione naukowo, aby zestawzić bilans współczesnej wiedzy o człowieku. Na podstawie tego bilansu postawił diagnozę lekarską i dał receptę na zjawiska chorobowe w organizmie ludzkości. Chciał jej pokazać drogę wiary i nadziei.

Tadeusz Stark

HENRYK CZESŁAW ŚLIWIŃSKI

CHRZEŚCIJANIN DOSKONAŁY

Zabieranie się do takiego tematu, jakim jest typ człowieka, któremu można by przyczepić etykietkę „chrześcijanin doskonały”, nastęrcza wiele trudności, z których bodaj że najniebezpieczniejszymi są: szablon, mentorstwo i moralizatorstwo. Nie chciałbym wpaść w żaden z tych podstępnych wilczych dołków, a jeśli mi się to gdzieś przydarzy, proszę o wyrozumiałość i nieco cierpliwość; za co z góry dziękuję. Jednego pragnę, a mianowicie, by nie przeholować i nie bić się o palmę pierwszeństwa z kaznodzieją na ambonie lub szarlatanem z Hyde Park w Londynie. Wzdychanie i moralizatorstwo nie pasują świeckiemu, jak zresztą nie powiedziabym, aby miało szczególnie być w tym do twarzy nawet samemu kapłanowi.

Wracając do wizualnego wrażenia „chrześcijanina doskonałego” muszę przyznać się (i to naprawdę szczerze), że jego obraz łączy się w mojej wyobraźni z osobnikiem ubranym na czarno, z pokaznym mszaliem pod pachą i błyszczącym znaczkim w butonierce, świadczącym o przynależności do jakiejś kongregacji kościelnej. Wstydję się, że tak właśnie piszę, ale wydaje mi się, że to nie tylko ja tym grzeszę. Gdy się widzi takiego mężczyznę lub kobietę o bladej twarzy, wzniesionych nabożnie oczach, nie wysportowanym ciele, w atmosferze kadzidła i stopionej świecy, nie można uwolnić się od idiosynkrazji; traktuje się ich jako coś specyficznego, a co Hiszpanie nazywają „bicho raro” (dziwny stwór). W gremium ludzkim XX wieku należy on do jednego z czynników, które przyczyniają się do wielu krytyk oraz złośliwych uwag, których konsekwencje są tak często katastrofalne. „Dziwne stwory” stworzyły jakąś śmieszna, odrębną kastę i pomimo ich najlepszych chęci, nie potrafią wpłynąć na otoczenie, które nie tylko że nie naśladuje ich przykładu, ale — stykając się z nimi — odczuwa animozję; ci zaś „nieocenieni” rażno zarczują sobie drzewo krzyża na barki stając się męczennikami, których ofiara jest całkowicie zbyteczna, tak Bogu jak i bliźnim. Zamiast wzbudzić w nas podziw oraz pragnienie naśladowania, zamiast stać się „klejnotem na rozstajnych drogach”, matowieją; zamiast rozprzestrzeniać

wiarę i objawiać nam Ducha, stają się jego upośledzonymi komiwojażerami i chociaż (dzięki Panu Bogu!) nie zasłaniają nam Go, utrudniają niejednokrotnie Jego wizję. Przyrównałbym tych ludzi do bezbarwnej i szarej masy, czasami o przykrym zapachu, wypełniającej poczesniejszą część ławek kościelnych; uważają się za wybranych, a w wyschniętych egoizmem piersiach nie hodują innego uczucia niż zawiść. Widzą w swoim bliźnim (szurającym zbyt głośno na posadzce świątyni) tylko same wady, jakby byli ulepieni z innej gliny. Tymczasem Chrystus powiedział:

Błyszczcie waszym światłem przed waszymi bliźnimi i aby wasze dobre uczynki stały im o Panu w niebieszech przypominały. (Por. Mat. 5, 16.)

Należałoby się więc pozbyć wszelkiego nimbu tajemnicy i nie zamykać w skorupie dewocji, gdyż nikomu to nic dobrego nie przynosi i przyniesić nie może.

Prawie czterysta lat temu pisał fray Juan de los Angeles w swojej książce o podboju królestwa Bożego, że ludzie w owych czasach, „pragnący niebieskiej szczęśliwości, stali się wizerunkiem skałowaciałego gatunku; kochają suto zastawiony stół, wygodne łóżko i nie chcą wiedzieć co to cierpienie dla sprawy Boga. Myślą o swoim cielem, o ośmiogodzinnym śnie i obfitym a najlepiej zaofiarowanym przez kogoś obiedzie, o czarujących wizytach i sposobie, jak okazać się kulturalnym i nie utracić blichtru, którym przymalowali sobie skrzydła kołtuństwa i hipokryzji. Jednym słowem cnota w naszych nieszczęśliwych czasach nie ma w sobie nic poza grzechotliwym szkieletem, a reszta to prawie wszystko dbałość o ciało, największego wroga Boga”. Czyżby te słowa hiszpańskiego mistyka miały inny dźwięk w naszej atomowej erze?

Niedawno temu czytałem doskonałą książkę, a właściwie pamiętnik, laureata nagrody Nadala, ks. J. L. Martin Descalzo, pt. „Un cura se confiesa”. Opowieść seminarzysty a potem, że się tak wyrażę żartobliwie, ale bez ironii, świeżo upieczonego kapłana, jest wstrząsająca i zwraca uwagę całego świata katolickiego na dramat człowie-

ka, który postanowił służyć Bogu. Autor nie stara się bynajmniej bronić siebie, ani też ukrywać swojej ludzkiej, wadliwej natury. Zapamiętałem sobie jeden z fragmentów. Oto on: „To był Jan, jakąś. Usiadł obok na ławce, witając mnie swoim roztrzęsionym, niesamowicie zacinającym się głosem. Odpowiedziałem: «dobry wieczór» z nadzieją, że zostawi mnie w spokoju. Ale on wpadł niespodziewanie w szal gadulstwa. Uzbijając się w cierpliwość, postanowiłem prowadzić z nim dialog. Było to straszne słuchać tego pełnego śliny głosu i jakichś gardłowych dźwięków. Przerzywałem mu raz po raz; kiedy rozpoczynał, ja wpadałem w jego monolog, starałem się odgadnąć jego myśli, drzałem na samą myśl, że nie uda mi się odgadnąć, co miał ten nieszczęśliwiec zamiar powiedzieć. Ale on jak gdyby mnie nie słyszał i ciągnął rozpoczęte zdanie, jakając się w sposób, który wywoływał we mnie gniew. Kiedy udawało mi się przeciąć strumień tego bulgotu, zaczynałem drobniagowe opowiadanie o życiu w naszej rodzinnej wiosce, w której także Jan się urodził. Mówiłem nie zacierając prawie oddechu, kłamałem jak tylko mogłem, by tylko nie pozwolić, aby się wtrącił jakimś słowem. Bałem się wprost tego denerwującego i doprowadzającego mnie do pasji jakania. Zapytałem go wreszcie, o której godzinie miał iść do zakrystii; odpowiadał, że o piątej. Skwapliwie wskazałem mu zegarek: była dokładnie piąta. Ale on nie myślał odchodzić. Miał czas i gadał jak najęty. Owo chorobliwe nieomal pragnienie mówienia sprawiło mu niesamowitą rozkosz. Widziałem łnie nie jego oczu na dźwięk jakiegoś wspólnie nam znajomego nazwiska. Ja odpowiadałem na jego zapytania z gniewem, zmyślając i kłamiąc... tylko dlatego, aby nie dopuścić go do głosu. Wreszcie odszedł. Kiedy zniknął za bramą parkową, ogarnął mnie nagły żal. Nie powinienem był tak z nim postąpić, pomyślałem z wyrzutem sumienia. Postąpiłem jak kanalia! Wszak Jan podszedł do mnie z całym zaufaniem, jak dziecko. Powinienem był być więcej wyrozumiały dla tego nieszczęśliwego człowieka. Jak tylko spamiętać mogę, Jan zawsze był pośmiem-

skiem we wsi. Dlaczego więc nie wyciągnąłem doń ręki? Czyż mogę nadal nazywać się chrześcijaninem?"

Tyle ks. Martin Descalzo. Przeżywając tę jego spowiedź myślałem: ileż to razy niejeden człowiek zadawał sobie podobne pytanie. Czy ja jestem chrześcijaninem? Można by nazwać to skrupułami, czy bo ja wiem jak jeszcze; jedno jest pewne, że po dokonaniu czegoś wbrew pewnym uświęconym, ludzkim zasadom, niemożliwe jest potem odpedzić od siebie tego brzęczącego roju myśli, który rozsada wprost głowę. I co by mnie to kosztowało, gdybym był w danej chwili postąpił tak a nie inaczej? Trudno i darmo, lecz nasza dusza jest niezależna od naszego ciała i chociaż często się na nią zrymamy, nazywając ten stan „złym samopoczuciem“ lub „chandrą“, nie jesteśmy jednak w stanie pozbyć się tak łatwo owego czerwia, który dopóty drażny będzie w nas dziurę, dopóki nie upokorzymy się i nie przyznamy, chociaż tylko przed samymi sobą, że dane postępowanie nie było na miejscu.

Nasuwa mi się na myśl pewne zdarzenie, które wydać się może wymysłem pisarza. Mniejsza o to. W tym wypadku chodzi o pewnego, podeszłego już wiekiem mężczyznę, który (szczerze mówiąc) nigdy mi nie był zbyt sympatyczny, co nie przeszkodziło jednak, że kilka razy byłem z nim na kawie a nawet zdrowo się uśmiechał, kiedy opowiadał anegdoki oraz scenki z własnego życia. Ostatnio jednak mniej go widywałem. Chyba rok upłynął, gdy go po raz ostatni spotkałem. Pewnego dnia zobaczyłem mojego przyjaciela, lekarza.

— Wiesz o tym, że pan Roman jest ciężko chory? — zagadnął mnie.

Jakoś trudno było mi w te słowa uwierzyć, gdyż o panu Romanie słyszałem, że nie miał zwyczaju utyskiwać z powodu zdrowia. Rozmawialiśmy na różne tematy, kiedy ni stąd ni zowąd mój przyjaciel zagadnął mnie znówu:

— Może byś go odwiedził w klinice? Nawet sobie nie wyobrazisz, co to za radość dla niego widzieć twarz...

— Nawet taką jak moja? — przerwałem, nie zdając sobie sprawy z bezsensowności tej dygresji.

Doktor okazał się bardzo delikatnym rozmówcą.

— Każdemu jest wdzięczny, kto go odwiedzi — powiedział krótko.

Szliśmy rojną ulicą śródmieścia w milczeniu. W pewnej chwili ja odezwałem się pierwszy:

— Wiesz, pójde jutro do niego. Myślę, że nie zawadziłyby przy tym jakiś prezent. Nie mam pojęcia jednak, co kupić. Doradź mi. Mój przyjaciel spowaźniał nagle.

— To doskonała myśl — rzekł po chwili. — Moim zdaniem sprawiłbyś mu nieopisaną radość przynosząc nieco koniaku. Małą buteleczkę, taką co się zabiera w góry, na narty.

Nie ukrywałem zdziwienia.

— Myślisz, że będzie to na miejscu? — zapytałem z powątpiewaniem.

On popatrzył na mnie jakimś niezwykłym dalekim wzrokiem, w którym wyczytałem jakby żal i coś w rodzaju poczucia winy. Zaczął natychmiast:

— Pan Roman lubił zaglądać do kieliszka i wszyscy o tym wiemy. Ale ostatnio, jako jego lekarz, musiałem mu tego dosyć surowo zabronić. Serce ma nadwężone. Oczywiście,

jak możesz sobie wyobrazić, gdy ktoś do niego przyjdzie, to się żali i opowiada, że jestem okrutny; że gdyby tylko jedną kropelkę na kostce cukru połknął, zupełnie inaczej by się czuł. Ta kuratela go dobija. Muszę ci wyznać, że pan Roman bardzo mnie tym wzruszył. Zachowywał się prawie niczym rozżalone dziecko. Ponieważ wiem, i to prawie na pewno, że niedługo już pociągnie i że ta odrobina alkoholu wcale mu nie zaszkodzi, myślę, że dobrze byś zrobił, gdybyś tak przypadkowo...

Urwał na chwilę, jakby szukając jakiegoś wytłumaczenia dla tego postępowania, a potem dodał:

— Bo widzisz, ja nie mogę mu koniaku zanieść. Rozumiesz. Najpierw zabraniam, a potem lamę słowo...

Gdy pożegnałem doktora, miałem głębokie postanowienie, że na drugi dzień „podrzucę“ choremu małą butelkę koniaku. Poniedziałek jednak zeszedł mi na załatwianiu jakichś pilnych spraw, tak że wizytę w klinice odłożyłem do następnego dnia. Ale wieczorem wstałem do sklepu po koniak. Przed położeniem się do snu, przygotowałem estetyczny pakietek delectując się na samą myśl, jaką to radość i niespodziankę sprawię choremu. Wtorek był słoneczny, chociaż w powietrzu pachniało śniegiem od niedalekich gór Sierra de Guadarrama, a woda w fontannie Apolla przy Paseo del Prado pokryła się szklistym lusterkiem lodu. Tramwaj zawiózł mnie prawie pod samą bramę szpitala. Pamiętałem z niezwykłą jasnością piętrowy numer pokoju. Winda zawiozła mnie bezszelestnie w górę. Idąc długim korytarzem nie spotkałem żywej duszy. Gdyby nie gumowe obcasy, na pewno klaskałyby moje buty, jak zakonnice sandały w opustoszałym wirydarzu. Zatrzymałem się wreszcie przed drzwiami; były białe i zimne. Skontrolowałem numer: ten sam. Zaraz nacisnąłem klamkę, lecz drzwi ani drgnęły. Dziwny niepokój owiał moje skronie. Lecz odegnałem ponurą myśl, uderzając o wewnętrzne ściany mojej głowy jak złowieszczy ptak. Zapukałem. Chwilę nic. Potem, z sąsiedniego pokoju, wyszła jakaś chora w zarduchowanym niedbale na białą koszulę szlafroku. Spojrzałem na nią pytająco. Niedługo czekałem na jej głos, jak podzwonne.

— Już go znieśli na dół.

Poczułem dreszcz wzdłuż kręgosłupa. Nawet nie podziękowałem nieznajomej. Sciskając kurczowo szkło butelki w kieszeni palta, zbiegłem szybko schodami na dół. W głowie czułem zamęt niesamowity. W pewnej chwili zatrzymał mnie głos mojego przyjaciela lekarza. Otrzymał wiadomość o śmierci pana Romana przez telefon i przyjechał taksówką. Zeszliśmy razem, w milczeniu, do kostnicy. Skronie zmarłego lśniły dostojeństwem śmierci.

Dlaczego wybrałem to zdarzenie? Zdawałoby się, że nie ma ono nic wspólnego z tematem tego artykułu. Po chwilowym jednak zastanowieniu okazało się, że jest ono tym, czym były wyrzuty księdza na ławce parkowej, kiedy przyglądał się znikającemu jakale. Ja podobnie się czułem, kiedy zdałem sobie sprawę, że gdybym był zdecydował się pójść do szpitala w poniedziałek, byłbym może osłodził nieszczęśliwemu człowiekowi ostatnie momenty jego smutnego i pustego życia.

Zyjemy w czasach postępującego materializmu; rozwój techniczny, tempo, relatywna łatwość zdobycia pieniędzy otwierających dzwierze do rozkoszy tego świata-molocha,

przysłania człowiekowi prawdę jedyną naszej tutaj na ziemi egzystencji. Można by rzec, że w obecnych, historycznych warunkach naszej cywilizacji, ogromna masa ludzkości przechodzi poprzez straszliwą erę przegnębienia i marazmu duchowego. Większość dusz jęczy pod ciężarem udreki i rozpacz, nie jest zdolna do wzniesienia się ku światłości. Masa ukrzyżowanych jest wstrząsająca. Gdy medytujemy nad tą uniwersalną tragedią, nasuwa się nam na myśl automatycznie echo ostatniej wojny, wieczny krzyk wymordowanych, bolesna utrata wolności. Pomyślmy jednak o mniej apokaliptycznych wydarzeniach. A więc o tym szarym gryzi-piórku, którego rutyna zasuszyła w powodzi lat urzędowania, o wykorzystywanym robotniku w piekle nowoczesnych fabryk, o nieszczęsnej kobiecie, która opuszcza ognisko domowe, by zarobić parę groszy na wyżywienie swoich głodnych dzieci. Na tej ziemskiej glebie wyrosło coś w rodzaju „duchowości spętanej“, która nie ma czasu myśleć o Bogu. Aby ją rozbudzić z tego koszmarnego stanu, trzeba by było jakiegoś wstrząsającego cudu, lub biblijnego kataklizmu. Złoty cieciek olśniał człowieka i ściga go bezlitośnie na „v.a crucis“, jako ofiarę całopalną na scenie współczesnej pantominy zdrętwiałego ducha. Maszyna wrzuciła mu na ramiona krzyż...

Człowiek utracił poczucie poezji. Przyglądanie się chmurom na błękitnym widnokręgu jest niedorzecznością, a spojrzenie bliźniego szukającego wsparcia i pomocy napawa znudzeniem i niechęcią. Udaje mu się często znaleźć „dobrobyt materialny“, szuka jednak stale, choć podświadomie, czegoś, co nie jest niczym innym, jak szukaniem miłości Bożej. Podobnie jak ów człowiek z książki Joba, który „błądzi w poszukiwaniu chleba, mając go pod dostatkiem“. Kiedy pomyśli jednak o „tamnym świecie“, trwoga chwyta go za włosy. Niepewność jutra, a co ważniejsze, wyrastająca z atawizmu trwoga przed tym, co znajduje poza ścianą grobu, nagle i zawsze, dzięki czuwającemu nad nim Bogu, przypina mu skrzydła. Lecz ciało zaplątane w wiklinach egzystencji nie może się tak łatwo wyrwać; coraz inne widzi trudności, opiera się i błąka w grzęzawicy życia. Jednak miłość Boga nieskończonego i jakżeż miłującego swoje zbłąkane dzieci, czuwa nad nim, jak niegdyś nad nieszczęśliwym Izraelem, któremu Pan rozsuwał wąwozy w wodach Morza Czerwonego i zsyłał mannę z nieba. Tę samą miłość, którą On czuje do całego rodzaju ludzkiego, wzbudza i w nas. Pod jej cudownym tchnieniem owieramy nagle zardrośnie strzeżoną kieszę, rzucając najlepszą monetę na tacę w kościele lub na wyciągniętą dłoń żebracza w kruchcie. Często jednak robimy to bez miłości bliźniego, a tylko, by zapewnić sobie zbawienie, jak faryzeusz z Nowego Testamentu. Tego Bóg się brzydzi, bo On żąda od nas miłości oraz uczynków nią ożywionych. Oczekuje od człowieka miłości, której nawet najdrobniejsza grudka ma większą wartość niż najwznioślejsze czyny bohater-skie i poświęcenie. Oczekuje Bóg od nas miłości, której zarodek nam wszczepił w chwili ulepiania pierwszego człowieka. Zdawałoby się, że żąda od nas tak śmiesznie mało, a jednak jakżeż naprawdę dużo, skoro nam tak trudno spełnić po Bożemu przykazanie miłości. W miłości Bożej zamykają się wszystkie cnoty i z niej tylko wszystkie się rodzą i mogą być jedynie praktykowane za pomocą tejże miłości. Bo chrześcijanin doskonały powinien kochać, gdyż miłość jest esencją chrześcijaństwa.

By spełnić jak należy tenże mandat chrześcijański, trzeba promieniować miłością, a nie zamykać się w niej na siedem spustów, niby w muszli na dnie morskim. Pomimo swej niezaprzeczonej wartości, jest ona często jak perła zagubiona w bezdusznych otchłaniach dewocyjnego egoizmu. Miłość nie tylko powinna otaczać aureolą tego wybranego, czy tego, co nagle zrozumiał, jak Sza-wel pod murami Damaszku, ale właśnie stać się potężną latarnią morską, której złocisty snop blasku oświeciłby drogę powrotu lub jej odnalezienie, rozbitkom i niepomnym tego świata na wzburzonej nawałnicą oceanie. Należy unikać dewocji, natomiast miłość prosta i nieskomplikowana, winna emanować od chrześcijanina doskonałego i chociażby mu się zdawało, że znajduje się w cianym pasie murów egzystencji na zielonym poletku swego życia, nie powinien wątpić ani przez chwilę, że królewski szlak Boży jest nie tylko dla niego, ale — jak dla owych kartuzów, co żyją w kontempla-

cyjnym odosobnieniu, a duchem wydzierają się ku swoim bliźnim, chwając wielkość i miłosierdzie Pana. Jak kapłani natchnieni Duchem Świętym, jak pierwsi chrześcijanie, co widzieli świętego Piotra i świętego Pawła oraz najukochańszego z uczniów Chrystusa, który nigdy nie miał umrzeć. Miłość, a przez nią życie w łasce uświęcającej, doprowadzi nas na szczyty najpiękniejszego istnienia, gdyż „Łaska Boga nie zawodzi“. A do owej sublimacji można dojść nie tylko w jakimś malowniczym klasztorze, zagubionym wśród lasów i gór lub leżącym nad lazurowym jeziorem włoskim w otoczeniu ascetycznych cyprysów lub w jakimś zacisznym eremie, czy lodowatej grocie bogobojnego pustelnika, ale właśnie jakże często wśród zgiełku maszyn dzisiejszych czasów, krzyku grzesznej ulicy. Na trzęsawiskach nędzy i rozpacz, na twardej skale nienawiści i gniewu, na ostrym szczycie zła. Niech zakwitnie bezinteresowna i głęboko-serdeczna ofiara nowoczesnego chrześcijanina, jak róża mi-

styczna miłości, jak kwiat lotosu na bagnach u brzegu Nilu.

I zakończę słowami Guy de Larigaudie, wyjętymi z jego prześlicznej książeczki „L'Étoile au grand large“: „Przemierzyłem świat cały, podobny ogrodowi otoczonemu murem. Przenosiłem moją wielką przygodę z jednego kontynentu na drugi i przeżyłem wszystkie; marzenia z mojego dzieciństwa spełniły się. Park mojego starego domu rodzinnego, gdzie stawiałem pierwsze kroki, rozrósł się aż do samych krańców świata; odegrałem na ogromnej mapie świata i na najpiękniejszą rolę mojego życia. I chociaż mury tego ogrodu li-tylko się cofnęły, ja stale jeszcze czuję się w ich ogromie, jak w klatce; ale nadejdzie dzień, kiedy będę mógł obwieścić wszystkim moją miłość i radość, a wtedy wszelkie zapory rozpadną się i zginą. Ja wówczas zdobędę nieskończoność“.

Henryk Czesław Sliwiński
(Madryt)

ZDZISŁAW E. WAŁASZEWSKI

MONTHERLANT — PISARZ KATOLICKI?

Spod patronatu Barrèsa, zgola entuzjastycznie witany przez Mauriaca, młody Henry de Montherlant, uczeń jezuickiego kolegium św. Krzyża w Neuilly pod Paryżem, wszedł na widownię literacką w roku 1920 książką pt. „La Relève du Matin“, by tak się wyrazić, pod sztandarem i egidą katolicyzmu. Nieco później inny katolik, Bernanos, kreuje go „największym może z naszych pisarzy żyjących“, a liczni odąd krytycy i apologety bogatej już dziś twórczości Montherlanta, ze strony katolickiej czy spoza niej, nie omieszkają poświęcać problemowi jego katolicyzmu szerokich omówień i wnikliwych nieraz dociekań. Ze jest to istotnie problem niełatwy, co więcej — otwarty, bo żaden chyba z pisarzy francuskich naszej doby nie stanowi takiej zagadki ideologicznej jak Montherlant, i nikt z takim upodobaniem i systematycznie nie starał się wielokrotnie zaprzeczyć temu co był uprzednio napisał, łatwo sobie uświadomić po przeczytaniu kilku chociażby jego dzieł. Jakikolwiek zatem będzie wydzwięk niniejszego studium i jakie bądź niespodzianki przyniesie nie zamknięta jeszcze twórczość, a przede wszystkim życie, względnie młodego jeszcze Montherlanta (ur. w r. 1896), wnioski, do jakich dojdziemy, nie mogą być ani ostateczne ani w zupełności sprawiedliwe.

Gdy kilka miesięcy temu brałem udział w dyskusji radiowej na temat dwóch sztuk katolickich Montherlanta pt. „Mistrz Zakonu Santiago“ i „Port Royal“, podtrzymałem w ogólnych zarysach opinię, że są to sztuki nie tylko z natchnienia i tematyki, ale i z gruntu katolickie. Raziła może pewna skłonność do przesady, do surowości niemal graniczącej z okrucieństwem w „Mistrzu“ i przesunięcie punktu ciężkości w „Port Royal“ za sprawy jansenizmu do problemu prawa do wolności wyboru życia bardziej lub mniej ewangelicznie surowego, jakie się spotykało w ówczesnym libertyńskim społeczeństwie siedemnastowiecznym, niemniej jednak nie wydawały mi się one sprzeczne z duchem katolicyzmu. Dzisiaj, po dłuższym obcowaniu i szerszym zapoznaniu się z pozostałą twórczością Montherlanta, spojrzenie to wydaje mi się ułatwione i wnioski niezupełnie usprawiedliwione. Stąd

też niniejsze studium jest jak gdyby pewnym sprostowaniem, a głównie, zajęciem nowego stanowiska wobec istotnego problemu katolicyzmu dzieł Henryka de Montherlanta.

Itak, by sprawę postawić ostro na samym początku, twórczość Montherlanta robi w znacznej mierze wrażenie twórczości nie tylko nie chrześcijańskiej czy katolickiej, (rozróżnienie dla autora nieomal przeciwstawne), ale zgoła wręcz pogańskiej. Jest to jednak tylko jedna strona medalu, bo po drugiej spotykamy wcale liczne utwory o tematyce religijnej lub moralizatorskiej. Sam Montherlant w posłowie do „Mistrza Zakonu Santiago“ uznaje ten podział za istotny, stwierdzając obecność w swej twórczości dwóch „żył“ — jednej „chrześcijańskiej“, drugiej „świeckiej lub gorzej niż świeckiej“.

Młody Montherlant ze wspomnianego debiutu i z drugiej powieści pt. „Le Songe“, może istotnie uchodzić za pisarza katolickiego. Gorący ton, szczerze i przyjazne uczucie, z jakim maluje życie w kolegium jezuickim z jego nabożeństwami, kadzidłem, liturgią świąteczną, z jego mądrymi księżmi-wykładowcami o głębokiej kulturze greckolacińskiej, jego pracą charytatywno-społeczną w aurze heroizmu, (a był to okres pierwszej wojny światowej), sprawiły, iż poczęto uważać Montherlanta za jeszcze jedno pióro, świetnie się zapowiadające, w szeregu wybitnych pisarzy katolickich najwyższej klasy. Tymczasem Montherlant dostaje się na front, odnosi poważne rany i po powrocie ulega głębokiej depresji, powszechnej — jak wiadomo — wśród ogromnej części młodych pisarzy i adeptów sztuki bezpośrednio po zakończeniu wojny. Montherlant łamie się w sobie, buntuje przeciw słusnym czy niesłusznym więzom, jakje nakładało nań życie i społeczeństwo, i w rezultacie wyrzuca wszystko za burtę — swoje tradycje arystokratyczne, swe więzy rodzinne, swe wreszcie dotychczasowe stanowisko wobec religii i rzuca się w wiry życia zmysłowego, oddając się odąd kultowi ciała i rozkoszy życia.

Kiedy później charakteryzuje okres swych pierwszych powieści, nazwie go lekceważąco etapem katolicyzmu „à l'italienne“. Istotnie bliższa analiza tych dzieł ujawnia, że nie

idzie tam o istotę katolicyzmu, ale o jego zewnętrzną, pokazową fasadę. Łączy Montherlanta z katolicyzmem nic bardzo wąta — nic wierności tradycji, podobnie jak jego mistrza Barrèsa. W przedmowie z późniejszego wydania „La Relève du Matin“ autor pisze: „Przyjmuję Chrystusa z punktu honoru i przez przywiązanie (par piété), tak jak się przyjmuje dziedzictwo po swych rodzicach, nawet gdyby miało ono przynieść z sobą tylko kłopoty. Aby zerwać z tym starym Genuszem ogniska domowego, potrzebowałbym niezbitych dowodów. Nie mam ich“. Już zresztą w roku 1923 wyrażał on podobną myśl w lamach „Nouvelle Revue Française“: „Żyłbym w ateizmie jak ryba w wodzie, ale jako że od sześciu wieków moja rodzina pozostawia po sobie pomniki, i niewątpliwie poza ten okres w noc przeszłości, znajduję tego Chrystusa w moim dziedzictwie i dlatego przyjmuję Go z całą resztą“.

Drugi etap twórczości Henryka de Montherlanta stoi w cieniu hedonizmu i kultu ciała. W następnej powieści „Les Bestiaires“ do głosu dochodzi walka byków, której autor hołduje od wczesnej młodości. Wielb w niej gust ryzyka, gust walki z rozjuszoną zwierzęciem, zapach krwi wsiąkającej w słońcem zalaną arenę, wrzawę oklasków, emocje i charkot konającego zwierzęcia. Obok, w powieści „Les Olympiques“, wnosi pean na cześć sportu, gry muskułów, prężności wyćwiczonego ciała. W „Aux Fontaines du Désir“ puszcza wodze niehamowanej zmysłowości i tak wśród podróży, wśród erotycznych przygód, wśród zajęć sportowych wpływa mu osiem lat. W dzienniku pt. „Carnets“ z roku 1930 pisze: „Przez osiem lat żyłem jedynie dla przyjemności, dla wyzwolenia wszystkich swych instynktów. Podczas tych ośmiolletnich saturnalni ledwie starczyło mi czasu na pożądanie“. W tym samym okresie pojawia się także pewien mistycyzm pogański i chęć wskrzeszenia praktyk związanych z kultem boga-słońca czy też perskiego bóstwa Mity.

W roku 1929 przychodzi poważna choroba i nawrót do chrystianizmu poważniejszego autoramentu. Montherlant odbywa rekolekcje u stóp „Czarnej Madonny“ na górze Montserrat, udaje się do Rzymu, spędza

Wielki Tydzień w opactwie Solesmes i pisze liczne teksty natchnione duchem wiary, zebrane później w tom pt. „Mors et Vita”. Powstaje jednak pytanie, czy ten kryzys lat trzydziestych doprowadza Montherlanta do wiary. Pani Marya Kasterska, która wydała w r. 1947 antologię tekstów katolickich Montherlanta pt. „Pages Catholiques” i poprzedziła ją wnikliwą przedmową, utrzymuje, że „Montherlant zawsze wierzył i wciąż jeszcze wierzy”. Czy tak jest istotnie? Osobiście daleki jestem od podobnego twierdzenia, jak również od zgody z opinią jakoby: „cztery tomy cyklu „Les Jeunes Filles” były ostatnim podrygiem pogaństwa”. A trudno mi się z tym zgodzić tym bardziej, że nawet wśród wybranych tekstów znaleźć można wypowiedzi tego typu: „Nie wierzę, ale cokolwiek bym uczynił, chrzest zachowuje mnie w gronie katolików. Nie chcę wyciągać korzyści z nadużywania wyrazu Kościół: jestem, co jest oczywiste, poza katolicyzmem. Stamtąd patrzę nań ze zmiennym usposobieniem i biorę co mi odpowiada dla mego życia duchowego i poetyckiego. Jednym słowem robię z niego ludzki użytek”, lub: „Usiłowanie pogodzenia bożka Pana z Jezusem Chrystusem będzie zawsze najdoskonalszym ćwiczeniem dla imaginacji”. Wynika z tego, że Montherlant nie znalazł wiary, nie przeżył w sobie wrodzonej skłonności do przyznawania wszystkiemu racji. Od tego czasu jednak widzi wyraźniej piękno wiary, słyszy głos pokory, docenia ów gest staruszki, która przez moment przytrzymuje drzwi do katedry Notre Dame, aby ułatwić mu wejście do wnętrza, ale jednocześnie w dziełach spotyka się coraz częściej otwarte bluźnierstwa i ostre szydzenie z wiary i Sakramentów. We wspomnianych „Notesach” z roku 1935 ośmiela się Montherlant nazwać religię „wstydliwą chorobą ludzkości”. Podobnie zdaje się zupełnie zapoznać jej transcendentalne pochodzenie: „Co za pycha wielbić Boga, dobrze wiedząc, że Bóg jest tworem własnej myśli. Wielbić swój własny twór, to wielbić samego siebie”.

W rzeczywistości ów kryzys natury duchowej nie daje Montherlantowi wiary. Dopomaga mu jednak to stworzenia własnego światopoglądu, niewiele odbiegającego od nietscheańskiego nihilizmu. „Notesy” pozwalają wnosić, że życie Montherlanta po roku 1929 nie zmieniło się radykalnie. Dochodzi cyniczny grymas i pewne rozgraniczenie czasu między pracą twórczą a użyciem. Powstają w tej epoce liczne powieści, a przede wszystkim cykl „Les Jeunes Filles”. Teksty katolickie z tego okresu są nieliczne. W dodatku, zdumiewający jest fakt, że pisze je ultra cynik i ateusz Costals, główny bohater czterotomowej powieści. Zdobywszy pewną równowagę ducha, przystępuje autor do wyłożenia swego systemu moralności w „Service inutile”, polegającego na twierdzeniu, iż wszystko jest pozbawione sensu i że aby żyć po ludzku, trzeba przynajmniej udawać, że się wierzy w jakieś wartości. Wszystkie zaś czynności ludzkie powinny nosić w sobie cechę jakości (qualité), co nie jest pozbawione w jego wycuciu subtelnych połączeń z pewną manierą arystokratyczną. Montherlant mówi dosłownie: „Trzeba żyć wzniośle i zachować w sobie pana”. W „L'Equinoxe de Septembre”, a szczególnie w „Le Solstice de Juin”, pod wpływem wydarzeń z lat 1938 do 1941, pojawia się znów znany z okresu po pierwszej wojnie kult siły i prężności. Zwycięstwo armii nazistowskich rozumie autor jako zasłużone upokorzenie chrześcijaństwa przez pogan w służbie słońca i pyta: „Czyżby swastyka nie była odmianą koła

słonecznego?” A w „La Solstice de Juin”, zapewne w bólu po klęsce Francji, w rezygnacji i zgodzie na status quo woła: „Galilejczyku, zostałeś pokonany, — i słusznie”, dodając z szyderstwem na wargach: „In hoc signo fugies!” (w tym znaku pierzchniesz).

Sed contra, w tym samym czasie ten sam Montherlant zajmuje jak gdyby pozycję wyczekującą względem Łaski i już niby widzi dla siebie miejsce w rodzinie chrześcijańskiej: „Gdybym miał kiedyś być rażony Łaską, stanąłbym na linii, którą ośmieliłbym się nazwać linią serca chrześcijaństwa, bo zdaje mi się, iż widzę jak biegnie ona, niczym sok w drzewie, do serca chrześcijaństwa: leży ona w tradycji, która wiedzie do Ewangelii do Port Royal, przechodząc przez św. Pawła i św. Augustyna i (czyż nie ociera się ona o Kalwinę?).” W tejże epoce powstaje pomysł sztuki, który się później przeobrazi w trylogię sztuk katolickich. Równie zaskakującym wydawać się może wpływ, jaki wywierają wówczas niektóre książki Montherlanta, daleko stojące od natchnienia katolickiego. I tak książki „Aux Fontaines du Désir” (U źródle pożądania), doprowadza czterdziestoletniego C. Rivière do powołania kapłańskiego, a inny duchowny doszukuje się w niej „oddechu wysokiej duchowości”.

Montherlant pozostaje jednak nadal pełen sprzeczności. Chrześcijaństwo go pociąga: „Chętnie skłaniam się ku respektowi dla Jezusa Chrystusa nie wierząc Weń, ale niechże wszędzie tylko słońce, niech zabrzmi pociągająca muzyka, a już znowu jestem pogańcem, już znowu jestem dla świata”, pisze w „Notesach”. W dodatku, stwarzając sobie własny system moralności, w którym zachowuje pojęcie dobra i zła, nie precyzuje ich granic. Obok rzeczywistego współczucia dla upośledzonych, dobrem zdaje się być dla Montherlanta to, czego domaga się jego instynkt. Tak dalece posunięty subiektywizm w sprawach moralności równać się może z zupełnym brakiem moralności i w żadnym wypadku nie można by go pogodzić z moralnością chrześcijańską. Dwa inne pojęcia, odnoszące się nie tylko do twórczości, ale i do życia, kompletują ogólny zarys światopoglądu Montherlanta. Są nimi — alternacja i synkretyzm. Pierwsze opiera się na zasadzie niehołdowania ani jednej idei do tego stopnia, aby wykluczała ona inną, stąd stała u Montherlanta zmiana tematyki religijnej i świeckiej, druga, na skłonności Montherlanta do przyznawania wszystkiemu i wszystkim racji. Dla Montherlanta bowiem pojęcie wyłączenia nie ma sensu. Ten filozoficzny dyktantyzm, podawany przez Henryka de Montherlant jako zasada mądrości życiowej, zdaje się urastać u niego do zasadniczej przeszkody na drodze do Kościoła. Montherlant, jak Petroniusz w „Quo vadis”, pod którego urokiem autor był w młodości, stoi na rozdrożu dwóch światopoglądów, niezdolny do wyboru — postać zaiste tragiczna.

Najnowszy okres w twórczości Montherlanta przynosi dwie ważne zmiany. Pierwsza — to wybór sztuki dramatycznej jako niemal wyłącznego środka ekspresji, druga — to wzmocnienie tematyki religijnej i moralnej. I zdawać by się mogło, że Montherlant po pięćdziesiątce znalazł się ponownie na skrzyżowaniu dróg i że tym razem znów się zbliżył do pojęcia pisarza katolickiego. Już w pierwszych dramatach pt. „Le Reine Morte” i „Malatesta” maluje on postaci matek i żon, przejęte duchem wiary i cnót chrześcijańskich, broniące stałości wężła małżeńskiego, życia nienarodzonych dzieci, wierności i

miłości małżeńskiej. Nawet osamotniony i szatańsko okrutny król Ferrante czy fałszywy Malatesta nie są zupełnie wyprani z tęsknot metafizycznych. Z wyrozumiałością gotowimy też usprawiedliwić surowe postępowanie Jerzego Carrion ze sztuki „Fils de Personne”, gdy w imię walorów moralnych stara się wychować swego syna Gillou na człowieka o pewnym szlachetnym pionie duchowym. Stąd też, kiedy w „Demain il fera Jour” spotykamy ojca w roli kolaboranta, a syna, który zawiódł jego oczekiwania, w roli bohatera Maquis, zaczynają się budzić wątpliwości co do rzeczywistej zmiany u Montherlanta i przypomina nam się zasada alternacji. W roku 1950 ukazują się znowu „Żyła pogańska” w sztuce „Celles qu'on prend dans ses bras”; świecka i niemoralna, a po wspomnianej trylogii katolickiej, sztuka pt. „Brocéliante”, z roku 1957, powinna też — według powyższego prawa należeć do tej grupy dzieł.

Pierwsza sztuka katolicka, to krótki i intensywny dramat pt. „Mistrz Zakonu Santiago”. Don Alvaro, mistrz ginącego zakonu św. Jakuba, zrozpaczony złem, które przyniosło ze sobą odkrycie Nowego Świata, odsuwa się od życia czynnego, by w samotności poświęcać się doskonaleniu wewnętrznemu i dążeniu do świętości. Zapatrując w ten ideał staje się uciążliwy dla otoczenia, Córka Marianna ma okazję wyjścia za mąż za młodzienca, którego kocha, ale przyszyły teść domaga się wiana i proponuje, aby Don Alvaro pojechał się wzbogacić do Indii Zachodnich. Naturalnie nie chce się on na to zgodzić, i tylko dzięki kłamliwej intrydzie poczyna się wahać. Dopiero wtedy Marianna, w nagłym olśnieniu Łaski, pojmując tęsknotę Bożą swego ojca, czyni ofiarę z własnego szczęścia i wstępuje z ojcem do klasztoru. Dramat ten jest wybitnym dziełem artystycznym, jak prawie cała produkcja Montherlanta, a wzrusza nas przede wszystkim tragizmem osoby, która osamotniona na drodze do doskonałości, wystawiona jest na ciągłe cierpienia i kompletne niezrozumienie. Duch surowego mistycyzmu i ewangelicznego miłosierdzia przenika całe dzieło do tego stopnia, że trudno przypuścić, iż dzieło to napisał człowiek niewierzący. Przy bliższej analizie, Don Alvaro, który wydawać się może typem świętego, ukazuje głębokie skazy. Można go pomówić, opierając się na licznych wypowiedziach, o egoizm i brak zrozumienia zasadniczego przykazania miłości chrześcijańskiej. Tu przypominają się słowa św. Pawła do Koryntian, poczynające się od zdania: „Gdybym mówił językami ludzi i Aniołów, a miłości bym nie miał, byłbym jako miedź dźwięcząca albo cymbał brzęmiący”. Nie ma on miłości nawet dla swej córki, o której mówi, że go degraduje, nazywając ją: „czymś co istnieje tylko z powodu jednej chwili słabości”. Zajął swym własnym postępowaniem duchowym, widzi w niej jedynie przeszkodę i gdy wreszcie w scenach końcowych oboje wznoszą się w regiony mistycznej ekstazy, jest to jedynie zasługa Marianny, która go za sobą pociąga. Don Alvaro, tłumaczy Montherlant, nie miał być w zamierzeniu autorskim chrześcijaninem doskonałym, ale werwa, z jaką broni swej postaci przed krytyką pozwala wnosić, że jest sercem po stronie tej najbardziej surowej, jansenistycznej postaci swego teatru. Cokolwiek jednak byśmy wysuwali przeciw tej sztuce, trudno nie przyznać jej ogromnej siły wyrazu, jak również pewnego gwałtownego piękna.

Druga sztuka katolicka pt. „La ville dont

le prince est un enfant", tematem wraca do debiutu powieściowego i jest zapewne w dużej mierze autobiograficzna. Rzecz dzieje się w internacie katolickim w Paryżu. Obraz stosunków tam panujących daje dużo powodów do rezerwy, choć, niewątpliwie, chodzilo autorowi o ton dodatni. W przedmowie czytamy: „Pragnąłem, aby dzieło, o którym mogę szczerze powiedzieć, że pisane było na kłęczkach, wywoływało nie tyle to co panuje na wyżynach, lecz to co się kryje w ciemnych zakamarkach miłości”. Wątek opiera się na konflikcie między przyjaźnią księdza prefekta i przyjaźnią prymusa dla czarnej owcy szkoły, nie pozbawionego czaru łobuza, Sandrier. Gdy przyjaźń ks. prefekta jest już przywiązaniem, „gdzie Boga już nie ma”, mówiąc słowami przełożonego, druga jest na tyle szczerą i ujmującą, iż gotowa nawet do ofiary z samej siebie. Nie imputując — bynajmniej — korupcji moralnej z jednej ani z drugiej strony, Montherlant maluje szkodliwy wpływ ks. prefekta kolorami na tyle czarnymi, iż piękna postać ks. przełożonego z trudem tylko ratuje wychowawców-księży od zupełnej dyskredytacji. Nie łatwo bowiem oprzeć się wrażeniu, iż doszło do przedstawionego konfliktu także z powodu karygodnego niedopatrzienia i pobłażliwości ks. przełożonego wobec księdza prefekta, którego niedoskonałość i nieodpowiedniość na takie stanowisko były mu znane. A ponieważ surowe konsekwencje tego konfliktu ponoszą młodzi uczniowie, w wieku zupełnie jeszcze bezbronnym, obawiać się można, że sztuka ta nie przyniesie wielkiej korzyści „prawdzie katolickiej”, jak mimo wszystko ufał Montherlant w przedmowie.

Sztuka „Port Royal” zahacza o istotę wiary daleko głębiej i wszechstronnie niż poprzednie. Nie jest to jednak w ścisłym sensie sztuka historyczna dotycząca znanych faktów związanych z rozproszeniem zakonnic z klasztoru Port Royal, pod zarzutem wyznawania heretyckich tez jansenistycznych. Tematem są właściwie wewnętrzne przeżycia siostr, a w szczególności dwóch z nich, z których jedna, pod brzemieniem identycznych wypadków, dochodzi do zachwiania wiary w Boga, druga do pełnego

zsolidaryzowania się ze stanowiskiem reprezentowanym przez przełożone i do wiary w jego słuszność. Taka tematyka, przy jednoczesnym odsunięciu sztuki od problemu jansenizmu, który był, w ostatecznej instancji, istotnym powodem do surowego potraktowania siostr z Port Royal przez Kościół, pozwoliła autorowi napisać sztukę, której bohaterki zdobywają z łatwością zupełne współczucie widza czy czytelnika, na niekorzyść Kościoła. I oczywiście trudno im nie współczuć, gdy jedyną jakoby ich winą było to, że nie chciały być „takie jak inni”, pragnąc prowadzić życie bardziej doskonałe niż ogół katolików świeckich i duchownych tej epoki. Ażeby osiągnąć taki efekt, odium całego wydarzenia spada na Kościół z jego groteskowym trochę arcybiskupem paryskim i na całą kohortę duchownych i świeckich, którzy mobilizują wojsko, aby wywieźć dwanaście zakonnic. Miernota z jednej strony, doskonałość z drugiej, brak wiary u samego arcybiskupa, dążenie do chrystianizmu ewangelicznie czystego u siostr, to zbyt uproszczenie sytuacji z r. 1664.

Nie tu miejsce, aby roztrząsać zawikłany problem jansenizmu, czy badać stopień karygodności w postępowaniu siostr z Port Royal, niemniej jednak wiadomo, że zakonnice tego klasztoru same nieraz dolewały oliwy do ognia swoimi memoriałami i swą wojowniczą postawą, stąd próba pełnego ich wybielania przy jednoczesnym podrywaniu autorytetu Kościoła nie może nie budzić poważnych zastrzeżeń. Co więcej, potwierdza ona spostrzeżenie, że katolicyzm u Montherlanta jest zawsze czymś, czego się raczej trzeba wstydzić, w przeciwieństwie do chrystianizmu. By podjąć jedną z najwymowniejszych wypowiedzi Montherlanta w tej sprawie, katolicyzm dla niego to najwyższy pewien typ cywilizacji, której twórcy dokonali wielkich rzeczy z pomocą ognia, miecza, oszustw i mordów. W przeciwieństwie, chrystianizm prowadziwy znajduje Montherlant jedynie po stronie surowej obserwacji, i niestety, widzi ją tylko gdzieś między Jansenizmem i Kalwinem.

Tak zatem wygląda problem katolicyzmu

Montherlanta? Niesposób odpowiedzieć jednym zdaniem. Montherlant nie należy do owieczek posłusznych i do trzody mu nie spieszo. Zbyt często i dobitnie odgradzał się od Kościoła, aby go do niego ciągnąć przymocą. Dumny ze swej wolności, żyje dla swojego dzieła, skierowując zainteresowania to tu to tam, bez wewnętrznego angażowania się. Rygor doktryny katolickiej go odstrasza. Nie dostrzega, że wolność, którą się tak szczyci, nie odbiega daleko od pojęcia anarchii intelektualnej i moralnej. I tu leży zapewne zasadnicza przeszkoda na drodze do Kościoła. Przyjęcie pełnego chrystianizmu musiałyby być poprzedzone porzuceniem światopoglądu, który przynajmniej już od roku 1929 uważa za swój. Czy Montherlant zdobędzie się na taki krok? Przyszłość wykaże.

Mimo dużych osiągnięć Montherlanta w dziedzinie twórczości religijnej i pomimo faktu, że dzieła jego wywierają nieraz wpływ zupełnie pozytywny, budząc sumienia i podsuwając problemy metafizyczne, co więcej, że stawały się one instrumentem łask specjalnych, Montherlant nie może uchodzić za pisarza katolickiego. Zbyt często zdaje się nam, że mamy do czynienia li tylko z doskonałym warsztatem pisarskim, który pozwala pisać tak jakby się rzeczywiście wierzyło. W istocie Montherlant jest przede wszystkim wielkim artystą słowa... czasami słowa bez pokrycia. Dla prawdy trzeba dodać, że Montherlant nadal zdaje się trwać w pozycji niezdecydowania, między pragnieniem wiary a niemożnością zrezygnowania ze swego widzimisię. Czasem jednak dobywa się z jego ust skarga na ten stan wyobcowania i budzi się tęsknota za prostotą i niezłożonością. Niezwykle osobisty ton brzmi w jednym z najbardziej szczerych zdań, które wypowiada zagadkowy król Ferrante z „La Reine morte”: „O Boże mój! w tej krótkiej chwili, która mi jeszcze pozostaje zanim się nie zjawi miecz i mnie unicestwi, uczyni, aby rozciął ten straszliwy węzeł sprzeczności, który jest we mnie, abym wreszcie przez moment wiedział czym jestem”.

Zdzisław E. Wałaszewski

SŁOWO O BELLOCU

Książka „The Crisis of Our Civilisation” H Belloc'a nie jest już dziś nowością wydawniczą, ani sensacją historyczną. W ubiegłym roku upłynęło dwadzieścia lat od jej ukazania się. Pisana w okresie wojny domowej w Hiszpanii*) jest ona apologią chrześcijaństwa jako wielkiej siły cywilizacyjnej. Jednocześnie jest rachunkiem sumienia Europy, będącej w stanie śmiertelnego zagrożenia przez siły wojującego komunizmu.

Pomimo upływu lat, teza autora o wielkości i wyjątkowości historycznej misji ka-

tolickiej Europy i grożącym jej niebezpieczeństwie ze strony ateistycznego komunizmu nie straciła nic ze swej aktualności.

Belloc wyprzedził swoją epokę, dlatego jest ciągle nowy i aktualny. Spośród około czterdziestu jego książek na tematy historyczne i polityczne niewiele jest takich, które by nie były po dziś dzień na czasie.

Odwaga przekonań wielkiego pisarza i jego pasja prawdy sprawiły, że niektóre z tych dzieł są zupełnie sensacyjne mimo uczonej szaty i bezpretensjonalnych tytułów. Prawie wszystkie mają wiele bezpośredniej żywości, tak pasującej do zagadnień dzisiejszego dnia.

Utalentowany poeta, oryginalny myśliciel, historyk wielkiej miary, świetny polemista i reformator społeczny, Belloc (1870-1955) zamknął w nich wiele z tego, czym żyła i żyje nasza epoka. Poruszył najbardziej palące zagadnienia naszych czasów. Przeciwstawiał się socjalizmowi, piętnował etatyzm i ostrzegał przed skutkami naiwnej wiary w dobrodziejstwa technokracji.

Belloc wykazał przy pomocy licznie zgromadzonych dowodów naukowych, że ewolucja i tłumaczenie pochodzenia człowieka rozwojem gatunków jest koncepcją tak samo nienaukową, jak nieprawdziwą jest historia Europy bez chrześcijaństwa, jako religii objawionej i bez Kościoła — jako wielkiej instytucji historycznej.

Był wielkim realistą, choć czasem występował w obronie spraw zupełnie niepopularnych lub wręcz straconych.

Do takich należała kwestia drobnej własności i samodzielnych warsztatów rzemieślniczych. To robi wrażenie spóźnionej pochwały zamierchłej przeszłości. Tymczasem Bellocowi chodziło o to, żeby za wszelką cenę przywrócić człowiekowi wolność ekonomiczną. W tym był konsekwentny aż do niemożliwości. Stale podkreślał potrzebę uwłaszczenia proletariatu. Uważał, że dla bytu narodowego jest to ważniejsze niż korzystny import.

W wielu pismach Belloc'a uderza zasadnicza postawa, w której wyrażały się wszystkie dążenia rewizjonizmu katolickiego, będącego reakcją nielicznej grupy ludzi na pewne zdarzenia historyczne, jak Reformacja i Rewolucja Przemysłowa, oraz ideologie, jak so-

*) Tę drugą próbę zbrojnej ekspansji materialistycznego ateizmu porównuje Belloc do groźby Islamu, która zawiła nad Europą VII wieku. (Pisząc o pierwszej zbrojnej próbie rozszerzenia komunizmu w Europie, Belloc przypomina rolę, jaka przypadła wtedy Polsce i cytuje słowa Abernona, ówczesnego ambasadora angielskiego w Berlinie, który nazwał bitwę warszawską „jedną z decydujących bitew świata”).

cializm i marksizm, których charakter antyeuropejski dla Belloca nie ulegał kwestii.

Belloc, historyk, czytał w tych wydarzeniach zdradę wielkich ideałów cywilizacyjnych, które stworzyły historyczną Europę. Belloc, polityk i moralista, widział, że potępione przez Kościół ideologie popychają Europę do ostatecznego upadku.

Poglądy Belloca, nawet te zupełnie niepopularne, i — zdawałoby się — wprost niemożliwe do przyjęcia, nabierają właściwej głębi w świetle jego argumentów, najpełniej wyrażonych w książce „O kryzysie naszej cywilizacji“.

Jest kilka fundamentalnych zasad, na których Belloc opiera swe rozważania. Specjalnie warto wymienić przynajmniej dwie: „Charakter grup społecznych określa kultura duchowa wchodzących w ich skład ludzi, kształtowana przez religię. Religia jest najistotniejszym elementem każdej formującej się cywilizacji.“

„Prawdziwa historia jest obiektywna.“

Historycznie początki naszej cywilizacji wywodzą się ze świata grecko-rzymskiego, który „umierał z rozpacz“ — jak to określa Belloc cytując wiersze Catullusa: Nobis cum semel occidit brevis lux, nox est perpetua una dormiunda. („Gdy zgaśnie nam światło krótkiego życia, Noc tylko ciemna będzie po wieczny czas.“) — z rozpacz, że nie ma powrotu ze śmierci. Cywilizacja grecko-rzymska była pozbawiona prawdziwej religii i nie znała obietnicy Odkupienia.

Nowa cywilizacja miała przynieść nadzieję wiecznego życia. Tego dokonało chrześcijaństwo, zjawiając się jak wielka siła ożywcza, pod tchnieniem której przemienił się antyczny świat.

Nawrócenie Cesarstwa Rzymskiego — mówi Belloc — było czymś więcej niż tylko

najważniejszym rozdziałem w dziejach ludzkości, największym wydarzeniem w historii naszej rasy, zjawiskiem w skali Nowego Stworzenia. To było wydarzenie, które raz na zawsze określiło kierunek rozwoju naszej cywilizacji.

Pojawienie się chrześcijaństwa miało znaczenie zupełnie wyjątkowe, było czymś niepowtarzalnym, czymś, czego z niczym w historii porównać się nie da: „Może ktoś zgadzać się z chrześcijaństwem lub nienawidzić go, sam jednak fakt pojawienia się nauki chrześcijańskiej w Europie pozostanie na zawsze zjawiskiem jedynym. Jest prawdą historycznie stwierdzoną, że podobna rekonstrukcja upadającej cywilizacji nie miała nigdy miejsca ani przedtem, ani potem.“

„Odnowienie cywilizacji grecko-rzymskiej dokonało się pod wpływem doktryny i dyscypliny, jak również ducha i charakteru historycznej instytucji, jaką jest Kościół.“

Kryzys naszej cywilizacji, sięgający swym początkiem okresu późnego średniowiecza i renesansu, wybuchł ostatecznie w Reformacji, której skutki polityczne i gospodarcze pozostawiły w Europie trwałe piętno rozbiicia i walk wewnętrznych.

Pierwszym rezultatem Reformacji było złamanie się wspólnego autorytetu o charakterze międzynarodowych i wspólnych tradycji moralnych, które wiązały narody Europy w jedną wielką wspólnotę.

Za tym poszło całkowite odrzucenie zasad średniowiecznej ekonomiki i organizacji pracy, torując drogę niczym nie krepowanej konkurencji. Nadużywanie swobody umów o pracę doprowadziło do zachwiania się wewnętrznej równowagi gospodarczej w społeczeństwach i wywołało gwałtowne przesunięcie się przewagi politycznej i gospodar-

czej w ręce klasy posiadającej, której kapitalistyczna teoria gospodarowania zapewniała stały wzrost bogactwa i wpływów. W ślad za tym szło likwidowanie drobnej własności ziemskiej i niezależnych warsztatów rzemieślniczych oraz powstawanie mas proletariatu.

Dla Belloca powstanie kapitalizmu było w pierwszym rzędzie rezultatem wypaczenia nauki Kościoła. Po wypaczeniu doktryny przyszła zupełna obojętność moralna, w atmosferze której system kapitalistyczny utwierdzał się. Dopiero jednak całkowite odrzucenie nauki Kościoła i wzmocnienie się ateizmu przyniosły ze sobą materialistyczny komunizm.

Wzajemny stosunek tych dwóch systemów Belloc określa następująco:

„Kapitalizm przemysłowy miał własny kodeks zasad moralnych, w których wychował sobie dziecko, podobne zupełnie do siebie...“
„Dzieckiem tym była filozofia społeczna najpierw niejasno określana nazwą socjalizm, później dokładniejszym i bardziej logicznym terminem komunizm.“

Komunizm jest nieodrędnym dzieckiem kapitalizmu i dlatego jest antyeuropejski, tak jak kapitalizm i poprzedzające jego powstanie wypadki historyczne.

Wyjście z kryzysu jest w powrocie do prawdziwej nauki Kościoła, który jest twórcą Europy: „The faith is Europe and Europe is the Faith**“ (wiara to Europa, a Europa to wiara)...

W. T.

***) Z książki Belloca „Europe and the Faith“. London 1920. Książka ta była reakcją tego wielkiego pisarza na bolszewicką inwazję Europy.

DYSKUSJA „SPROWOKOWANA**“

STARZY I MŁODZI

TERESA SKÓRZEWSKA

„Słuszne zarzuty stawiane przez „Merkurusa“ (p. «Kryzys „Zycia“», nr 11, grudzień 1957) wymagają uczciwej odpowiedzi.

Wśród cytowanych i przyznawanych przyczyn cofania się pisma, czemuż przemilczać najważniejszą, jaką był niestety czynnik personalny?

„Merkuriusz“ stwierdza, że ZYCIE było w ostatnich latach coraz słabiej redagowane. Wynikło to po prostu z kolejnego usunięcia redaktorów Jana Tokarskiego i następcy jego Jana Bielatowicza. Pierwszy wnosił rzetelną erudycję w wielu dziedzinach z katolizmem związanych, drugi wyjątkowy węż pisarski; obaj — zaletę redaktorską sine qua non dla postawienia katolickiego pisma na właściwej płaszczyźnie: chrześcijańską życzliwość, wychodzącą ludziom na przeciw, przyciągającą współpracowników, oraz prosty, bezpośredni stosunek do nich, podstawę istotnej współpracy. Jest jasne, że gdy ich przy biurku redakcyjnym zabrakło, rozpadł się i zespół tych, którym ich impuls twórczy był stałą do współtworzenia pisma podnieta.

Kryzys ZYCIA stał się istotnie tak ostry, że zrozumiano wreszcie co stracono. Po kilku latach pojawiło się na nowo w piśmie nazwisko Tokarskiego, i niebawem ukazało się parę artykułów wartych przeczytania.

Dwa z nich, to właśnie artykuły autorów

znanych mi z „Merkurusa“. Zważywszy, że jeden z nich przyznaje się do trzydziestki z okładem, a sposób pisania drugiego jest nie mniej zrównoważony i dojrzały, czemu je właściwie Redakcja wyodrębnia jako pisane przez „młodych“ o młodych? Jest coś niezdrowego w segregacji Polaków na uchodźstwo według pokoleń, niczym roczników poborowych.

Dwudziestoczteroletni Churchill został ongiś członkiem brytyjskiego House of Commons i zyskał równe z najstarszym posłem uprawnienia do reprezentowania i kształtowania Wielkiej Brytanii.

Z. Ławrynowicz, który w 1953 roku modelał się, by Bóg „jak promień złoty, co barwny witraż budzi w jasne rano... ożywił zszarzałe ściany duszy zadumanej nad własnym smutkiem i nad nędzą świata“ („Zycie Akademickie“, nr 11 z r. 1953) oraz Paszkiewicz, który równocześnie opowiadał o dębnie „jak się rodził, jak tężeje i walczy, w jakim cierpliwym sposobie coraz jest mędrszy i starszy“ — dziś, o pięć lat później, godzą się dalej „w cierpliwym sposobie“ tłumaczyć „starszemu“ społeczeństwu, co się dzieje w „nursery“ młodego pokolenia. Lata mijają, ale ani jedna, ani druga strona nie znalazły daty, kiedy „upełnoletnienie“ młodego pokolenia złączyłoby je w jedność z całością społeczeństwa.

Redakcja wzywa czytelników do dyskusji nad artykułami „Pokolenie bez przydziału“ i „W sprawie niemych“. Wydawałoby się, że nie ma tu p o w o d u dyskusji. Oba eseje dają przemyślane i rzeczowy obraz grupy ludzkiej dojrzewającej w próżni, pozbawionej normalnego podłoża zakorzenień, a przecież nie ustającej w wytrwałym wysiłku znalezienia racji bytu.

Więcej mam dla młodych, opartego na dwunastu latach bliskiego z nimi współzycia, szacunku, niż chęci dyskusowania na ich temat.

Bulgoce jednak na podwórku emigracyjnym bigos tyłu obustronnych nieporozumień, że może potrzeba, aby i ze strony „starców“ odzywali się ci, którzy razem z Paszkiewiczem nie widzą w młodzieży abstrakcyjnego stworu, lecz szereg nieraz bliskich i drogich, ludzkich twarzy, wartych kredytu zaufania.

Przystąpmy zatem do życzonej dyskusji, a raczej spróbujmy. Bo trzeba odzyskać i zaufanie, że warta wymiana zdań we współ-

*) Patrz artykuły: Z. Ławrynowicza „Pokolenie bez przydziału“ i M. Paszkiewicza „W sprawie niemych“ — ZYCIE nr 4. RED.

nym szukaniu prawdy, stała się na łamach ZYCIA znowu możliwa.

Przed wszystkim poznajmy młodych, na których temat wiele się przelewa żołączką zaprawionego atramentu, a o których wie się właściwie mało. Ich o s o b i s t e dzieje są bardzo różne i różne wyrzeźbiły sylwetki.

1

Najpierw dzieci, które w 1939 roku w pierwszej fali emigracji przedostały się z rodzicami do Francji, a po jej klęsce do Anglii. Uzyskały tu warunki normalnego ogólnego i zawodowego wykształcenia, najczęściej w uczelniach angielskich. Stopień nasilenia ich polskości zależy w dużej mierze od atrakcji kultury i tradycji rodzinnej, jaką umiały zachować i przekazać dom. Skuteczną w ich narodowym wychowaniu pomogło Polskie Harcerstwo, a ważkim uzupełnieniem wykształcenia tej grupy, która zapoznawała się w szkołach wyłącznie z kulturą angielską, były kursy wakacyjne organizowane w latach powojennych przez Karolinę Lanckorońską. Razem z Paszkiewiczem, Kielanowskim i innymi, w dziesięciodniowych cyklach wykładów, kontynuowanych przez cały szereg okresów wakacyjnych, dała dzieciom skondensowany obraz rozwoju historycznego Kraju, jego piśmiennictwa i sztuki. Miałam możliwość obserwować jak decydującą rolę odegrała ta placówka w odzyskaniu świadomości narodowej niejednego z młodych. Jej znaczenie nie zostało docenione przez starsze społeczeństwo. Jakże inaczej wytłumaczyć sobie, że oficjalne czynniki emigracyjne nie umiały oszczędzić inicjatorce szeregu przykrości, którymi zrażona czuła się moralnie zmuszona przerwać swoją działalność. Starano się jakiś czas naśladować jej dzieło, ale instytucje rzadko zastępują skutecznie inicjatywę jednostki. Po ustąpieniu Lanckorońskiej widziałam, zamiast tłumnie wypełnionej młodzieżą sali, żałosne zebranie, gdzie na doskonały zresztą wykład Taborskiego o teatrze polskim, ściągnęło pięciu słuchaczy. Tak niezauważone wysychają ważne źródła polskości.

2

Nowy przyływ młodzieży polskiej na wyspę nastąpił po zakończeniu działań wojennych. W 1946 roku, razem z 2 Korpusem, przybywają do Anglii stworzone przez niego szkoły z kilku tysiącami dzieci, które energia gen. Andersa wyratowała z Rosji. Dzieci te — to nieraz szczątki całych rodzin wymarłych na wygnaniu. Najdziwniejszymi drogami docierały z głębi Rosji i Syberii do ośrodków tworzącej się polskiej armii, gdzie przygarniali je żołnierze, nianczyli, dzielili z nimi własne przydziały żywnościowe. Wychowanie dzieci było takie, że mimo troskliwych starań ogromny procent wymierał.

Improwizowana opieka szybko rozwinęła się w szereg szkół, które dalej etapami Korpusu, poprzez Palestynę, Egipt, Italię dotarły do Anglii. Wśród uczniów wiele sierot. Sama pamięć rodziców zatarła się w zanemizowanych mózgach, razem z pamięcią rosyjskiej nędzy. Oczy ich otwierały się na świat ciekawie i łapczywie w w wojskowych transportach, wywożących ich do krain obfitości, w namiotach i beczkach obozów szkolnych. Ich krajem lat dziecinnych jest żołnierski zespół Korpusu.

Warunki, w jakich dziecko wzrasta, modelują człowieka: przeszłość trwa w każdym z nas. Gdybyśmy my uprzytomnili sobie ten fakt, mniej oburzenia, a więcej zainteresowanej sympatii kierowalibyśmy ku „odmienności” młodego pokolenia, wyniku lat szczeniących, tak bardzo różnych od tych, które nas kształtowały.

Szkoła była nieraz jedynym znanym im namiastkiem rodziny. Niektóre szkoły z wielkim poczuciem odpowiedzialności tę rolę spełniały. Z bliżej mi znanych mam na myśli szczególnie Szkołę Młodszych Ochotniczek, która w chwili najcięższego kryzysu w rozpraszającym się Korpusie, zwartym batalionem, we wzorowym porządku, przybyła z Nazaretu do Anglii. Twórczynią i kierowniczką tej szkoły, pani Kościakowska i Sychowska, umiały dziewczętom stworzyć namiastek domu w najlepszym znaczeniu. Polskie czynniki oficjalne w Anglii nie doceniały jednak wagi ciągłości wychowawczej i osobistego związania wychowanków z wychowawcami. Związanie niemal rodzinne tej społeczności dzieci zostało brutalnie przerwane tworzeniem całkiem nowych jednostek szkolnych. Podkreślałam raz jeszcze, że to pokolenie nigdy nie miało czasu i miejsca na zapuszczenie korzeni: z etapu na etap dosłownie je unosząc życie tylko coraz to odrywało je od wszelkich przywiązań. Wiele hartu wykazały jednostki, które w tych warunkach umiały nie zatonać w cynicznym zobojętnieniu i negacji wszelkich wartości.

3

W latach 1948 do 1950 przybywały do Anglii dalsze transporty dzieci, które po wyjściu z Rosji żyły kilka lat w obozach dla uchodźców cywilnych zorganizowanych w Afryce. Izolacja tych obozów, rozrzuconych po olbrzymich przestrzeniach, wytwarzała znowu inny typ dziecka. Chłopczków, których jako nauczycielka tworzonych na terenie Anglii polskich szkół musiałam spędzać na lekcje, strząsałam jak gruszki z drzewa, na które wspinali się z małpią zręcznością. Fantazja ich była wspaniale rozwinięta. Zachwycającymi rytmem i barwą obrazkami pokazywali mi jak to było „u nas w Afryce”. Dzieciaki nieokiełzane i dzikie, a jakże subtelnie wrażliwe. Niezawodnym środkiem uspakajającym zgłębionej klasy była np. lektura „Nadberezeńców” Czarnyszewicza. Milkły zasłuchane. A z jaką ekspresją ilustrowały swoje przeżycie bajek Andersena. Niebawo urodzaj zapowiadał się na tym ugorze.

Niewielu ze „starców”, którzy dziś — energicznie odgryzających się „młodych” próbują walić po lepkach, trudziło się śledzeniem ich okresu „stawania się”, gdy czynne zainteresowanie ludzi dojrzałych mogło na niejednej egzystencji decydująco zawążyć. Pozostały mi w pamięci osobiste próżne wysiłki kontaktowania pokoleń.

Z zagranicy przybył w owym czasie do Anglii z cyklem wykładów jeden z artystów umiejących rozniecać iskry. Wobec miłości sztuki wyraźnie zarysowującej się w dzieciach zależało mi, by kilka dni spędził w naszej szkole. Spotkanie z artystą z prawdziwego zdarzenia, we właściwej chwili, była dla dziecka katalizatorem, podniętą rozwoju, z jaką lata cierpliwej pracy nauczycielskiej nie mogą konkurować. Chłopcy to czuli, spontanicznie obrzucali go listami, błagając o przyjazd. Nadzieja osobistego zetknięcia z człowiekiem, z którego sztuką ich zapoznałam, była dla nich istotnym przeżyciem. Nie mniejszym przeżyciem — jego odmowa. Z takich to zawodów tworzy się przepaść między pokoleniami, której późniejsze polemiki nie wypełniają.

Szkoły nasze pozostawały wysepkami, na które mało kto miał ciekawość dotrzeć. Dzieci w Anglii rosły samotnie. Wprawdzie obozy szkolne z internatami, nauczycielkami i personelem pomocniczym, kaplicą i księdzem, nabierały szybko cech polskich wiosek, ale i temu życiu zabrakło trwałości.

Szkoły tworzone dla zapewnienia opieki i wykształcenia dzieci emigrujących do Anglii bywały, z chwilą zwolnienia i ustania przyływu, przenoszone, komasowane, likwidowane. Nie mogły więc na dłuższą metę spełnić roli w warunkach emigracyjnych najważniejszej: ciągłości, umożliwiającej gruntowne poznanie dzieci. Klęską było również pozbawienie absolwentów oparcia, jakim — mimo wszelkich trudności — szkoły nasze przez cały czas swego trwania być się im starały. (Ostatnia została zlikwidowana w 1957 roku.)

Olbrzymie doroczne zjazdy byłych uczniów na zakończenie każdego roku szkolnego przeczyły „instyktom separatystycznym”, o które się młodzież wciąż pomawia (p. J. B. „Po lepkach” w ZYCIU nr 4/553). Ze wszystkich stron wyspy, wszelkimi środkami lokomocji spieszyli corocznie, by jeden z week-endów lipcowych spędzić w towarzystwie młodszych kolegów i — starych nauczycieli. Ze garnęli się wyłącznie do „starców”, których zyczliwość konkretnie znali, jest zrozumiałe, że miejsca spotkań zabrakło — smutne. Tragiczne wrażenie robiło ostatnie rozdanie polskich świadectw maturalnych w 1957 roku, już poza Lilfordem. dogorywającą wówczas ostatnią z naszych szkół. Tłum uczestników uroczystości cisnął się na schodach, nie mogąc się zadną miarą pomieścić w salce Związku Lotników, i rozszedł się, tym razem definitywnie bezdomny.

4

Poza wymienionymi powyżej dotarła do Anglii po zakończeniu działań wojennych jeszcze jedna grupa: młodzi ludzie, dojrzały. Jeśli nie latami, to osobistym udziałem w martyrologii Kraju: pobyt w więzieniach lub obozach koncentracyjnych, czynnym udziałem w Powstaniu. Po wejściu aliantów do Niemiec uwalniani, dołączali do polskich oddziałów. Część dotarła do 2 Korpusu w Italii i zgłaszała się do jego szkół, by doprowadzić do końca coraz to przerywaną naukę. Dzieci omawiane poprzednio były biernymi ofiarami wojny, wywiezionymi z Kraju tak wcześnie, że znały go wyłącznie ze wspomnień otoczenia. Ta nowa grupa przybywała z Polski rozżarzona walką, zgorzkniała klęską, nieufna względem tych, których lata wojenne zeszyły poza Krajem, ukształtowana inaczej niż my wszyscy, przeszłością, której każda sekunda była rozprawianiem się z niebezpieczeństwem i śmiercią. Nielatwo dopuszczali nas do tej przeszłości, która jątrzyła w nich żywą, starannie ukrywaną raną. Umysły dzieci, które przebywały przez Rosję, wymagały rozbudzenia, intensywność myśli młodzieży powstańczej była taka, że z trudnością jej się nadażalo. Lekcje zamieniały się w niezapomniane dyskusje.

Okres zetknięcia się w szkole w San Giorgio (przeniesionej do obozu w Foxley) z dziewczynkami z Powstania Warszawskiego pozostaje w moim osobistym wspomnieniu rzadkim spotkaniem pokoleń, które doprowadziło uczucie i skutecznie do znalezienia wspólnego języka.

Nieustające reorganizacje sprawiły, że zaraz po ich maturze i ta szkoła przestała istnieć. Nauczyciele powoływani do coraz to nowych zadań nie mieli możliwości przedłużać kontaktu z młodzieżą szkół dawnych, która ruszyła w dalsze drogi, związana między sobą, całości emigracji — obca.

*

Z czasem głos młodych stał się dosłyszalny w „Zyciu Akademickim”, które w 1955 r. przeistoczyło się w „Merkurysza”.

O „Merkuryszu“ słyszałam zrazu tylko ze wzburzonych krytyk starszego społeczeństwa. Podczas pobytu wakacyjnego młodzieży uniwersyteckiej w naszej szkole w Lifford (Obóz „Veritasu“ w sierpniu 1955) miałam jednak możliwość zapoznać się z kilkoma członkami jego zespołu redakcyjnego. Otrzymałam od nich wszystkie numery pisma. Czytanie ich zrobiło na mnie duże wrażenie. Przytaczam jako jeden z licznych przykładów zapatrywań, nad którymi warto się zastanowić, Bolesława Taborskiego: „Źródło niepamięci”. „Najwyższa ziemską lojalność — pisze autor — jaką jest ludzkość, sprowadza się do całkiem konkretnie pojętej miłości bliźniego. Do zainteresowania się i przejęcia losem k a ż d e g o człowieka. do aktywnego działania na miarę własnych możliwości, by świat stał się bardziej „ludzkim miejscem“.” Dalej autor przestrzega przed pokusą „egoizmu, który odrzucając wszystko co nieprzyjemne, pilnuje, by nic nie zakłócało gładkiej powierzchni naszej studni niepamięci“.

Zetknięcia osobiste przekonały mnie, że taki postulat nie jest wśród młodych tylko teoretycznym dezhydratem, lecz stawianym sobie wymaganiami, które realizują, ofiarną

z pomocą i poczuciem odpowiedzialności wzajemnej, w stopniu wyższym niż starsze pokolenie. Do „umierania za ojczyznę“ zraziło tych młodych strasliwe doświadczenie Powstania. Przykład Anglików wzbudził w nich idiosynkrazję do patriotyzmu afiszów. Nie zabił w nich natomiast woli pracy dla Kraju, służenia mu pracą i wiedzą, i to mimo otwarcia im łatwiejszej drogi wsiąknięcia bez reszty w życie Zachodu.

Flew w żadnym czasopiśmie nie brak. Są i w „Merkuryszu“. Na więcej wyrozumiałości niż gdzie indziej zasługują w miesięczniku, stworzonym i wydawanym bezinteresownym wysiłkiem młodych, walczących w jakże trudnych warunkach, choćby o zachowanie czystości polskiego języka. Mimo że na temat niektórych artykułów polemizuję z ich autorami (np. „Moralne prawo“ Taborskiego nie wydaje mi się na poziomie jego „Studni niepamięci“), wysiłki ich i dokonania są mi źródłem radości. Nie dziwi mnie, że młodzi od najwcześniejszych lat zmuszeni sobie samodzielnie i samotnie drogi torować, nie lgną do ideałów naszego pokolenia, a cieszy, że przetrwała w nich miłość Polski, że kością z jej kości się czują.

Tej samej radości daje wyraz Wit Tarnaw-

ski w liście do redaktora „Merkurysza“, drukowanym w nrze 11 1955 r., gdzie pisze: „uradowało mnie poza dobrym poziomem pisma przede wszystkim jedno: nawiązanie do polskiej i aż staropolskiej tradycji. (...) Na tym polega prawo postępu: na wyrastaniu ze starej formy, lecz wyrastaniu ponad nią, na kształtowaniu się na jej modłę, lecz zmaganiu się z jej zacieśnieniami. (...) Przeszłość była oczywiście różnolita, ma swoje szczyty i niziny. Na szczęście prawem naturalnym nawiązujemy najczęściej do jej szczytów, bo z odległości przede wszystkim szczyty pozostają widoczne. Dlatego najostrożniejszym trzeba być w nawiązaniu do najbliższej przeszłości, gdzie nie mogła jeszcze nastąpić naturalna selekcja. Najbezpieczniej ją może w ogóle ominąć i dalej sięgać wstecz.“

Uprawianie wbrew woli od dwunastu lat rzemiosła nauczycielki nauczyło mnie, że wiele z tego co w młodych nas razi jest reakcją na nasze własne błędy. Najskuteczniejszym okazuje się zwykle pytanie, w jakim stopniu my sami jesteśmy odpowiedzialni, i na jakich drogach możemy z nimi odnaleźć wspólny język.

Teresa Skórzewska

Kłeska wieku

Felieton „Po lępkach“ ukazał się akurat obok mojego artykułu „O wspólny język“ (ZYCIE z maja 1958 r) i w intencji był akurat przeciwny temu co w swym artykule wypowiedziałem.

Polemika na temat młodych winna utrzymywać się w tonie dobrej woli i w nie za wysokiej temperaturze uczuciowej, tymczasem felieton nacechowany jest nastrojem urazy i pogardy, krytycyzmem negatywnym, postawą wojowniczą.

Bardzo to przykre, że p. J. B. widzi tylko same wartości ujemne w „młodych“. Zarzuty, które formułuje, nie wydają się przekonujące. Według niego: młodzi powinni ograniczać swoje zainteresowania do sportu, turystyki, harcerstwa. Zamiast tego jednak, zuchwale, interesują się: literaturą, polityką, sprawami społecznymi. Chcą usunąć starych, zając ich miejsca, chociaż przyznają się do braku jakiegokolwiek ideologii. Jednocześnie ci młodzi — naprawdę nie są młodzi, a dojrzałym wiekiem. Pragną dla siebie władzy, czy wpływu i stanowisk, a jakoby nie wiedzą co z nimi zrobić. Nic nie umieją, wszystko chcą burzyć, wszystko improwizować. Ich programy są fikcją, bo nie są przygotowaniem do kontynuowania dokonania pokoleń poprzednich. Są społecznie niedojrzali.

Cóż, kiedy młodzież polska ma tradycje odmiennie od ideału p. J. B. Była ona zawsze elementem najbardziej ideowym i ofiarnym, właśnie w sprawach politycznych i społecznych, chociaż i od sportu nie stroniła.

To, że młodzi interesują się literaturą i polityką, nie powinno chyba nikogo martwić, a przeciwnie, powinno tylko cieszyć. Tym bardziej, skoro — jak pisze p. J. B. — naprawdę nie są oni już wcale młodzi, a są ludźmi dojrzałymi.

Jednocześnie klasyfikuje ich autor jako niedojrzałych społecznie, ponieważ „chcą usunąć starych“ i zając ich miejsca, a sami rzekomo nic nie umieją i są bezideowi. A więc nie wiadomo o co chodzi. Czy powin-

ni raczej wrócić do sportu i harcerstwa, bo są za młodzi, czy raczej uczyć się literatury, polityki i spraw społecznych, aby się pozbyć swej ignorancji.

Jeżeli są dojrzały, to nic dziwnego, że chcą wziąć czynny udział w życiu społecznym i stopniowo zajmować w nim miejsce starych. Tak jest w każdym normalnym społeczeństwie. Jeżeli są niedojrzali społecznie, pomimo że się interesują poważnymi zagadnieniami, to czemuż ich naganiać do sportu i harcerstwa?

Zarzuty p. J. B. nieraz są powtórzeniem samokrytyki młodych. Ale nie widać próby krytycznego spojrzenia na starych. Tak jakby wszystko, czego dokonali, było wzorowe. Nie widać nawet próby zrozumienia punktu widzenia młodych. Felieton przeciwstawia „starszych“ z ich ideologią — młodym, bez ideologii. Ale nic o tym, co ta rzekoma „ideologia“ starszych dobrego dla kogokolwiek zdziałała.

Wydaje mi się, że młodzi dzisiaj nie są bezideowi. To tylko rozczarowanie, nie cynizm. Jeżeli ono nieraz idzie zbyt daleko, czy nie należy szukać przyczyn także i w błędach postępowania „starych“? Czy nie jest usprawiedliwione ostrożne podejście do tzw. ideologii np. tam, gdzie ona wyraźnie pokrywa cynizm i spryciarstwo?

To nieprawda, że młodzi (zwłaszcza wszyscy, jako zbiorowe niebezpieczeństwo) chcą usunąć wszystkich starych i zając ich miejsce. Są „starsi“ (znaczenie, bo o połowę chyba starsi od p. J. B.), którzy cieszą się wielką popularnością najbardziej buntowniczo nastawionych „młodych“ (młodszych od p. J. B. o jakie dziesięć lat). Ich wiek, naprawdę bardzo zaawansowany, nie jest dla nich kłeską. Są poza wiekiem, ponieważ reprezentują wartości obiektywne. Nie można o nich powiedzieć: „Niechaj, kogo wiek zamroczy, chyląc ku ziemi poradzone czoło, takie widzi świata koło, jakie tępymi zakreśla oczy“. Każde odejście takich „starych“ jest z załem przyjmowane przez młodych.

Natomiast uporczywe trzymanie się pozycji, na których dało się dowody nieudolności, nie będzie budzić entuzjazmu rzekomo „bezideowych“ młodych. Zwłaszcza, gdy się młodymi nazywa ludzi wtedy, gdy oni się z nami nie zgadzają, a zarzuca im się niedojrzałość społeczną (pomimo dojrzałości wieku), gdy sami siebie młodymi nazywają. Czasem, obok „wieku kłeski“, bywa inna kłeska. Kłeska przeciętności. Nic tu nie pomoże i wiek: przeciętności nie usunie. Nieraz ją pogłębi.

Roman Jasińczyk

KANDYDACI NA KAPŁANÓW,

z maturą i bez matury,
mogą się zgłaszać
do

TOWARZYSTWA
CHRYSZTUSOWEGO
DLA WYCHODZCÓW.

Maturzyści, po rocznym nowicjacie, udają się na studia teologiczne do Rzymu, gdzie po 5 latach otrzymują święcenia kapłańskie. Nie-maturzystom ułatwia się zdobycie matury, po czym udadzą się również na studia do Rzymu.

Warunki przyjęcia:
dobre zdrowie, zdolność do nauki, a przede wszystkim szczerze powołanie, pragnienie poświęcenia się służbie Bożej. Granica wieku 16 — 30 lat. Nauka i utrzymanie całkowicie bezpłatne.

Zgłoszenia pod adresem:
Societas Christi,
Hesdigneul-lez Béthune, (P.-de-C.)
France.



ZYGMUNT ŁAWRYNOWICZ

Izy Heraklita

nie pytajcie
mnie
dokąd idę

kraj mego życia
jest tak samo
nie oznaczony na mapie
jak niegdyś
ład nieodkryty

wiem tylko
że drzewa rzucają cień
na wodę strumieni
zdążających ku morzu

i ziemia
obiega słońce
które jest
ziarnkiem piasku
na plażach
drogi mlecznej

wiem
że unoszę w sobie
echo tamtej ciszy
nie przenikniętej
żadnym teleskopem

nie pytajcie
mnie
dlaczego ukochałem
smutek i milczenie

tyle lat tyle lat
wędrujemy
w cieniu tamtego krzyża
wciąż tacy sami
z piętnem kaina
na czole

cóż w tym dziwnego
że ominąć się staram
wrzawę cyrków
papierowy konwenans
sceny
mielizny fałszu
chwasty
skłamanych słów

nie proszę was
o sławę

niech przekwita
w prywatnych ogródkach
dając owoc
cierpki i niejadalny

chciałbym zamieszkać
w sercu najprostszym
słowem
z którego rośnie
wiśniowe drzewo
wiosny

nie pocieszajcie
mnie
szczelin krzywdy
i bólu
nie zalepicie miodem
pieszczot czy słów

niech każdy
idzie
swoją drogą
i słowem zbytecznym
niech nie obdziela
oczu zebrzących o spokój
w konstelacjach milczenia

będziemy wtedy
jak ludzie
zanurzeni w noc
nawołujący się
jak rozproszone ptaki
i nie umiejący
się spotkać

do gwiazdki z filmowego nieba

ramiona
zadzierasz wysoko
jak gdybyś ty
pierwszą
była Ewą

w piersiach rozchwianych
niesiesz pychę
tę samą

tylko u Dióra
stała się rzecz ta
metamorfoza
greckiej kurtyzany

papuzko
ludzisz się
że jesteś innym kwiatem
wyrosłym z cudownej ziemi

choć oczy twoje
są
jak kierowane pociski
twój gest rozrzutny
powtarzały tysiące

dziewczyno o twarzy
zabłąkanego anioła
co ciałem
różowej niewiedzy
drogę mościsz
piratom piękną
do chromowej sławy

posłuchaj

pomiędzy trawy zdźbłami
a łodygą kwiatu
nie zna różnicy
kosa
zbroczona szmaragdem

co znaczy
życie
twoje i moje
w konwulsjach świata
w piecach
obląkanego krematorium

tobie
kochanej przez roje
jurnych oczu
i mnie
który piękna szuka
w grotach utajonego
życia
jednostajność popiołu
wróży
nieubłagany wiatr

kiedy nad twoim domem
rozprysnie się
jądro atomu
powiedz kogo zawołasz
przez ten swój biały
telefon

rendez-vous na Finchley road

wczoraj
byliśmy w kinie

dziś
pełni nadziei
idziemy na El Toro

jutro
życie nasze
będzie tak samo puste
jak dziś i wczoraj

pełne pociągów
gazet reklam
jazzu i papierosów
będzie życie nasze
które nie jest życiem
a tylko
papierową maskaradą

pełna neonów
strużyn piasku
i słomianych dymów
będzie śmierć nasza
która nie jest
strasznym spotkaniem
a tylko duszną [z wolnością
przeprawą krabów
przywalonych głazami miasta

o ludzie ludzie
którzy nie znacie śladów
jakie zostawia cisza
wyiskrzona gwiazdami
na dnie milczenia

o ludzie

zakłamanie

kiedy mówią
szukamy sławy

nie wiercie im

nie znają jej smaku
tchórze i obłudnicy

kiedy skomlą
szukamy szczęścia

kłamią
głupi i głusi

kiedy głoszą
szukamy prawdy

ślepi na sercu i umyśle
kłamią powtórnie

kręcąc się jak małe pieski
śladem mizernych ogonków
znaczymy naszą ziemię
hieroglifami rozpaczy

chodzimy
spacerujemy
czołgamy się
po obwodzie
tego samego koła

sami nie wiemy
dlaczego
zrywamy się nagle
i czego szukamy
nocą

mówimy miłość

mówimy miłość
i dzikim tabunem
tratujemy rabaty
rzadkiego szczęścia

mówimy braterstwo
i chciwie nurzamy ręce
we krwi szeroko płynącej
z rozplątanych narodów

chodzi między nami
czarny serafin
i słowa czule zamienia
w rwące granaty pocisków

chodzi między nami
czarny anioł
wikła kroki zmierzające
ku łąkom prawdziwym
wyciągnięte ku sobie dłonie
spowija drutem kolczastym

ma twarz bliźniego

zabrali Mu wszystko
nawet o suknię ostatnią
rzucili los
nikczemni

teraz
nie nasyceni otchłaniają
pazurami słów
rozdrapują do końca
pamięć Jego promiennej twarzy

gdymby wrócił
raz jeszcze
przebity by Mu ręce i nogi
i łkałaby Matka
trzymając umęczonego
w ramionach żalu

a przecież wraca
co dzień

puka do bram
zatrzaśniętych

pyta o drogę
przystaje u wyschłych studni
ma twarz bliźniego

nie ma mnie między wami

czasem mówią o mnie

jesteś
taki smutny

przenigdy

to tylko ciało moje
skuliło się w grymas

to tylko usta
na których zmarło słowo
zacisnęły się w pocałunek

nie ma mnie
między wami

to tylko moje
biedne ciało
zostało tam
jak płaszcz powieszony
na haku w kawiarni

nie ma mnie
między wami

zabłąkałem się między
filizanką z porcelany
i zagranicznym papierosem

nie słyszę was

jestem
w dalekim lesie
gdzie mistyczne dziecięcy
opukują serce
drzewa
które wytrysło
ku światłu

jestem
w górach wysokich

gdzie mistyczne
pszczoły
złotym brzękiem
wiszą
jak święte aureole
nad kwiatem lotosu

jestem za horyzontem
kawiarni
miasta
ziemi

nad rzeką wesołą
gdzie przeczysta struga
pleśń zmywa z oczu
i wlewa się we mnie
na kształt mlecznej drogi

daleko jestem
od was
jak dym okrętu
piszący swe pożegnanie
na sennych obłokach

to wy
jesteście smutni
boście zostali
na brzegu

szeptają do siebie

on chyba dzisiaj
musi mieć zmartwienie
mój Boże mój Boże
jak oni się mylą

zrozumcie
nie ma mnie
między wami

odszedłem tak szybko
że nikt
nie był w stanie
mi nadążyć

odszedłem tak daleko
że nikt nie jest w stanie
mnie dosięgnąć

nie mówcie
on ma zmartwienie

ja tylko odszedłem
na chwilę
do tej mistycznej winnicy
gdzie mieszka
biały gołąb

z oddali widzę
wasze proszące oczy

wilgotne gwiazdy ziemi

więc zbieram
całą moją odwagę
w skupione dłonie

i wracam

znowu ubieram
stary płaszcz

bo chcę
być z wami

ZYGMUNT ŁAWRYNOWICZ

Propaganda ateizmu w Polsce

Ułożenie modus vivendi po październiku 1956 roku pomiędzy Kościołem katolickim w Polsce a organami władzy komunistycznej było ze strony Kościoła następstwem przyznania mu przynajmniej częściowej wolności nauczania i sprawowania funkcji religijnych, a poddyktowane zostało także względami na dobro narodu polskiego, który w ciągu kilkunastu lat wojny i okresu stalinowskiego doznał wielkiego wyniszczenia biologicznego i duchowego.

Od chwili powstania tego nowego stanu rzeczy Kościół w Polsce przez swój Episkopat z Frymasem Polski na czele rozpoczął z wielką energią realizowanie swoich celów, które wyraziły się przede wszystkim działalnością w dwóch kierunkach: pobłębienia życia religijnego w narodzie i zdobycia dla najbiedniejszych, najczęściej doświadczonych, chorych i opuszczonych materialnej pomocy charytatywnej od różnych ośrodków katolickich na świecie.

Lata, które nastąpiły po wrześniu 1939, za dały ludziom wiele ran duchowych. Narastające nowe pokolenie polskie nie miało tej opieki wychowawczej, jakiej młody człowiek potrzebuje do pełnego rozwoju. W społeczeństwie polskim powstały wielkie problemy moralne bardzo trudne do rozwiązania, coraz bardziej się komplikujące.

Przystępując po roku 1956 do nowego okresu swego działania, Kościół katolicki w Polsce sprawę przywrócenia jasnych kryteriów moralnych uznał za swoje najpilniejsze zadanie. Zgodnie ze swoją misją nauczycielską, rozumiał, że uleczenie ran społecznych, że wyprowadzenie narodu z psychoz wojny i okresu powojennego może nastąpić jedynie w oparciu o katolicki system moralny zasilany głębokim życiem sakramentalnym. Stała się przed Episkopatem polskim wielka sprawa przeorania całego narodu głęboką uprawą religijną, powolne, ale stałe i systematyczne usuwanie ran duchowych, wyostrzenie kryteriów moralnych w życiu każdego człowieka.

Wielką pracą rozłożono na dziewięć lat, aż do roku 1966, kiedy to wypada rocznica tysiąclecia Chrztu Polski. Na każdy rok tego okresu wyznaczono jedną zasadniczą dyrektywę religijną i moralną, a całe duszpasterstwo polskie w tysiącach swych księży świeckich i zakonnych, w szeregach zakonów męskich i żeńskich, w szeregach apostołatu świeckiego wezwane zostało do wcielenia tych wskazań rocznych w życie codzienne każdego człowieka, każdej ludzkiej duszy. Całe zaś wielkie dzieło oddane zostało pod opiekę Matki Boga, Najświętszej Maryi Panny z Częstochowy. Głębia myśli teologicznej o Wszecpośrednicze Łask, przez którą Bóg udziela swej pomocy stworzeniu odkupionemu męką Jej Syna, zbiega się z odwieczną dyspozycją człowieka w Polsce, który zawsze w chwilach trudnych i tragicznych zwracał się pod opiekę Panny z Jasnej Góry, nazywając Ją Królową swego Ojczyzny.

Gdy na początku roku 1957 odbywały się w Polsce wybory typu daleko odbiegającego od normalnych wyborów demokratycznych, i gdy Episkopat zabrał wiernym wzięcie udziału w tych wyborach, niejedno pojawiło się na świecie zdziwienie z powodu takiego obrotu spraw. Była to jednak logiczna kon-

sekwencja założeń ratowania narodu i leczenia jego ran duchowych i cielesnych, ratowania narodu znajdującego się na granicy wyniszczenia. Kościół katolicki w Polsce rozumiał, że w tym nowym okresie będzie miał możliwość — mimo, że niepełną i ograniczoną — ale przecież konkretną — odnowy przede wszystkim duchowej znękanych ludzi w Polsce, uznając każdą dobrą intencję w tym kierunku, gdziekolwiek się pojawiała.

Zacząło się więc wielkie dzieło odnowy w obrębie zdobytych uprawnień, które trwa już prawie dwa lata, a które z miesiąca na miesiąc potężnieje. Zwielokrotnienie życia sakramentalnego, dzieło Wielkiej Nowenny Narodu, nauka religii w szkołach, co prawda tylko jako przedmiot nadobowiązkowy, dzieła charytatywne pomocy dla najbiedniejszych...

Tu trzeba jednak podkreślić zjawisko, które coraz wyraźniej się zarysowuje: dążenie do paraliżowania tej wielkiej pracy ze strony czynników, które zaślepią nienawiścią do Kościoła katolickiego i religii w ogóle. Jest tych czynników w społeczeństwie polskim niewiele, ale mobilizują się one coraz zawzięciej. Zaczyna wyglądać na to, że dla tych ludzi nie ma w tej chwili w Polsce ważniejszych zadań, jak paraliżowanie ciężkiej pracy wychowawczej Kościoła. W pewnych kołach przeciwstawienie się nauczaniu religii w szkołach i charytatywnym pracom katolików, staje się problemem kluczowym, który przysłania wszystkie inne, i konieczność reaktywowania kryteriów moralnych, i uzdrowienia gospodarki narodowej, i problemy kulturalne czy społeczne. Dla nich na pierwszym miejscu staje propagowanie ateizmu.

Między 23 i 25 maja br. odbył się w Warszawie trzydniowy zjazd Towarzystwa Szkoły Świeckiej. W obradach zjazdu uczestniczył zastępca przewodniczącego Rady Państwa, członkowie Komitetu Centralnego PZPR, minister oświaty i wielu innych przedstawicieli obecnych rządów w Polsce. „Życie Warszawy” z dnia 23 maja tak określiło zadania Towarzystwa Szkoły Świeckiej (cytaty na podstawie sprawozdania radiowego):

„Kierownictwo w tej walce (utrzymanie pełnej świeckości wychowania i nauczania w szkołach państwowych) pragnie sprawować powstałe przed rokiem Towarzystwo Szkoły Świeckiej. Należy się cieszyć, że w okresie, kiedy tyle troski okazujemy wszystkim sprawom wychowania młodzieży, władzom szkolnym, nauczycielstwu i rodzicom przybywa jeszcze jeden sojusznik, który dokonawszy przeglądu dotychczasowych osiągnięć i braków w swojej pracy, zamierza na jeszcze szerszym froncie rozwinąć swą działalność. Nie prowadząc walki z religią, nie uważając za swój cel walki z klerelem, Towarzystwo jest zdania, że we wszystkich szkołach, zarówno w tych, gdzie się nie wyklada religii, jak i w tych, gdzie są lekcje religii, cały program nauczania musi być przesycony świeckim duchem. Zdaniem Towarzystwa konstytucyjne prawo do swobody sumienia tylko pod tym warunkiem będzie w pełni zrealizowane, jeśli lekcje religii dla pragnących tego będą odbywały się w punktach specjalnych, poza obrębem szkoły. Do tego trzeba jednak wychować i przygotować

społeczeństwo i w żadnym wypadku nie można sięgać do administracyjnych środków. Dlatego też, obok problemów wychowawczych, kwestia propagowania w społeczeństwie idei pełnej świeckości szkoły, to drugi ważny problem zjazdu i pracy Towarzystwa”.

Nasilenie propagandy ateistycznej rośnie coraz bardziej. Obok Towarzystwa Szkoły Świeckiej, działa Stowarzyszenie Ateistów i Wolnomyślicieli ze swą siecią oddziałów prowincjonalnych, wychodzą liczne pisma i biuletyny ateistyczne, odbywają się zjazdy, wiece i zebrania ateistyczne. Ludzi z dyspozycjami wojującego ateizmu jest w Polsce bardzo niewiele, a jednak ruchliwość tych, którzy są, jest coraz większa i znajduje różnorodne poparcie ze strony czynników decydujących.

Należy wyraźnie i jasno wypowiedzieć sąd o tym stanie rzeczy. W każdym komunikacie i oświadczeniu towarzystw ateistycznych pojawiają się deklaracje wstrzymania się od walki z religią i klerelem. Niestety, są to jedynie frazesy, które mają służyć do zaślamiania rzeczywistości w Kraju. — Walka z instytucjami nauczającymi Kościoła jest już walką z religią, bez względu na to, co by się twierdziło w deklaracjach.

Jest również, już nie tylko z punktu widzenia religijnego, ale także obywatelskiego, wprowadzaniem w życie powszechne Kraju czynnika jęczącego, stwarzaniem klimatu podatnego do rozterek i walk, rozpraszaniem sił i odwracaniem uwagi od rzeczy dla Polski najważniejszych.

Kraj nasz potrzebuje w tej chwili spokoju, atmosfery pozbawionej napięć, czasu sposobnego na zaleczenie ran, powrócenia do równowagi. Po cóż znowu rozjątrzać naród pozbawionymi sensu atakami na religię i walkę z religią, prowadzoną nowymi metodami.

Mobilizujący się ateizm z olbrzymią zjadłością zwraca się przeciw zasadom moralności katolickiej, których naucza Kościół. Równocześnie głośna jest propaganda „moralności laickiej”, a więc propaganda hasła pozbawionego realnej treści. Moralność laicka jest ludzką konwencją, pojawiająca się w dowolnych a niezliczonych odmianach. W dodatku zaś „moralności laicy” w naszym Kraju dotąd się ze sobą spierają, która wersja ich „moralności” powinna być przyjęta w obecnej Polsce.

J. K.

NASZA ODPOWIEŹ

„...W Ojczyźnie naszej do pracy wielkie duchowe żarna oczyszczające dusze, a Kraj cały jest pełen gorącego żaru religijnego, który przewycięży wszelkie zło i zepsucie. Jakżeż tedy, by to być mogło, żebyśmy my, emigranci polscy, krew z krwi i kość z kości nierozłączna częśćka Narodu od tysiąca lat ochrzczanego, nie włączyli się z tą samą potężniejszą siłą w ten ogromny nurt odnowy religijnej?..”

(Z odezwy do katolików polskich w Wielkiej Brytanii, wydanej przez Ks. Infulata B. Michalskiego, Ks. Prałata W. Stanisławskiego i Ks. Prałata L. Bombasa.)

OFENSYWA REWIZJONISTÓW

Kłeska wyborcza uchodźców niemieckich wykazała, że odpowiedzialne stronnictwa i masy wyborców niemieckich nie ulegają wpływowi szowinistycznych kół rewizjonistycznych. Ale 1,6 milionów głosów padło w czasie zeszłorocznych wyborów do Bundestagu na rzecz bloku uchodźców. Blok ten nie uzyskał wprawdzie żadnego mandatu, niemniej nie zaprzestaje swej mącielskiej roboty w stosunku do Polaków i Czechów. Od czasów kłeski wyborczej daje się zauważyć znaczne ożywienie działalności organizacji uchodźczych, finansowanych nie tylko przez koła gospodarcze, lecz również przez niektóre ministerstwa federalne i rządy krajowe. Poczynania rewizjonistów wzbogacone zostały ostatnio o niebezpieczne pomysły stworzenia niemiecko-amerykańskiego towarzystwa do walki z wojną i komunizmem (Society for Abolishment of War and Communism — „Peace and Freedom Committee”), mającego posadzić na terenie Niemiec własną radiostację, nadającą w językach polskim, czeskim i słowackim w celu bałamucenia opinii publicznej tych krajów.

Pomysł uruchomienia własnej niemieckiej radiostacji mającej nadawać w językach wschodnio-europejskich nie jest nowy. Już pięć lat temu wysuwały koła uchodźców sudeckich tego rodzaju projekty. Niemcom sudeckim udało się do tej akcji wciągnąć

ruchliwego dziennikarza amerykańskiego Fultona Lewisa jr., który wygłasza w licznych radiostacjach amerykańskich pogadanki i umieszcza artykuły swoje na łamach „New York Mirror” i innych pism prowincjonalnych, przedstawiające problem stosunku do Polski i Czechosłowacji w sposób zniekształcający rzeczywistość i wzywający — pod pozorem walki z komunizmem — do wzięcia problemu wyzwolenia narodów wschodnio-europejskich w niemieckie ręce.

Inicjatorem i promotorem tej akcji jest Rada Niemców Sudeckich (Sudeten German Council), a przede wszystkim jej generalny sekretarz dr Walter Becher, były hitlerowiec, a obecnie poseł do sejmiku krajowego Bawarii. Becher udał się na początku bieżącego roku do Ameryki, gdzie przy pomocy wspomnianego Fultona Lewisa jr. zdołał dotrzeć do wpływowych osobistości Kongresu i Senatu amerykańskiego i przedstawić im swój projekt, dążący do przywrócenia w Europie wschodniej politycznego i społecznego status quo, opartego na dominującej roli Niemiec w tej części naszego kontynentu. Nowa akcja „liberation” miałyby zastąpić działalność amerykańskiej Crusade of Freedom i Radia Wolnej Europy, które Becher i wysługujący mu się Lewis jr. pomawiają absurdalnie o rzekome sprzyjanie reżymom komunistycznym.

Plany, opublikowane w schemacie opracowanym przez Bechera i wysługującego mu się Czecha Jiri Brada z Monachium, dają przedsmak tej rzeczywistości, która nas czeka, gdyby pomysły ich miały być urzeczywistnione. Obok przywrócenia rzekomej pełnej ekonomicznej i politycznej wolności w komunistycznych krajach wschodniej Europy, wspomniany schemat wysuwa: „Zwrot prywatnej własności byłym właścicielom czeskim, słowackim, polskim, węgierskim, ukraińskim, niemieckim itd. i powrót wszystkich uchodźców, jak również i niemieckich wysiedleńców do obszarów w językowych granicach 1937”. Sformułowanie „językowe granice” nie pozostawia wątpliwości, jak daleko w interpretacji niemieckiej miałyby sięgać zakusy niemieckie. Akcja rewizjonistów sudeckich mówi o amerykańsko-niemieckiej współpracy, a sprowadza się do oddania reżyserii przedsięwzięcia w ręce niemieckie, ograniczając rolę Amerykanów do firmowania i finansowania tych poczynań.

Celem propagowanej imprezy ma być „obalenie komunizmu i niedopuszczenie do wojny”. Hasło to wydaje się być dymną zasłoną dla rewizjonistycznych i reakcyjnych dążeń „wielko-niemieckich”.

Odpowiedzialne koła amerykańskie i zachodnio-niemieckie doceniają chyba, że perspektywa „niemieckiego porządku” na wschodzie Europy nie wzmacnia oporu narodów wschodnio-europejskich wobec komunizmu.

S. C.

PŁODNY WSTYD

Wystąpienie prof. Carlo Schmid (SPD) i jego kontrowersja z posłem konserwatywno-nacjonalistycznej Deutsche Partei, Herbertem Schneiderem zasługują na utrwale. Carlo Schmid był w marcu w Polsce, a ta podróż jego stała się przedmiotem ostrego ataku ze strony antypolskich kół niemieckich, co znalazło swój wyraz we wspomnianej kontrowersji w Bundestagu. Według stenogramu ogłoszonego w „Das Parlament” nr 12 i 13/14 z 26. 3. i 2. 4. br., wyglądało to w ten sposób:

Posel Herbert Schneider (DP) mówi o konieczności korzystania z każdej okazji do rozmów z Rosją Sowiecką.

„...Znajdę się w przyjemnym towarzystwie czołowych przywódców koalicji, gdy powiem, że nic nie zaszkodzi, jeśli my na zachodzie rozwinijemy w tym zakresie nieco więcej aktywności, jeśli nałożymy płytę z mazurem, gdy pan Chruszczow tańczyć pragnie krakowiaka...” Kontakt z Polską w tym wypadku miałyby — według p. Schneidera — służyć przede wszystkim jako pomoc do porozumienia z Rosją. Posel Schneider mówi bowiem w dalszym ciągu:

„...Sądzę, że powinniśmy korzystać ze wszystkich środków, by nawiązać rozmowy. Rozmowy ułatwiają zawsze usunięcie nieporozumień i napięć. W związku z tym moi przyjaciele z Deutsche Partei — w przeciwieństwie do niektórych członków rządu — witają także fakt, że profesor Schmid pojechał do Warszawy w celu nawiązania tam ludzkich i osobistych kontaktów. Z odwagą należy i to „tabu” poruszać. Nie możemy zachowywać się w ten sposób, jak gdyby na tym miejscu była biała plama na karcie. Chcąc nie chcąc Polacy są naszymi sąsia-

dami i trzeba mieć odwagę do rozmów także z niewygodnymi sąsiadami. Jednakże nie bardzo podoba się moim przyjaciółom, że profesor Schmid poddał się tam może w sposób przesadny samobiczowaniu. Jest pewne, że karta nasza nie jest czysta. Ale mówię panom: żaden Brytyjczyk, żaden Francuz, żaden Amerykanin nie poszedłby tak daleko, jak pan Schmid w Warszawie. Istnieje przecież godność narodowa. Wszystkie narody popełniły błędy i nie tylko Niemcy ponoszą winę za wojnę...” (Okrzyki z ław SPD: „Co pan wygaduje na temat godności narodowej! Czy nie napadliśmy na Polskę?

Prof. Carlo Schmid (SPD) podjął w przemówieniu swoim polemikę z zarzutami posła Schneidera mówiąc m. in.:

„...Posel Schneider zajął się w przemówieniu swoim moją osobą. Mówił o podróży mojej do Polski i uznał ją za godną pochwały. Twierdził jednakże, że poszedłem za daleko w samobiczowaniu... Powiedział, że uchybiłem godności narodowej — to bowiem jest konsekwencją jego słów; że biczowałem się w sposób niegodny... Panie i Panowie, sądzę, że godność narodowa polega m. in. i na przyznawaniu się do własnej historii, także do ciemnych faktów swej historii i że czarne nazywa się „czarnym” a nie białym. Godność narodowa polega także na tym, że mówi się o zanieczyszczeniu gniazda własnego. Gniazdo zanieczyszcza nie ten, kto o tym mówi, lecz ten, kto je zanieczyścił. Jeśli się zaś mówi, że nie tylko Niemcy ponoszą winę za wojnę: ta wojna została podjęta przez narowo-socjalistyczne Niemcy. Inni współdziałali, inni umożliwili tę wojnę, ale Trzecia Rzesza chciała tej wojny, chciała jej w tym momencie, chciała jej w takich warunkach, w jakich była prowadzona.”

„Dotychczas tylko komuniści zarzucali mi, że jako Kriegsverwaltungsrat pełniłem w Lil-

le służbę Trzeciej Rzeszy. Z tej strony spotkał mnie nawet zarzut kata. Mogę panu zdradzić, panie Schneider, że francuscy komuniści domagali się czterokrotnie od Sûreté Nationale wszczęcia dochodów przeciwko mnie, zachęceni przez ich współwyznawców.”

„...Pan Schneider powiedział: wszyscy popełniali błędy. Panie i Panowie, to co popełniano w imieniu narodu niemieckiego, to nie były błędy, to były zbrodnie! ...Miliony Polaków, których wybito, — to nie były błędy, to były zbrodnie. ...W czasie wojny wymordowano na samym Uniwersytecie Warszawskim, którego byłem gościem, 237 profesorów, w samej Warszawie!... Jeśli się było w piwnicy Gestapo w Warszawie, to nie mówi się więcej o błędach. Wpisałem tam do księgi zwiedzających: Z głębokim wstydem w tym miejscu niemieckiej hańby i ufnym w przyszłość opartą na człowieczeństwie.”

S. C.

MICHAŁ SAMBOR

ŁABE DŹ SABAUDI

Wybór pism św. Franciszka Salezego i o nim.

Stron 240.

Plócienna oprawa — obwolucie projektował Adam Kossowski.

Cena: szyl. 15/-; dol. 2.50.

KATOLICKI OŚRODEK

WYDAWNICZY „VERITAS”

12 Praed Mews, London, W.2, England

WE WSTĘPIE do sylwetki zmarłego ostatnio wybitnego publicysty Stefana Wyrzykowskiego, którą rysuje poniżej kompetentne pióro, pragnę powiedzieć słów parę o pracy Zmarłego w Katolickim Ośrodku Wydawniczym „Veritas”. Upoważnia mnie do tego nie tylko fakt stałego stykania się ze Stefanem Wyrzykowskim w pracy Ośrodka, ale także i bardzo długa, ponad trzydziestoletnia znajomość, w czasie której znałem go jako publicystę, opierającego swój światopogląd na zasadach wiary katolickiej.

Pamięć moją ze Zmarłym — jeszcze w czasach naszej młodości — łączy Poznań, miasto bardzo przez nas miłowane, do którego przyszedłszy z innych dzielnic Polski przylgnęliśmy obaj całym sercem. Poznań okresu międzywojennego był głównym centrum polskiej czujności przeciw niebezpieczeństwu niemieckiemu. O kilka lat starszy od najmłodszego pokolenia poznańskich pisarzy i publicystów owych lat, był Wyrzykowski wśród nas tym, który budził czujność i uczulenie na antycywilizacyjne problemy w polityce niemieckiej, który wykazywał związki zagadnień polityki międzynarodowej z całością kształtem życia kulturalnego Polski.

Był jednym z najbardziej ściśle myślących dziennikarzy, bezustannie studiującym podstawowe dzieła i źródła, niezmiernym w pracy. Dla pracy wyrzekł się niemal osobistego życia. Tryb swego dnia dostosowywał do rytmu ukazywania się dwóch wydań dziennika, którego był publicystą. Z redakcji wychodził o świcie, aby wracać do niej w południe. Czytywał codziennie dziesiątki pism, zbierał bibliotekę podstawowych dzieł z zakresu polityki, kultury i cywilizacji.

Już w tych wczesnych swoich latach był jednym z tych dziennikarzy polskich, którzy przede wszystkim rozumowo widzieli najściślej związek swojej Ojczyzny z wiarą i kulturą katolicką. Toteż po latach, już na emigracji, gdy powstawało w Londynie katolickie ŻYCIE, szybko stał się tego właśnie pisma stałym współpracownikiem. Przez z górą dziesięć lat pisywał do ŻYCIA artykuły, eseje i notatki. Prawie zawsze — zgodnie ze swoim zwyczajem — bezimiennie lub pod pseudonimem, wychodził bowiem z założenia, że materiał publicystyczny powinien wyróżniać się przez swoją treść, a nie przez nazwisko, które go podpisuje.

W Katolickim Ośrodku Wydawniczym „Veritas” pełnił ponadto Stefan Wyrzykowski funkcję korektora książek wychodzących w cyklu „Biblioteki Polskiej”. Tę doniosłą a jakże żmudną pracę — strzeżenia czystości tekstów drukowanych w języku polskim na emigracji — wykonywał z wielką pieczołowitością i staraniem. Pełnił ją do ostatnich godzin swojego życia.

Z głębokim i serdecznym żalem przychodzi mi tu żegnać długoletniego naszego kolegę, wybitnego publicystę i bardzo dobrego człowieka. Osobiście tym boleśniej odczuwam ten zgon, iż wiązała mnie ze Zmarłym długa znajomość w okresie przedwojennym, wspólne lata młodości i umiłowane przez nas obu miasto, które do niedawnych dni wspólnie a bez przerwy wspominaliśmy z tęsknotą.

Józef Kisielewski

★

Z SZEREGÓW emigracji śmierć wyrwała wybitnego pisarza i publicystę — ś.p. Stefana Wyrzykowskiego. Ciężka choroba serca trawiła go od dłuższego czasu. Znosił ją z niezwykłą wytrzymałością, nie przerywając swoich rozległych zainteresowań ani pracy. Kiedy skutki pierwszego częściowego paraliżu utrudniły mu władanie piórem, na ma-



STEFAN WYRZYKOWSKI

szynnie wystukiwał litera za literą, by przekazać innym, co miał do powiedzenia.

A miał do powiedzenia bardzo wiele. Wiedzę miał ogromną, pamięć fenomenalną, z atmosfery zaś domu rodzinnego wyniósł zamąilowaną literackie i głęboką kulturę umysłową. Ojciec jego, Stanisław, był założycielem i redaktorem krakowskiego „Życia”, znanym pisarzem i poetą okresu „Młodej Polski”.

Stefan Wyrzykowski wybrał jednak inną drogę. Należąc do pokolenia, które oglądało na własne młodzieńcze oczy rodzące się państwo polskie, rzucił się w wir ówczesnych prądów ideowych, stawiających sobie jako cel umocnienie samoistnego bytu narodowego i jego najpełniejszy rozwój. W tym to okresie pociągnęła go idea narodowa, która miała się stać drogowskazem jego życia.

Choć urodzony w Warszawie, wybrał Uniwersytet Poznański, na który zapisał się w 1921 r. Od razu też uczestniczył w bujnym ideowym i organizacyjnym życiu młodzieży akademickiej. Redaguje najpierw pismo „Akademik”, a później po r. 1926 „Awangardę”. Do obu tych pism, które kształtowały światopogląd ówczesnego młodego pokolenia, ś.p. Wyrzykowski wnosi żarliwie przywiązanie do kultury i tradycji narodowej, nieodłącznie związanej z katolicyzmem. Na zjazdach akademickich ogólnopolskich, gdzie toczyły się nieraz ostre spory o sformułowania deklaracji ideowych, zawsze stawał w obronie organicznego zespolenia polskiej myśli politycznej z zasadami etyki katolickiej. Dzięki jego wysiłkom i wysiłkom podobnie myślących przywódców ówczesnego młodego pokolenia — ugruntowała się owa symbioza dwóch żywych nurtów tradycji polskiej, o którą po dziś dzień jak o opokę opiera się cały naród w Kraju.

W latach dwudziestych ś.p. Stefan Wyrzykowski wchodzi do redakcji „Kuriera Poznańskiego”, zrazu jako redaktor działu politycznego, by później od 1934 roku stać się zastępcą redaktora naczelnego dr. Mariana Seydy. Jego rozległa wiedza i żywa, natychmiastowa reakcja na wydarzenia międzynarodowe i wewnętrzne predestynowały go do pisania artykułów wstępnych. Pisywał je na przemian co drugi dzień, a bywały okre-

sy, że i codziennie. Jasny styl, doprowadzony do perfekcji język, a przede wszystkim odwaga przekonań czyniły z każdego artykułu dzieło publicystyki wysokiej próby. A cza-asy nie były łatwe. Z dojściem Hitlera do władzy w Niemczech nadciągały groźne chmury nad Polskę, a w wewnętrznych stosunkach panowało samouwielbienie rządzących, nie cofających się przed cenzurą prasową i gorszymi środkami. Stefan Wyrzykowski wykazał w tym okresie szczególne poczucie odpowiedzialności, koncentrując całą uwagę na grożących Polsce niebezpieczeństwach z zewnątrz. Nie ulegał łatwemu optymizmowi, nie przestawał bić na alarm, jakby oczyma wyobraźni widząc tragedię nadchodzącej klęski.

To poczucie odpowiedzialności za losy narodu miało się rozwinąć u niego w najpełniejszej postaci w latach wojny, gdy objął stanowisko najpierw w Ministerstwie Informacji w Paryżu, a później Prac Kongresowych w Londynie.

W tym okresie dwoił i troił się, aby opinii publicznej aliantów zachodnich przedstawić zbrodnie niemieckie popełniane w Polsce i aby pozyskać przychylność dla Polski i jej roli w powojennej Europie. Wyczerlenie jego na każdą wzmiankę o Polsce w obecnej prasie, periodyku czy książce było tak niezwykle, że graniczyło z manią. Ale była to mania szlachetna i twórcza. Spod jego pióra wychodzą pierwsze komunikaty o okrucieństwach niemieckich, którym zrazu nikt na Zachodzie wierzyć nie chce. Gdy pierwsze bomby spadły na Londyn, do późnej nocy pracuje nad tekstami Czarnej Księgi, która do dziś dnia pozostaje monumentalnym dziełem. Również w języku angielskim, przygotowuje do druku rzecz o prześladowaniu Kościoła, opartą na sprawozdaniu kardynała Hlonda. W latach następnych seria książek o prawach Polski do Prus Wschodnich, Śląska, Pomorza, wydanych pod różnymi nazwiskami, jest jego w dużej mierze zasługą. Gdy zagrożenie naszych ziem wschodnich stało się coraz większe, pisze sam zeszyty ogłoszone w serii „Information Notes” — pod tytułem: „The Polish Eastern Provinces” i „Lwów and Wilno”.

Nie da się wymienić wszystkich prac w obronie sprawy Polski przez ś.p. Zmarłego napisanych. Niepodobna zwłaszcza wyliczyć wszystkich listów przez niego napisanych do prasy angielskiej. Wyrzykowski chwycił za pióro, ilekroć jakiś polski problem został fałszywie przedstawiony na łamach prasy angielskiej. Najpierw napisał sprostowanie fałszywej informacji, bądź odpowiedź na świadomie nieprzyjazny argument antypolski, a potem szukał, kto by list podpisał. Sam bowiem unikał rozgłosu, działał w ukryciu, zawsze służąc Sprawie w dostojnym znaczeniu bezinteresownie.

Gdy zaś Polska z jednej okupacji przeszła pod drugą, nie załamał się, choć odczuwał ból nowej tragedii bardziej, niż kto inny. Może tym się tłumaczy, że skierował swe zainteresowania w dziedzinę badań historycznych nad Wielką Emigracją. Z pietyzmem gromadził materiały i książki z tamtego okresu. Szereg szkiców poświęconych postaciom Wielkiej Emigracji wyszedł spod jego pióra i ukazał się na łamach pism polskich pod różnymi pseudonimami. Nosił się z zamiarem opracowania całości dokonania tamtego pokolenia, by nowe mogły czerpać wiarę i siłę w walce o Polskę.

W osobie ś.p. Stefana Wyrzykowskiego Polska traci wybitnego pisarza, publicystę, dziennikarza i wiernego syna.

Antoni Dargas

Postawa katolika w trudnych czasach

Zyjemy w trudnych czasach i żyjemy w nich nie od dziś. Jesteśmy pod nieustannym naciskiem propagandy wrogiej temu, w co wierzymy; pod naciskiem złego przykładu: atmosfery moralnej, która nas zaraża pogańskimi pojęciami moralnymi i utrudnia nam zachowanie katolickiej postawy życiowej; i pod naciskiem warunków materialnych, które czynią zachowanie tej postawy rzeczą obiektywnie trudną i wymagającą niemałej dozy wysiłku, a nawet wręcz heroizmu.

W istocie rzeczy, z tymi samymi trudnościami ma i miał katolik do czynienia w dzisiejszej Polsce pod rządami komunistycznymi, w dziesiętej Anglii, Ameryce czy Francji, w Polsce międzywojennej, i w Polsce i Europie dziewiętnastego stulecia. Różnice, jeśli są, dotyczą tylko stopnia trudności, a nie ich rodzaju. Weźmy kilka przykładów z życia.

Człowiek uczestniczy w życiu umysłowym. To znaczy człowiek uczący się (np. student), albo pracujący na jakimś polu pracy umysłowej: naukowiec, ekonomista, urzędnik, dziennikarz, nauczyciel. Jest on otoczony światem nowoczesnej nauki, w której przeważa ton agnostyczny lub wręcz antyreligijny. Spotyka się codziennie z całą lawiną faktów, informacji, oświeleń i twierdzeń, które wyglądają w jego oczach tak, jakby były sprzeczne z prawdami wiary i prawdy te podważały. Tak już jest: świat autorytetu, władzy i pieniądza należy dziś do sił antychrześcijańskich. To one mają dziś głos, mają powagę, zajmują posady i stanowiska przełożonych, przemawiają z piedestału uczoności, zarówno jak ze stanowiska władzy i siły. Katolików w świecie nie brak i wcale nie są głupi. Ale są często zdeptani i pozbawieni głosu, a jeszcze częściej, jeśli nawet ten głos mają, to jest on zagłuszony. Twierdzeniem polityka czy filozofa, czy pisarza antykatolickiego potężna propaganda nadaje dziesięciokrotnie lub stokrotnie większy rozgłos od rozgłosu, jaki potrafią sobie zdobyć twierdzenia — nie raz o wiele prawdziwsze i głębsze, lecz brzęczące cicho jak głos muchy — polityka, czy filozofa, czy pisarza katolika. Ów student, czy nauczyciel, czy nawet dziennikarz nie może wszystkiego czytać, wszystkiego sprawdzić, do źródła każdej informacji i poglądu dotrzeć. Czyta i wie to, co najdostępniejsze. Może mieć poglądy własne w swojej specjalności najściślejszej, o ile ma dość samodzielności umysłowej, by ją studiować z wolą niepoddawania się narzuconym mu formułkom. Ale poza swoją specjalnością jest on zdany na przyjęcie „poglądów panujących”, to znaczy na uleganie propagandzie. Porusza się w świecie zjawisk umysłowych jak w świecie obcym i wrogim. Ten świat albo go przeraża, stawiając go w męczącej i intelektualnie niemożliwej pozycji konfliktu z tym, co zdaje mu się być głosem rozumu, albo też stopniowo go asymiluje i przerabia, rozkruszając jego światopogląd i popychając go do zajmowania stanowisk połowicznych i do godzenia ze sobą rzeczy, które się godzić nie dadzą.

Inny przykład. Człowiek, żyjący w niekatolickiej atmosferze pojęć moralnych. Powiedzmy przedwojenny polski oficer służby stałej. Obracający się w środowisku garnizonowym, w którym panowały pogańskie

pojęcia o honorze (kwestia pojedynku!), albo — rzecz jeszcze gorsza — cyniczne pojęcia na temat stosunku do kobiety, na temat uwodzenia cudzych żon lub młodych dziewcząt. Albo przedwojenny członek niektórych korporacji studenckich, mających pojęcia identyczne z oficerskimi. Albo młody ziemianin w środowisku, w którym było rzeczą przyjętą uwodzenie dziewczyn wiejskich. Albo młody parobczak wiejski w środowisku, w którym było rzeczą przyjętą urządzanie bijatyk pijackich i rozwiąłość seksualna. Albo młody robotnik w Polsce dzisiaj, w środowisku, w którym panuje moda stylu życia chuligańskiego. Albo inżynier w Ameryce, w środowisku, w którym „wypada” mieć samochód najnowszego modelu i „wypada” ubrać żonę w eleganckie futro i wobec tego nie ma warunków na to, ażeby stosować się do katolickich zasad moralnych, dotyczących kwestii ograniczania potomstwa. Albo urzędnik w systemie komunistycznym, w stosunkach, w których jest rzeczą przyjętą brać łapówki. Ludzie ci są pod nieustannym naciskiem etyki i kanonów postępowania, które są sprzeczne z tym, o czym wiedzą, że jest ich obowiązkiem moralnym. Co? Ty tego nie uznajesz? Czyś ty zwariował? Dziecko jesteś? Rozejrzyj się wokół siebie! Nikt tak nie postępuje jak ty. Nie bądź Don Kiszotem. Nie bądź dzikawkiem. Nie bądź naiwny.

Świat tak dzisiaj spoganiał, że środowiska w rodzaju wyżej wymienionych są dziś w świecie w zdecydowanej przewadze. Tylko w środowiskach zupełnie wyjątkowych — w klasztorze, w seminarium duchownym, w zapadłej, bardzo katolickiej wsi, w zwartej organizacji młodzieży akademickiej — można dziś żyć po katolicku, nie będąc w konflikcie z przeważającymi pojęciami i stylem życia otoczenia.

Każde czasy mają swoje trudności. Istnieją czasy, gdy trzeba umieć być męczennikiem; trzeba było stawić czoła lwom w starorzymkim cyrku, albo szubienicy w elzbietańskiej Anglii, albo kulom nowoczesnego plutonu egzekucyjnego. W innych czasach niewolnik w starożytnym Rzymie, albo na osiemnastowiecznych Antylach, starał się w swoim upośledzeniu żyć katolickim życiem rodzinnym. Nawrócony Japończyk czy Murzyn w Afryce musi przeciwstawiać się antychrześcijańskim oporom swego społeczeństwa. Musimy także umieć stawiać czoła naszym trudnościom i my.

By stawić czoła otaczającemu nas naciskowi trudności, katolik powinien być mocny duchem, mocny umysłem, mocny charakterem.

Powinien wierzyć w Boga i nie dać się od tej wiary odwieść. Powinien wierzyć we wszystkie dogmaty i nie mędrkować na ich temat, nie chwiać się jak trzcina na wietrze, ulegając najbezmyślniejszym, ignoranckim krytykom, lub co gorsza dając się zbijać z tropu najgłupszym drwinom. Powinien zdobyć sobie gruntowną wiedzę religijną. Jeśli jest człowiekiem niewykształconym, powinien przynajmniej znać katechizm — i trzymać się go, wiedząc, że zawiera on prawdę, podczas gdy teorie, które mu się przeciwstawia, są fałszem. Jeśli jest człowiekiem wykształconym, powinien nie zadowalać się samym katechizmem, lecz czytać literaturę religijną, by swoją wiedzę

religijną stale pogłębiać i odświeżać. Powinien zwłaszcza przyswajać sobie wiadomości z dziedziny filozofii katolickiej.

Powinien także być w kursie tego, co myśl katolicka ma do powiedzenia na temat zagadnień, z którymi się w życiu stykamy. Jeśli się stykamy z marksizmem, egzystencjalizmem, czy angielskim pozytywizmem, powinniśmy znać katolicką krytykę tych systemów. Historyk lub biolog powinien wiedzieć, co myśl katolicka ma do powiedzenia o historii lub biologii. Powinien wiedzieć, gdzie szukać informacji o katolickim stanowisku w danej sprawie. Powinien umieć może niedużo, ale dobrze — i tego się trzymać; stać na opoce i mieć w swych poglądach — busołą.

Powinien mieć mocną postawę moralną. Łatwiej jest wytrwać w trudnym, ale konsekwentnym systemie zasad, niż utrzymać się w postawie połowicznej. Właściwa postawa katolika nie pozwala na ustępstwa moralne nigdy, nawet w mniej ważnych sprawach. Robić to co wolno, ale n i g d y nie robić dobrowolnie i świadomie tego, co nie wolno. Gdy się będzie miało tę postawę, to się wytrwa. Oczywiście, to nie znaczy, że się nie będzie grzeszyć. Grzeszymy ciągle. Ale grzech będący wynikiem słabości jest rzeczą chwilową, z której się ciągle dźwigamy. Natomiast człowiek bez mocnych zasad ześlizguje się stopniowo coraz niżej.

Wreszcie — powinniśmy być posłuszni. Nie jesteśmy pierwsi, wśród tych, których dręczą wątpliwości i pociągają pokusy. Byli już tacy — i więcej od nas — w każdym pokoleniu, od dwóch tysięcy lat. A jednak na dalszą metę nie oni mieli rację, zawsze miał rację Kościół. To nie znaczy, by miał zawsze rację jakiś proboszcz, nawet jakiś biskup. Nie musimy być zbyt bezkrytyczni; nie musimy być „klerykałami”. Ale okazemy się głupcami, jeśli będziemy mędrkować na temat Kościoła. W rzeczach dogmatów, w rzeczach prawd wiary, a także w rzeczach moralności, w rozstrzygnięciach na temat tego co wolno, a czego nie wolno — mamy słuchać.

Musimy być jak skała. Jeśli nas będzie wielu — z pojedynczych skał urośnie szeroki ład. Trzymajmy się — a będzie nas przybawać i nie będziemy tacy samotni.

Polonus

POLSKIE SEMINARIUM DUCHOWNE W PARYŻU

przyjmuje kandydatów:

z maturą — do Wyższego
Seminarium,

bez matury — do wszystkich
klas Niższego Seminarium.

Zgłoszenia kierować
pod adresem:

Ks. Rektor
Polskiego Seminarium
Duchownego
5 rue des Irlandais
Paris V, France.

Działalność naukowa Mariana Smoluchowskiego

„On a les défauts des ses qualités“. Dumni — i słusznie — z wysokich osiągnięć kultury polskiej na polu humanistyki, pełni obawy o dalsze jej losy pod komunistyczną niewolą, często zapominamy, że Polska szczytów się może wieloma sukcesami i na polu nauk ścisłych. W takich ich działach jak matematyka — nazwiska Banacha, Mazurkiewicza, Saksa, czy Sierpińskiego, by wymienić choć kilku z wielkiej ich liczby, jaśnieją na firmamencie nauki blaskiem pierwszej jasności gwiazd, a nowoczesnej logiki matematycznej niesposób sobie wyobrazić bez o. Bocheńskiego, bez Leśniewskiego, Łukasiewicza czy Tarskiego.

Ale i w dziale nauk przyrodniczych, zwłaszcza fizyki, pochłubić się możemy takimi nazwiskami, jak Ciołek (Vitello), Kopernik, Maria Skłodowska-Curie i Marian Smoluchowski, aby przypomnieć tylko te, które stanowią kamienie milowe na drodze jej rozwoju. Z wymienionych tutaj, Marianowi Smoluchowskiemu, który zmarł pod koniec 1917 roku, a więc czterdzieści lat temu, zawdzięczamy otwarcie epoki atomowej, która tak wielkie zmiany wprowadza w naszym współczesnym życiu.

I

Teoria, że wszystkie ciała na świecie składają się z atomów, pojawiła się — o ile wiemy — po raz pierwszy około 500 roku przed Chrystusem, w naukach Leukippa, rozwiniętych następnie pół wieku później przez Demokryta. Wśród wielu współczesnych fizyków panuje tendencja mocno pogardliwego traktowania ich hipotezy, jako „czystej spekulacji, nie popartej faktami“. W rzeczywistości jednak ich rozumowanie, choć oczywiście pozbawione matematycznej szaty i matematycznej ścisłości fizyki nowoczesnej, nosi wszystkie cechy hipotezy naukowej. Wychodząc z obserwacji, że ciała ogrzane się rozszerzają, sądzili oni, że rozszerzanie się ciał ciągliwych jest mało przekonywujące. Jeśli jednak przypuścić, że ciała składają się z drobnych, gołym okiem niewidocznych cząsteczek, przedzielonych próżnią, rozszerzanie się ciał można wyjaśnić bardzo prosto: w miarę ogrzewania cząsteczki te powiększają swe odległości.

Jednak, mimo że teoria Leukippa i Demokryta była zupełnie logiczna, nie znalazła ona dużego zrozumienia w starożytności. Jedyń, który w starożytności dał jej dobry, po rzymsku uporządkowany opis, był Lucretius, w 57 roku przed Chrystusem, w poemacie „De rerum natura“.

W czasie średniowiecza teoria ta całkowicie poszła w zapomnienie, nie odpowiadała ona duchowi czasów, zajętych bardziej zagadnieniami metafizyki niż fizyki. Pojawia się ona znowu najpierw w pośmiertnym wydaniu dzieł francuskiego filozofa i matematyka Gassendiego (1658). Nie znalazła dużego oddźwięku, gdyż nieomal równoczesna teoria wirów Kartezjusza wydawała się współczesnym bardziej przekonująca. Pierwsze nowoczesne jej ujęcie zawdzięczamy Anglikowi Daltonowi, który w dwu publikacjach, w 1801 i 1803 roku, położył fundament pod atomistyczną budowę materii i jej teorię kinetyczną.

Wbrew jednak temu co głosi większość podręczników, teorie Daltona nie były bynajmniej dla współczesnych jakimś objawieniem, które otworzyło na oścież drzwi nowym

teoriom. Wręcz odwrotnie, opory przeciwko nim były olbrzymie. I choć w ciągu XIX wieku najsłynniejsze w nauce nazwiska, jak Avogadro, Ampère, Clausius, Maxwell, Boltzmann, dołożyły wiele najwyższej miary przyczynków do tych teorii, nastrój ogółu fizyków był im mocno nieprzychylny, przy czym ta aura nieprzychylności zagęszczała się w miarę czasu, osiągając swe maksimum na przełomie XIX i XX wieku. Przyczyn tego niechętnego stanowiska szukać należy po części w filozoficznych przesłankach XIX-wiekowego materializmu, w kopalnianej niemal formie zachowanego we współczesnym materializmie dialektycznym. Dużą rolę grała, również i pycha ówczesnych uczonych, którzy wierzyli mocno w to, że odkryli wszystkie podstawowe prawa rządzące przyrodą, a każde nowe prawo uważali nieomal za obrażę osobistą. Wreszcie przeciw teorii atomowej przemawiało stosowanie „brzytwy Occama“ („entia non sunt multiplicanda“) do zjawisk fizycznych. Skoro do początku XX wieku nie było żadnego zjawiska w fizyce i chemii, które by nie mogło być wytłumaczone bez hipotezy atomowej budowy materii, wprowadzenie tej hipotezy, choć niewątpliwie znacznie lepiej i prościej wyjaśniającej szereg zjawisk niż hipotezy jej przeciwstawne, byłoby — zdaniem ówczesnych fizyków — owym zbędnym wprowadzeniem nowego „bytu“ bez istotnej ku temu konieczności.

I tu właśnie na widownię występuje Marian Smoluchowski. Urodzony w 1872 roku w Vorderbrühl pod Wiedniem, jako syn wysokiego urzędnika w kancelarii cesarskiej w Wiedniu wychowany w Wiedeńskiej Akademii Trezjańskiej, wyniósł on z tej nauki wiele cennych wiadomości i umiłowanie fizyki, równocześnie jednak nieuniknienie przesiał po części duchem otoczenia, co w niejednym odbiło się na jego przyszłym światopoglądzie, jak o tym dalej będzie mowa. Dzięki jednak polskiej atmosferze, jaka panowała w domu rodzicielskim, mimo iż cała jego nauka szkolna odbywała się w języku niemieckim, wyniósł on z domu doskonałe opanowanie języka polskiego, co widać już z jego najwcześniejszych listów, oraz duże zrozumienie współczesnych problemów polskich. Dalsze studia odbył na uniwersytecie wiedeńskim, gdzie jego profesorami byli J. Stefan i F. Exner. Dopiero po ukończeniu uniwersytetu objął na nim wykłady nie doceniony przez współczesnych Boltzmann. Ponieważ jednak Smoluchowski i po ukończeniu studiów uniwersyteckich utrzymywał z nim nadal stały kontakt, więc — jak sam się do tego przyznawał — teorie Boltzmann silny wywarły na niego wpływ.

Po ukończeniu w 1895 r. studiów uniwersyteckich, z najwyższym odznaczeniem, jakie znała Austria („sub auspiciis imperatoris“), rozpoczął pracę naukową w Paryżu, a następnie w Glasgow, pod kierunkiem słynnego fizyka Lorda Kelvina. Przerzucając się z tematu na temat, jak wielu młodych uczonych, ciągle jeszcze szukał swego kierunku. Dopiero w Berlinie, w 1897 roku znalazł się na właściwej ścieżce: rozpoczęte przez niego prace nad przewodnictwem cieplnym gazów przy wysokim rozcieńczeniu — wprowadziły go w sam środek zagadnień związanych z tak podówczas krytykowaną teorią kinetyczną gazów, a wynik ich wykazał, że jedynie ta teoria należycie tłumaczy wystę-

pujące tutaj zjawiska, choć o pracy swej Smoluchowski, licząc się z panującymi wówczas uprzedzeniami, wyraża się bardzo ostrożnie i dyplomatycznie.

Droga została jednak zapoczątkowana. Mianowany w 1898 roku docentem uniwersytetu w Wiedniu, a w 1899 docentem uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie, nie zaniechał Smoluchowski swych prac nad pasjonującym go zagadnieniem atomistyki.

II

W roku 1827 angielski botanik Brown zauważył, że drobne pyłki roślinne, zawieszone w wodzie, wykonują dziwne zygzakowate ruchy, to tu, to tam, krążąc w polu mikroskopu jak piłka na boisku. Wyjaśnienie tego zjawiska, które zdawało się stać w sprzeczności z zasadą zachowania energii, przez 80 prawie lat wymykało się z rąk fizyków.

Kilkakrotnie już, przed Smoluchowskim, usłowano ruch ten tłumaczyć kinetyczną teorią materii, a mianowicie założeniem, że jest on wynikiem nieustannego ruchu cieplnego drobin wody, które uderzają w zawieszony w nich, znacznie od nich większe cząsteczki, a więc pyły, ziarna gumiguty czy też sadze. Wszystkie jednak próby znalezienia wzoru, który by połączył ruchy cieplne drobin wody z ruchem Browna, jak np. próba Exnera, zawodziły.

Pierwszą odpowiedź na to pytanie dał Smoluchowski wykazując, że w małym polu widzenia mikroskopu nie możemy obserwować szybkości cząsteczek, ani też prawdziwego ich ruchu, składającego się z „kawałków prostych, bez porównania krótszych niż rozmiary cząsteczki“. To co naprawdę obserwujemy, to „oddalenie się (cząsteczki) od pozycji początkowej“.

Tu Smoluchowski, po raz pierwszy w fizyce, prawdopodobnie nawet nie uświadamiając sobie tego, zwrócił uwagę na to, co w dwadzieścia lat później postulował Dirac, że pierwszym warunkiem zbudowania prawdziwej teorii fizycznej jest wyjście od tych wielkości, jakie możemy mierzyć.

Wychodząc więc z założenia, że elementem, jaki należy mierzyć, jest średnie przesunięcie (lub — ściślej mówiąc — kwadrat średniego przesunięcia) cząsteczki w czasie, zdołał Smoluchowski obliczyć wzór wyrażający to średnie przesunięcie w zależności od temperatury i lepkości cieczy oraz promienia cząsteczki. Wzór ten, jak to dziś wiemy, różnił się od wielkości mierzonych pewnym współczynnikiem, nieuniknionym następstwem uproszczeń, jakie Smoluchowski musiał wprowadzić dla matematycznego ujęcia tak zawiłego zjawiska. Tym niemniej, była to pierwsza teoria, która nie tylko wyjaśniała ruchy Browna, ale do tego wyraźnie wskazywała na to, że bez kinetycznej teorii materii ruchy są niezrozumiałe. Toteż, gdy w rok po ogłoszeniu pracy Smoluchowskiego (r. 1906. Smoluchowski był już wtedy profesorem zwyczajnym Uniwersytetu Jana Kazimierza) fizyk francuski Perrin wykazał zgodność jego teorii z doświadczeniem, ostatnie przeszkody przed teorią atomistyczną upadły.

Dla ścisłości należy może dodać, że na niecały rok przed Smoluchowskim Einstein ogłosił pracę o ruchach ciał zawieszonych w cieczy, pracę zupełnie teoretyczną, wychodzącą

z założeń tak daleko odbiegających od doświadczenia, że początkowo Einstein sam miał wątpliwości, czy wyniki jego odnoszą się do ruchu Browna. Jakkolwiek więc Smoluchowski (który zresztą był w częstej korespondencji z Einsteinem) sam przyznaje pierwszeństwo Einsteinowi, w opinii współczesnych fizyków wyjaśnienie ruchu Browna i tym samym całkowite obalenie oporów przeciw teorii atomistyki zawdzięczać należy w pierwszym rzędzie Smoluchowskiemu.

III

Dla Einsteina zajęcie się ruchami cząsteczek w zawieszynie, a więc stosowanie metod rachunku prawdopodobieństwa do badania zjawisk fizycznych, było tylko wyskokiem, zboczeniem z zasadniczej drogi. Już w kilka lat później Einstein, przerażony teoriami fizyki atomowej, do których powstania sam się częściowo przyczynił swoją teorią fotonów, spędził wiele lat swego życia na daremnym szukaniu deterministycznych teorii dla opisu prawdopodobnościowych w swym charakterze zjawisk atomowych.

Inaczej Smoluchowski. Dla niego metody rachunku prawdopodobieństwa, metody statystyczne, były istotną treścią jego myślenia naukowego. Były one, jak wyraził się po jego śmierci Sommerfeld, tak konieczne dla jego życia jak powietrze.

Smoluchowski był pierwszym z fizyków, którzy oderwali się od klasycznego w tym czasie w nauce podejścia, jakoby prawa prawdopodobieństwa były tylko wynikiem naszej niewiedzy. Wprost przeciwnie, w miarę jak bardziej zagłębiał się w to zagadnienie, tym jaśniej uświadamiał sobie, że zjawisko statystyczne w fizyce to „pewien szczególny rodzaj związku przyczynowego” i że podstawą wszystkich zjawisk w fizyce jest „statystyka ukrytych zdarzeń elementarnych”. Jest to stanowisko całkowicie nowoczesne, gdyż współczesna fizyka jest zdania, że podstawowe zjawiska przyrody podlegają nie prawom deterministycznym, prawom konieczności, ale prawom statystycznym, prawom prawdopodobieństwa. I stwierdzić należy, że Smoluchowski był pierwszym fizykiem, który dał temu wyraz.

Wychodząc z tego punktu widzenia odrzucił Smoluchowski dotychczasowe traktowanie przez większość fizyków rachunku prawdopodobieństwa jak gdyby jakiego „suwaka rachunkowego” (jak sam pisał), który miał tylko upraszczać rachunek, ale widział w nim istotną metodę badania zjawisk atomowych.

Wynikiem tego jego podejścia była ogłoszona w 1903 roku praca o fluktuacjach. Dla jego poprzedników, nawet dla Maxwella, statystyczny rozkład szybkości drobin w gazie był jedynie sposobem do łączenia zjawisk drobinowych ze zjawiskami makrofizyki, a więc prawami gazów. Smoluchowski natomiast pierwszy wyciągnął ze statystyczności ruchu drobin pełne konsekwencje. Otóż rozłożenie drobin w gazie, nawet po nieskończone długim czasie, nie może być jednolite, ale muszą zachodzić w nim niestanne fluktuacje, niestanna zmiana gęstości w poszczególnych jego obszarach, tym częstsza i tym większa, im mniejsze są te obszary. Ta teoria o fluktuacjach, do której Smoluchowski niejednokrotnie wracał w ciągu swego życia, dała pierwsze ścisłe podstawy do wyjaśnienia błękitu nieba. Wskazała ona mianowicie na konieczność „ziarnistej” budowy gazów w powietrzu, która to ziarnistość —

wedle Lorda Rayleigha (trzeciego) „stanowi konieczny warunek rozpraszania światła przez powietrze”. Ponadto wyjaśniła ona wykryte jeszcze przez Tyndalla zjawisko opalescencji w gazie w stanie bliskim do krytycznego, a wreszcie stanowi podstawę wielu nowoczesnych teorii kosmologicznych.

I na tym polu więc prace Smoluchowskiego są pionierskie i wywarły bardzo duży wpływ na współczesnych mu fizyków, otwierając na oścież drzwi metodom matematycznego podejścia do zjawisk współczesnej fizyki.

Niech mi wolno będzie dodać tu nieco danych biograficznych. W roku 1903 został Smoluchowski profesorem zwyczajnym Uniwersytetu Jana Kazimierza. W 1913 roku powołany został na Uniwersytet Jagielloński w Krakowie, po Augustu Witkowskim, który wówczas uchodził za najwybitniejszego fizyka polskiego, a który zmarł 5 września 1917 roku na dyzenterię.

Smoluchowski był nie tylko znakomitym, światowej sławy uczonym, ale i równocześnie doskonałym wykładowcą.

IV

Czytelnika katolickiego niewątpliwie interesować musi światopogląd Smoluchowskiego i jego stosunek do religii, tym bardziej że w Kraju liczni publicyści komunistyczni, a zwłaszcza Krajewski i Teske usiłują czynić z niego „fizyka-materialistę”, i choć karca go nieustannie za jego „błędy ideologiczne” i „nieporadność filozoficzną”, tym niemniej starają się go przedstawić jako prekursora materializmu dialektycznego.

W rzeczywistości Smoluchowski był agnostykiem, a nie ateistą, jak usiłują to stwierdzić autorzy komunistyczni. Jego stosunek do religii wyraża się słowami jego listu do żony: „...nie wiem, nawet wątpię, czy jest jakiś drugi świat”, a dalej słowami Konfucjusza: „...nie nauczyliśmy się jeszcze rozumieć czym jest życie, jak więc możemy wiedzieć czym jest śmierć”.

Jest to więc stanowisko racjonalisty, który chce wiedzieć, a nie tylko wierzyć, ale na pewno nie stanowisko ateisty, wroga religii.

Jest ono zresztą wyraźnym wynikiem wpływu otoczenia, w którym się Smoluchowski wychował. Wiedeń, mimo swego pozornego katolicyzmu, był w gruncie rzeczy miastem liberałów. W tym to przeciw środowisku zrodziła się teoria Freuda. I trudno się temu dziwić. Jeśli „jego cesarsko-królewska apostołska moc” uważał za właściwe dyktować swoją wolę przy wyborze następcy na Stolicy Piotrowej, jeśli religia była przykrywką działań o charakterze politycznym, działaniom nie zawsze budujących, jeśli była ona narzędziem władzy, a nie jej celem, nie dziw, że młode siły, które naiwnie wierzyły w „postęp” (a wiara ta była podówczas powszechna), identyfikowały go ze stanowiskiem antyreligijnym lub co najmniej z obojętnością religijną. Jeśli do tego dodamy, że i nauka zaczęła się dopiero wyzwalać — i to właśnie dzięki pracom Smoluchowskiego — z panującego w niej wówczas powszechnie materializmu, łatwo zrozumiemy niejedne wypowiedzi Smoluchowskiego, które dzisiejsi władcy Polski chcą koniecznie uważać za objaw jego „antyklerykalizmu”.

Naprawdę zaś Smoluchowski, nawet tam, gdzie pozornie występował przeciw religii, czynił to z umiarkowaniem człowieka, który szanuje cudze poglądy. Charakterystyczna jest jego motywacja, gdy w 1911 roku gło-

scował przeciw nadaniu doktoratu honorowego na wydziale filozoficznym arcybiskupowi Balczewskiemu: „narzucono go wydziałowi filozoficznemu, choć jego miejsce jest na wydziale teologicznym”. Są to słowa człowieka, który — zgodnie z doświadczeniem — uważał religię i naukę za dwa wodoszczelne przedziały, ale nie „antyklerykała”, jakiego stara się z niego uczynić propaganda komunistyczna.

Tym bardziej stawianiem na głowie jest usiłowanie przedstawienia jego poglądów fizycznych jako „prawie zgodnych” z materializmem dialektycznym. Jak o tym już mówiliśmy, Smoluchowski był pierwszym fizykiem, który mocno stanął na stanowisku, że prawa prawdopodobieństwa są istniejącym w przyrodzie związkiem przyczynowym. Stanowisko to o tyle tylko zgodne jest z dialektycznym materializmem, że uznaje istnienie obiektywnych praw w przyrodzie, wbrew np. logicznemu pozytywizmowi, który twierdzi, że prawa te wprowadza w przyrodę człowiek. Jest ono jednak zgodne i z poglądami wielu współczesnych tomistów, którzy również twierdzą, że w przyrodzie istnieją obiektywne stosunki między rzeczami, niezależne od człowieka, choć sposób ich interpretowania jest syntezą owych obiektywnych związków i ujęć wprowadzonych przez umysł badacza.

Tu więc do poglądu Smoluchowskiego przyznać się mogą zarówno dialektyczni materialści, jak i tomiści. Na tym jednak kończy się zgodność teorii fizycznych Smoluchowskiego z teoriami materializmu dialektycznego. Podstawową zasadą tego materializmu jest przecież determinizm. Na nim zbudowane są wszystkie przyrodnicze jego teorie, na nim materializm historyczny, na nim doktryna społeczna, na nim wreszcie owa mistyczna wjara, że rozwój historii musi komunizmowi przynieść zwycięstwo.

Tymczasem cała nowoczesna fizyka stoi nieomal bez wyjątku na gruncie indeterminizmu. Pogodzenie tych dwóch przeciwstawnych tez niemożliwe jest nawet dla metody dialektycznej, choć jest ona — jak sama twierdzi — metodą godzenia przeciwieństw, a więc czynienia białego czarnym. I mimo wszelkich sztuczek, mimo powoływania się na powiedzenie Marksa, że „przyczynowość jest wewnętrznym prawem torującym sobie drogę poprzez wszystkie przypadki”, zasadnicza sprzeczność między pytaniem, czy podstawowe prawa przyrody są prawdopodobnościowe czy też deterministyczne — pozostaje nadal w całej swej jaskrawości. Na tym polu poglądy Smoluchowskiego są całkowicie poglądami nowoczesnej fizyki, co więcej, nie kto inny a właśnie Smoluchowski był tych poglądów inicjatorem.

Wbrew więc wszelkim próbom czynienia ze Smoluchowskiego jakiegoś prekursora dialektycznego materializmu, należy stwierdzić, że prace jego stały się fundamentem, na którym rozwijają się nowoczesna fizyka, która zadała materializmowi dialektycznemu — jak to twierdzi np. Russell — cios bardziej śmiertelny niż wszystkie wywody czysto filozoficzne.

Smoluchowski był dzieckiem swej epoki w wielu swych poglądach na świat. W swych pracach naukowych jednak był on siłą przodującą, torującą drogę nowym ideom, obalającą przestarzałe poglądy na materię i kładącą fundamenty pod współczesne teorie fizyki atomowej.

Tadeusz Felsztyn

Chrześcijańska synteza naszych dziejów

Zarys dziejów Polski profesora Oskara Haleckiego napisany był po francusku przed ćwierć wiekiem jako rodzaj zwięzłego przewodnika po przeszłości naszej dla historyków z całego świata przybywających do wolnej naszej stolicy na VII Międzynarodowy Kongres Nauk Historycznych. Tuż potem ukazało się jej tłumaczenie fińskie. W roku 1941 wyszło pierwsze wydanie angielskie w tłumaczeniu s.p. Moniki Gardner i Marii Corbridge-Patkaniowskiej, z dodaniem już części piątej — o nowej tragedii, którą przeżywał naród. Książka ukazała się również w Ameryce; w Kanadzie wyszedł jej przekład francuski, w Buenos Aires hiszpański, a w roku 1955 — w nowym amerykańskim wydaniu — doprowadzona została do ostatniej chwili. Stała się klasyczną historią Polski w świecie anglosaskim. Sprawozdawcy obcy — nawet dalecy od poglądów autora — pisali o niej zawsze z szacunkiem, często z zachwytem. Prof. A. J. P. Taylor, jeden z czołowych dziś historyków brytyjskich młodego pokolenia, pisał o niej w radykalnym „New Statesman and Nation”, że wyjaśniła mu dramat dziejów Polski i ukazała naród nasz jako naród męczeński — Martyr Nation.

Upominaliśmy się od dawna o wydanie „Historii Polski” Haleckiego po polsku. Ukazanie się jej nakładem „Veritasu” — choć nie w nowej, polskiej redakcji, ale w doskonałym przekładzie Jana Bielawicza i Zofii Kozarynowej — to spełnienie prawdziwego „zamówienia społecznego”. Jest potrzebna odczuwana na emigracji, a tym więcej w Kraju takiej właśnie książki o naszych dziejach, ujmującej je w jednolitym, zwięzłym, syntetycznym wykładzie naukowym przykuwającym każdego inteligentnego czytelnika, przystępnej przez przejrzystość, jasność, prostotę, pełnej treści, a nie przeciążonej, takiej, by można ją było czytać jednym tchem. Takim właśnie jest to dzieło. I czymś więcej jeszcze.

Jest to dzieło wielkiego uczonego i znakomitego pisarza historycznego. Profesor Halecki jest dziś na emigracji czołowym przedstawicielem polskiej historiografii, uznanym przywódcą historyków polskich w wolnym świecie. Pisaliśmy o nim niedawno w adresie Polskiego Towarzystwa Historycznego w Wielkiej Brytanii na jubileusz 40-lecia jego pracy profesorskiej: „Przewodniczy nam od lat w naszych wysiłkach, by polska nauka historyczna, wolna od hańbiących obcej przemocy nakazów, nie zamarła, by utrzymała ciągłość rozwoju historiografii polskiej, przemocą w ojczyźnie zerwaną, by na obcej, ale wolnej ziemi, broniła prawdy o Polsce i jej przeszłości, by głośno się przeciwstawiła niewoli sumień polskich historyków w Kraju. Nikt do tej roli przewodniczej nie był tak powołany jak prof. Oskar Halecki. Nie dlatego tylko, że posiadał wiedzę historyczną tak rozległą i tak głęboką, że ma wspaniałe dorobek badawczy i pisarski, że tyłu językami włada, że jest mistrzem żywego słowa i pióra. Idzie o coś więcej jeszcze: uniwersalizm badań i myśli historycznej Jubilata, tak wspaniale rozwijający się w ostatnim dziesięcioleciu jego twórczości, łączy się z coraz głębszym i bardziej odkrywczym przenikaniem dziejów własnego narodu i dochodzeniem w przeszłości tych elementów, które są wkładem Polski do wspólnego dziedzictwa cywilizacji europejskiej i rozświetlających misję opatrznościową, którą Polska, jak jest przeświadczony, pełniła w miarę sił w ogólnym rozwoju ludzkości. A nad całą jego twórczością naukową, nauczaniem, działaniem unosi się duch Unii Jagiellońskiej i duch Unii Kościołów, duch, który natchnął w akcie Horodelskim nieśmiertelne słowa o miłości wzajemnej ludzi i narodów — warunkowi zbawienia. W tym duchu przemawia do swoich i obcych każda praca Jubilata, z mistrzostwem uczonego badacza, z połosem natchnionego pisarza, z żarliwością wyznawcy.

A my, którzy z nim mieliśmy szczęście współpracować, widzieliśmy więcej jeszcze: niezmiernie trudnych w wysiłkach i trudach, trawionego ogniem wewnętrznym ofiarnego służy wielkiej sprawie Polski chrześcijańskiej...”

W książce, którą tu omawiamy, odnajdujemy te właśnie znamiona twórczości Haleckiego. Poczucie pełnionej misji dyktowało mu słowa przedmowy; książka ta jest wyrazem jego przekonań „najgłębszych, nigdy nie zmienionych”; napisana ku obronie naszej spuścizny dziejowej i tradycji narodowej wobec obcych, jest potrzebna w tej postaci, w tym celu czytelnikowi polskiemu i na emigracji i zwłaszcza w Kraju. Tam „ma niezwykle doniosłe zadanie, do spełnienia” — jako „zwięzła synteza, oparta na metodzie diametralnie przeciwnej materializmowi dialektycznemu, starająca się uwydatnić nasze odwieczne związki nie ze Wschodem a z Zachodem katolickim, przeniknięta tym samym kultem wolności, który ożywił przodków naszych...”

Oby ten porywający wykład naszych dziejów, łączący sumienną naukową i skrupulatną bezstronność z mocną wiarą w powołanie i przyszłość narodu polskiego, znalazł należne mu przyjęcie tutaj — a dotarł do łaknącego prawdy o swej przeszłości społeczeństwa tam — gdzie tylko materialistyczne, odczłowieczone i bezduszne elaboraty przeniknięte nienawiścią ku przeszłości, którą mają poznać i przedstawić, przedstawiciele, dopuszczane są do druku jako próby „nowej syntezy historycznej”.

Marian Kukiel

*) Oskar Halecki: **HISTORIA POLSKI**, tom IV serii zielonej „Biblioteki Polskiej” Katolickiego Ośrodka Wydawniczego „Veritas”, Londyn 1958, stron 316. Cena 15 szyl.

„WRZEŚNIOWCY”

Polska literatura piękna i pamiętnikarska o drugiej wojnie światowej przedstawia się ubogo, aczkolwiek każde nowe dzieło z tej dziedziny witamy tradycyjnie z westchnieniem niechęci, że znów wspomnienia. W krajach anglosaskich, łacińskich i germańskich fala pamiętników i powieści wojennych narasta z roku na rok. Czytelnicy przyjmują je z niesłabnącym, ba, wzrastającym zainteresowaniem. Tylko my Polacy mamy tego dość. Tylko my gardzimy czasem przeszłym, nieciekawym nauki historii, aby znowu w przyszłości jako wieczni fantasty i marzyciele, lekceważący wszelkie doświadczenia, popelniali nowe głupstwa. Toteż każdy pamiętnik polski posiada wartość podwójną: jako dzieło literackie i jako akt odwagi wobec własnego społeczeństwa, odwracającego się plecami od swojej najnowszej historii.

Jędrzej Giertych w pamiętniku pt. „Wrześniowcy” poruszył temat dotąd w pamiętnikarstwie polskim prawie nie ruszany: dziejów jeńców w obozach jenieckich. Dość obszerny tom obejmuje także pożegnanie domu i opis obrony Helu, w której autor jako oficer marynarki wojennej brał udział, a

kończy się z chwilą, gdy do obozów jenieckich zaczęli napływać Francuzi i kiedy już nie tylko Polacy, ale niemal cała Europa znalazła się w niewoli. Tom drugi wspomnień, z tego właśnie okresu, ma Giertych gotów do druku.

Nie jest on wielkim stylistą, aczkolwiek nie ukrywa swoich ambicji jako beletrysta. Nie jest stylistą, lecz posiada bardzo wyraźny, własny styl. Znane jest powiedzenie Bufona: „styl to człowiek”. Człowiek z charakterem, świadomy swoich dążeń, jeśli mówi lub pisze z zupełną szczerością, wypowiada się w sposób swoisty, oryginalny, stylowy. Styl Giertycha ma źródło w jego mocnych przekonaniach moralnych i ideowych, ale przede wszystkim w charakterze. Z każdej jego książki, z każdej wypowiedzi publicystycznej, z każdego niemal zdania przebiega ten styl niezłomnego przekonania. Naiwności i ułomności takiego stylu, rażące w literaturze pięknej, w pamiętnikarstwie dodają dziełu uroku i oryginalności.

Najważniejsze, że Jędrzej Giertych ma wiele do powiedzenia, gdyż zawsze i wszędzie żyje życiem bardzo intensywnym i nie traci żadnej sposobności, aby zdobywać coraz to nowe horyzonty dla umysłu. To, rzecz jasna, odzwierciedla się w pisaniu. „Wrześniow-

cy” to książka nie tylko ciekawa, lecz wprost pasjonująca przez swą tematykę. Czyta się ją jak romans awanturyczny w najlepszym stylu, mając jednakże pewność, że każde jej zdanie zawiera szczerą prawdę, zwłaszcza że autor wyznaje jawnie swój katolicyzm. Osobowość autora to główny walor „Wrześniowców”. Trudno znaleźć lepsze określenie na taki charakter jak Jędrzeja Giertycha od przymiotnika: kryształowy. Twardy, przejrzysty i szlachetny. „Wrześniowcy” to książka rycerska.

Dawne to wieki, kiedy czytelników książek najbardziej pociągały ideały rycerza, dworzana, człowieka pocziwego. W czasach, kiedy słabość natury ludzkiej i charakteru należy do najlubiejszych tematów, „Wrześniowców” zaliczyć trzeba do dzieł niepopularnych, niemodnych. Gdyby jednak przyszło poszukać lektury wychowawczej dla młodzieży, niewiele byśmy znaleźli we współczesnym piśmiennictwie polskim dzieł podobnej wartości. Giertych rozwinął przed

*) Jędrzej Giertych: **WRZEŚNIOWCY**, O-powieść. Tom 35 serii czerwonej „Biblioteki Polskiej”. Nakładem Katolickiego Ośrodka Wydawniczego „Veritas” w Londynie, 1958. Stron 276. Cena 15 szyl.

laty credo młodzieży w książce „My młode pokolenie”. „Wrześniowców” i zapewne drugą nie ogłoszoną jeszcze część pamiętnika Giertycha, uważać można za wzorzec postępowania oficera w niewoli. W podchorążówkach polskich ta książka powinna się stać lekturą podstawową.

Giertych uważa niewolę za dalszy ciąg walki i opierając się na regulaminie wojskowym, za swój obowiązek jako jeńca poczytuje wykorzystywanie każdej sposobności ucieczki. Nie można nie zazdrościć autorowi siły charakteru: każdą wolną chwilę niewoli poświęca pracy umysłowej, a każdą, najtrudniejszą nawet okazję ucieczki wykorzystuje z zimną przytomnością umysłu. We „Wrześniowcach” znajdujemy opis trzech takich, niezwykle dramatycznych ucieczek. Giertych daje wspaniałe świadectwo, jak człowiek może zachować czynną postawę duchową nawet w najsurowszych twierdzach. Nic dziwnego, że lata niewoli nazywa szczęśliwymi.

Autor oddaje sprawiedliwość wrogowi i chociaż nie tai nadużyć i zbrodni niemieckich w stosunku do innych jeńców, wykazuje, że resztki dawnej rycerskości nie były obce również Niemcom, szczególnie korpusowi saskiemu. „Wrześniowcy” są wzorem obiektywnej oceny Niemców przez żołnierza polskiego. Trudno się oprzeć wrażeniu, że to osoba Giertycha oddziaływała także na Niemców odważną prostolinijnością i otwartością jego postępowania.

Kodeks rycerski i postawa moralna Jędrzeja Giertycha działają tak urzekająco na czytelnika, że nasuwa się myśl, iż autor powinien napisać pamiętnik całego swojego życia. Byłoby to z pewnością lepsze i ciekawsze niż jego beletrystyka. Nie znaczy to wszakże, aby pióro Giertycha było pozbawione wartości literackich. Bynajmniej. Giertych może nie jest artystą, ale jego pióro posiada nieprzeciętne zalety. Barwnie i plastycznie opisuje przygody, charakter ludzkie i obrazy przyrody. Naiwności słownikowe, składniowe i treściowe wnoszą do narracji sporo wdzięku, jak też owe pieczołowicie przytoczone częstochowskie wiersze o kampanii wrześniowej i walkach na Bałtyku.

Mimo wznoszącej się produkcji wydawniczej coraz mniej spotyka się dobrych książek, które by mogły pociągnąć wyobraźnię czytelnika. Coraz więcej w literaturze popisu za każdą cenę, a brak rzetelnego pisarskiego rzemiosła. Dlatego lektura „Wrześniowców” działa odświeżająco jako książka żywa, zajmująca, z charakterem i pionem moralnym.

J. B.

FUTURE TO LET

Wysłała trzecia powieść Jerzego Pietrkiewicza po angielsku. Pierwsza, „The Knotted Cord”, była o życiu wsi dobrzyńskiej, a więc o tematyce ludowej, druga „Loot and Loyalty”, o historycznej (o szkockim muzyku i żołnierzu, który bawiąc w Polsce i w Rosji w XVII wieku zbierał tam melodie pieśni), trzecia, „Future to Let”, jest satyryczną powieścią współczesną.*) Pietrkiewicz ma za sobą również powieść polską („Po chłopku”), zbiór opowiadań wojennych, dramat współczesny, siedem tomów poezji, kilkadziesiąt szkiców o poezji polskiej, angielskiej i hiszpańskiej, antologię prozy i poezji polskiej w języku angielskim, a w druku znajduje się jego antologia liryki angielskiej w

przekładzie na język polski (ponad 120 wierszy). Autor tych wszystkich prac ma lat 42. Literatura jest jego zajęciem ubocznym, gdyż Pietrkiewicz zajmuje stanowisko lektora języka i literatury polskiej na uniwersytecie londyńskim. Imponująca pracowitość, zdumiewająca wszechstronność.

Nieliczne utwory pisarzy polskich na emigracji, i to przeważnie o charakterze polityczno-publicystycznym, bywają przekładane na obce języki. Trzech czy czterech poetów (m. in. Pankowski i Ilińska) pisuje do rywczu w obcych językach. Systematycznie i na wielką skalę obcy język jako narzędzie literackie przyswoił sobie tylko Jerzy Pietrkiewicz. Trzy jego powieści po angielsku oraz antologia „Polish Prose and Verse” doczekały się niezmiernie życzliwego przyjęcia zarówno u krytyków jak i czytelników. Pietrkiewicza uważają w Anglii za jednego z najwybitniejszych pisarzy młodego pokolenia w tym kraju.

Niestety, wszedłszy w literaturę angielską, Pietrkiewicz polską zaniedbał. Bardzo już tylko rzadko składa jej daniny w poezji. Siedem tomów wierszy, powieść „Po chłopku” (mimo jej niedojrzałości kompozycyjnej), dramat „Sami swoi”, a także przekłady liryki angielskiej posiadają znaczny ciężar we współczesnej literaturze polskiej i zapewne pozostaną w niej jako wartości trwałe. Chociaż Pietrkiewicz bardzo rychno porzucił piśmiennictwo polskie, zdążył jednak nie tylko odegrać w nim już pewną rolę, ale nadal, choć pisze po angielsku, uważany jest za pisarza polskiego. Dzięki nazwisku przede wszystkim, ale także dzięki tematyce. Odszedł od literatury polskiej, pozostał jednak wierny tematyce polskiej. I to go przede wszystkim różni od Conrada, bo, pamiętając o wszystkich proporcjach, z Conradem zestawiają go krytycy angielscy.

A jednak szkoda Pietrkiewicza. W literaturze polskiej dorabiał się sławy jednego z pisarzy przodujących, sławy nieprzemijającej i mógł wpływać na jej tok i charakter, u Anglików jego powodzenie może być przeświadczeniem i mniej znaczące w licznych zespołach talentów. Wydawca powieści Pietrkiewicza William Heinemann w dołączonej do „Future to Let” nocie bio-bibliograficznej powołuje się na jego sukcesy literackie na terenie polskim. Bo twórczość Pietrkiewicza da się o wiele łatwiej ocenić na tle polskim niż angielskim. W świecie literackim angielskim grozi mu ponadto pokusa dogadzania gustom rynkowym.

Autor tych słów nie ma podstaw do należytą ocenę literackiego rzemiosła w języku angielskim. Trzeba poprzestać na sądach krytyków angielskich, że Pietrkiewicz operuje językiem doskonałym i stylem poetyckim. W języku mieści się świat pisarza. Odrębny, polski świat Pietrkiewicza przejawia się, oczywiście, w jego angielszczyźnie i na pewno musi zdumiewać i olśniewać czytelników angielskich, tym więcej, że autor porusza odważnie najbardziej egzotyczne dla Anglików tematy, jak życie wsi polskiej, nasze dzieje, tajniki życia emigracji. Wydaje się, że głównym atutem Pietrkiewicza jest jego świeża a znakomita znajomość języka. Przyswajając sobie obcy język w dojrzałym wieku, kiedy ma się uformowaną już wyobraźnię, i to język tak bogaty jak angielski, można zapewne dostrzec w nim ogromne piękno, subtelność, dziwność i oryginalność. Pietrkiewicz gra na tym instrumencie z pewnością i zamiłowaniem wirtuoza, w czym mu jest jeszcze pomocny jego talent poetycki.

Pietrkiewicz wszystko pisze jak poezję i wszystko, co spod jego pióra wychodzi, jest poezją. Zarówno w języku, stylu, jak kompozycji. Rozdziały powieści odmierza niemal

jak strofy, a nie mogąc rymować prozy, gdzie może, posługuje się aliteracją i asonancją. Jego powieści składają się z obrazów poetyckich. Najpiękniejsze ich partie są te, gdzie autor daje pełny upust swojej wizji poetyckiej. Najwięcej takich koncertów poetyckiego opisu było w „The Knotted Cord”.

Ale ta poetyckość konstrukcji jest równocześnie i wadą powieści Pietrkiewicza. Brak mu szerokiego tchu powieściowego, zdolności do zawiązywania i rozsupływania węzłów intrygi, umiejętności prowadzenia wielowątkowej akcji. Powieści Pietrkiewicza posiadają kompozycję poetycką — artystyczną i zgrabną, lecz nie odpowiadającą założeniom powieściowym. Akcja rozwija się w nich raczej sztucznie, od sceny do sceny, nie przyczynowo, trochę na zasadzie „deus ex machina”. Już wszechstronność tematyki (powieść ludowa, historyczna i satyryczna — współczesna) zdają się świadczyć, że powieść, mimo wszystko, nie jest powołaniem Pietrkiewicza. Jest to jednak autor tak utalentowany i tak pracowity, że nawet w powieści wznosi się na wyżyny dobrej sztuki.

Jedną z zalet talentu Pietrkiewicza jest jego szlachetny, jak słusznie określono, Cervantesowski humor. Humor przez łyż, pogodny, humor wzruszenia i wyrozumienia, podobny do Mickiewiczowskiego, humor upiększający ludzi i sprawy. We „Future to Let” autor skwapliwie wykorzystuje niezliczone możliwości humorystyczne, tkwiące w nieumiejętnym posługiwaniu się językiem angielskim przez Polaków, w zakresie fonetyki, słownika, składni i idiomatyki. Rozkoszuje się również bogatą instrumentacją przyswojonej sobie angielszczyzny.

„Future to Let” to satyra na emigrantów polskich w Londynie i na ich działalność polityczną. Obok postaci emigrantów występują w powieści złowrogie sylwetki i cienie agentów Polski „Ludowej”, a to wszystko na tle romansu pięknej Polki z wciągniętym przypadkowo, a potem urzeczonym sprawami polskimi Anglikiem. Intryga powieści jest miejscami sztuczna, narszpikowana nazbyt sensacyjnością, ale główny jej nurt i założenie ideowe są z najlepszej materii. Jest to próba spojrzenia na Polaków oczyma Anglika, który zwolna, od egzotyki i groteski zaczynając, odkrywa w ich życiu i zagadnieniach tragiczną konieczność losu. Lancelot Thawroe nie tylko w końcu rozumie Polaków, ale właściwie sam staje się patriotą polskim. Ale autor nie używa nigdy barw ciemnych i tragicznych, przeciwnie stara się nie wyjść poza wyznaczone sobie ramy humoru i satyry. Więc odpowiednio do swego założenia maluje postacie powieści.

Ta satyra jest zresztą obosieczna. W równej mierze stosuje ją autor wobec Anglików i nie wiadomo, z kogo bardziej się śmieje. W miarę rozwoju akcji okazuje się, że Polacy w Anglii są śmieszni dlatego, że są tragiczni, a Anglicy mogą się z nich śmiać przez to, że nie znają losu polskiego. Najgłębszy morał, jeśli tak można powiedzieć, tej satyrycznej powieści jest ten, że człowiek nie może uciec od swojego narodu, a między narodami leży przepaść, którą da się przejść tylko po przesłach miłości.

J. B.

ROZPOWSZECHNIA J
„ŻYCIE” WŚRÓD
SWYCH
NA EMIGRACJI ZNAJOMYCH
I W KRAJU

*) Jerzy Peterkiewicz FUTURE TO LET. A Novel. W. Heinemann Ltd., London 1958. P. 232. Wrapper design by J. Faczyński.

CZŁOWIEK WALCZY Z RAKIEM

Czy rak jest rzeczywiście chorobą tak ciężką i beznadziejną, za jaką jest uważany przez ogół ludzi? By na to pytanie odpowiedzieć, postaram się najpierw przedstawić wynik nowszych badań w tej dziedzinie.*)

Rak nie jest chorobą nowszych czasów. Był on już znany i opisywany przez starożytnych Egipcjan na kilka tysięcy lat przed Chrystusem. Nazwa raka wywodzi się jeszcze z czasów starożytnych. Pochodzi ona stąd, że zdeformowana brodawka i rozszerzone żyły przy raku piersi przypominają raka morskiego.

Występowanie raka zwiększyło się niewątpliwie w ostatnich dziesiętkach lat we wszystkich krajach cywilizowanych. Ta tendencja zwykła utrzymuje się w dalszym ciągu. Czym jest to uwarunkowane?

Ludzie żyją obecnie znacznie dłużej niż w ubiegłych wiekach. Przeciętna długość życia, która wynosiła sto lat temu około 35-40 lat wynosi obecnie na zachodzie ponad 65 lat. Przedłużenie przeciętnej długości życia jest spowodowane lepszą higieną, szczepieniami ochronnymi, a przede wszystkim wprowadzeniem rozmaitych nowych środków leczniczych, takich jak penicylina i inne, które zlikwidowały prawie zupełnie śmiertelność z powodu chorób wywołanych bakteriami.

Wskutek przedłużenia życia ludzkiego występują obecnie częściej choroby związane z dojrzałym lub starszym wiekiem. Do chorób wieku dojrzałego i starszego należą właśnie raki. Zaznaczyć jednak należy, że w bardzo rzadkich przypadkach raki mogą występować i u ludzi młodych.

CO TO JEST RAK?

Ciało ludzkie, podobnie jak jest u zwierząt i roślin, jest zbudowane z olbrzymiej ilości małych, gołym okiem niewidocznych cegiełek, które nazywamy komórkami. Każda komórka żyje do pewnego stopnia niezależnym życiem, tak jak jednostki ludzkie w społeczności żyją swoim indywidualnym życiem. Komórki żyją tylko przez pewien czas. Zużyte komórki zostają zastąpione przez nowe. Nowe komórki powstają ze starej przez podział na dwie dokładnie takie same komórki.

Jeśli chodzi o składający się z jednostek ludzkich ustrój społeczny, jest on zdrowy dopóki wszystkie jednostki spełniają sumiennie wyznaczone im obowiązki. Może się jednak zdarzyć, że jakiś z gruntu zły osobnik zbuntuje się przeciw ogółowi i dobrawszy sobie podobnych mu ludzi, zacznie rozbój, siejąc zniszczenie i śmierć około. Jeżeli społeczeństwo na czas nie zareaguje na niszczycielską działalność bandy opryszków, wówczas doprowadzić to musi do kompletnej anarchii i rozpadu społeczeństwa.

Podobnie ma się z rakiem. Otóż wśród normalnych komórek ustroju — wskutek nieprawidłowego podziału — rodzi się komórka inna, nienormalna i rozmnaża się szybko, tworząc guz rakowy. Nie wiemy dokładnie, w jakim czasie rozwija się rak, ale

zdaje się nie ulegać wątpliwości, że rak może rozwinąć się z jednej komórki w przeciągu kilku do kilkunastu miesięcy. Czasem rozwój raka trwa znacznie dłużej.

Guz rakowy składa się z szybko rozmnażających się, nieprawidłowych, „dzikich“, bez celu rosnących komórek. Niszczy on stopniowo narząd, w którym powstał, i rosnąc, wdziera się do otaczających tkanek i narządów, doprowadzając wreszcie wskutek zatrucia do śmierci ustroju.

PRZYCZYNY POWSTAWANIA RAKA

Nauka zdołała wykryć niektóre przyczyny powstawania raka. Duże usługi oddały nam badania doświadczalne na zwierzętach. Dotychczasowe badania wskazują na przewlekłe drażnienie rozmaitej natury jako na przyczynę raka. Tym czynnikiem drażniącym może być czynnik mechaniczny, świetlny, cieplny, radioaktywność i czynniki chemiczne. Szczególne znaczenie przypisuje się w ostatnich czasach radioaktywności i czynnikom chemicznym.

Rak może się pojawić, jeśli zdrowa tkanka jest drażniona przez dłuższy czas pewnymi czynnikami chemicznymi. Ciało chemiczne mające zdolność wywołania raka nazywa się czynnikiem rakotwórczym. Takich czynników rakotwórczych znamy już dość dużo i liczba ich stale wzrasta.

Wielkie poruszenie wywołała w ostatnich czasach sprawa związku raka płuc z paleniem papierosów. Otóż w dymie z papierosów znajduje się jeden ze znanych czynników rakotwórczych, mianowicie benzypyren. Niektórzy nie są jeszcze ostatecznie przekonani o wpływie palenia papierosów na powstawanie raka płuc. Jakiegokolwiek będzie ostateczne wytłumaczenie — to jednak faktem jest, że palacze zapadają kilkadziesiąt razy częściej na raka płuc niż niepalący.

Szkodliwe czynniki chemiczne mogą się również znajdować w powietrzu, którym oddychamy. Dym z kominów i gazy spalinowe z silników samochodowych są na liście czynników podejrzanych o rakotwórcze działanie.

Czynniki takie mogą znajdować się w pożywieniu. Zaczyna się podejrzewać sztuczne nawozy, a szczególnie środki chemiczne używane obecnie bardzo szeroko w rolnictwie i ogrodnictwie dla niszczenia szkodników i zapobiegania chorobom roślin. Mogą to też być chemikalia służące do konserwacji środków spożywczych lub dla nadawania im koloru czy smaku.

Mogą to być wreszcie chemikalia, z którymi człowiek ma styczność przy wykonywaniu swego zawodu. Znamy już dzisiaj kilka rodzajów raków zawodowych, np. rak płuc u górników wydobywających rudę uranową, rak pęcherza u osób pracujących przy wyrobieniu barwików anilinowych lub raka kości u robotników mających styczność z substancją luminiscencyjną, używaną przy wyrobieniu świecących tarcz zegarowych.

W ostatnich latach zwraca się coraz więcej uwagi na radioaktywność jako przyczynę raka. Może to być radioaktywność naturalna, jak promienie kosmiczne, czy też radioaktywność elementarna ziemi lub też radioaktywność wytworzona przez człowieka, jak promienie Roentgena czy wybuch atomowy.

Poza wyżej wymienionymi czynnikami ra-

kotwórczymi istnieje jeszcze niewątpliwie cały szereg innych przyczyn, które są bardzo mało albo zupełnie nieznanne. Należą tu: pewna odporność osobista, wiek, dziedziczna skłonność, zwyczaje narodowe, rodzaj odżywienia, tryb życia, gruczoły o wewnętrznym wydzielaniu itd. Wyświetlenie tych spraw wymaga jeszcze długich i uciążliwych badań.

Jeśli chodzi o dziedziczność w powstawaniu raka, to stwierdzono, że w pewnych rodzinach skłonność do niektórych typów raka jest 10-15 razy większa niż w innych u tej samej ludności.

WYSTĘPOWANIE RAKA

Rak może powstać w każdej części ciała i w każdym narządzie człowieka. Istnieją rozmaite rodzaje raków, zależnie od miejsca, w których powstają. Różny jest też wygląd komórek rakowych w rozmaitych narządach ludzkich. Do bardziej znanych należy rak żołądka, płuc, skóry, rak piersi i szyjki macicy u kobiet, rak prostaty (gruczołu krokowego) u mężczyzn.

Rakiem krwi jest leukemia po polsku zwana białaczką. Występuje ona w ostrej postaci stosunkowo często u dzieci. U dorosłych spotyka się częściej przewlekłe postaci białaczki. Krew ludzka zawiera czerwone i białe ciała krwi. W jednym milimetrze sześciennym krwi znajduje się około 5 milionów czerwonych ciałek krwi czyli erytrocytów oraz 6-8 tysięcy białych ciałek krwi czyli leukocytów. W białaczkę następuje ogromny wzrost liczby białych ciałek krwi, przy czym ciała te są nienormalne. Białaczka może też powstać w skutek działania radioaktywności. W następstwie wybuchu atomowego w czasie wojny w Japonii stwierdzono w kilka lat później cały szereg przypadków białaczki u osób, które znajdowały się w pobliżu miejsca wybuchu, ale nie odniosły żadnych ran.

Pewne rodzaje raków występują częściej u mężczyzn, inne natomiast pojawiają się częściej u kobiet. Na przykład rak żołądka, płuc, skóry spotyka się częściej u mężczyzn, zaś rak tarczycy, jelita grubego, woreczka żółciowego występuje częściej u kobiet. Znacznie częściej występowanie raka płuc u mężczyzn jest niewątpliwie wywołane między innymi większym rozpowszechnieniem wśród nich szkodliwego nałogu palenia.

„ZŁOŚLIWOŚĆ“ RAKA

Jedne raki znane są jako bardziej, inne jako mniej „złośliwe“. Miarę złośliwości stanowi szybkość z jaką rak rośnie i daje przerzuty.

Przerzuty są to wtórne ogniska rakowe w innych odległych od pierwotnego ogniska narządach. Poszczególne komórki lub grupki komórek rakowych ogniska pierwotnego wrastają w otaczające narządy, niszcząc normalną tkankę. Wrastają też do naczyń limfatycznych i krwionośnych i drogą limfy lub krwi dostają się następnie do okolicznych gruczołów limfatycznych lub odległych narządów. W ten sposób powstają nowe, nieraz bardzo liczne, ogniska rakowe wtórne, czyli tzw. przerzuty. Niekiedy dochodzi do bezpośredniego rozsiania się raka na dużej przestrzeni np. w jamie brzusznej.

Do narządów, w których szczególnie często powstają przerzuty z innych organów należą płuca, kości i wątroba. Pierwszą oz-

*) Na podstawie wykładu wygłoszonego na posiedzeniu Towarzystwa Przyrodników im. M. Kopernika w Edynburgu.

naką przerzutów jest nieraz powiększenie się gruczołów limfatycznych w okolicy pierwotnego ogniska rakowego, np. powiększenie gruczołów limfatycznych pod pachą lub na szyi przy raku piersi.

Ucisk, masowanie lub miążdżenie guza rakowego może zwiększyć niebezpieczeństwo powstania przerzutów.

BADANIA DOŚWIADCZALNE

Rak nie jest tylko chorobą ludzi. Występuje on nierzadko i u zwierząt. Fakt ten został wykorzystany do przeprowadzania badań doświadczalnych nad powstawaniem i naturą raka oraz jego leczeniem. Raka skóry można np. wywołać doświadczalnie u zwierząt przez częste smarowanie skóry smołą pogazową.

Raki można też przeszczepiać z jednego zwierzęcia na drugie. Jakkolwiek rak jest przeszczepialny, to jednak nie oznacza to, że rak jest zaraźliwy. Nie ma żadnych dowodów na to, że rak u człowieka jest wywołany przez bakterie lub wirusy i że można się „zarazić” rakiem, tak jak się to ma z chorobami zakaźnymi.

Wycięte części tkanki rakowej można sztucznie hodować w odpowiednich płynach odżywczych. Komórki rakowe rosną i rozmnażają się w „probówce”. Takie hodowle tkanek rakowych są bardzo użyteczne, jeśli chodzi o badanie życia komórek rakowych oraz działania środków leczniczych na komórki rakowate.

WZESNE ROZPOZNANIE

Możliwość całkowitego wyleczenia raka istnieje jedynie wtedy o ile w ustroju znajduje się tylko pierwotne ognisko raka, bez wtórnych przerzutów. Niestety, jest to poniekąd nieszczęściem dla ludzi, że rak jest zasadniczo niebolesny. Małe ognisko rakowe najczęściej nie boli. Ból pojawia się dopiero wtedy, gdy wskutek powiększenia się raka i wrastania w otaczające tkanki i narządy dochodzi do niszczenia tych narządów i ucisku na nerwy. Gdy pacjent zwraca się do lekarza z wyraźnymi objawami raka, to w dużym odsetku przypadków jest już za późno. Niezmiernie ważne jest wczesne wykrycie przez samego pacjenta najmniejszych objawów, które mogłyby wskazywać na rozpoczynającego się raka. Do tego celu potrzebne jest szerokie uświadomienie społeczeństwa o pierwszych objawach raków i zaznajomienie ludzi z podstawowymi metodami badań raków.

Nie wszyscy są zwolennikami takiej akcji. Są nawet wśród lekarzy przeciwnicy takiej akcji uświadamiającej. Twierdzą oni, że zapoznanie szerokiej publiczności z objawami raka wzbudzi panikę i sprowadzi masę neurasteników do gabinetów lekarskich i szpitali. Na szczęście dotychczasowe doświadczenia w rozmaitych ośrodkach w Anglii i w innych krajach, w których przeprowadzano taką akcję, nie potwierdziły tych obaw. Przeciwnie, uświadomienie ludzi przyczyniło się do zwiększenia procentu wczesnych rozpoznaw raka w tych ośrodkach. — Strach przed rakiem nie zabija, natomiast rak zabija rocznie miliony ludzi.

Człowiek, który zauważy pierwsze objawy raka, winien niezwłocznie zwrócić się do lekarza. Nie znamy bowiem nigdy momentu, kiedy z niewielkiego nawet ogniska rakowego może nastąpić przerzut do innych części ciała.

Podam ważniejsze objawy raków w rozmaitych narządach, na które należy zwrócić uwagę i w razie podejrzenia skierować się do lekarza. Chciałbym szczególnie zaznaczyć, że objawy, które niżej podaję, nie oz-

naczają bezwzględnie raka. Mogą one bowiem występować i w innych mniej groźniejszych schorzeniach, a niekiedy nawet nie mają żadnego większego znaczenia. Jednakże wątpliwości te może rozwiązać jedynie lekarz.

Więc na przykład suchy kaszel, występujący od jakiegoś czasu u osoby w średnim lub starszym wieku, jak również odpluwanie choćby śladów krwi sugeruje raka płuc. Najmniejsze krwawienie u kobiet po wieku przejściowym winno nasunąć na myśl raka szyjki macicy. Pojawienie się nawet małego guzka w piersi lub zmiany zmniejszającej w brodawce winno zwrócić uwagę na możliwość raka piersi u kobiet. Lekkie krwawienia z moczem może oznaczać raka pęcherza lub nerki. Trudności oddawania moczu i krew w moczu u starszego mężczyzny może być wywołane rakiem prostaty. Wymacanie jakichś niezwykłych guzów w jamie brzusznej, w kości lub innej części ciała winno nasunąć podejrzenie nowotworów rakowych. Guzek na wardze lub gdziekolwiek na skórze rozrastający się powoli i ulegający owróżdzeniu, które się nie goi, może być rakiem. Trudności w połykaniu u starszej osoby mogą wskazywać na raka przełyku: Chrypka istniejąca od jakiegoś czasu może oznaczać raka krtani. Ból i ucisk w nadbrzuszu i utrata apetytu może oznaczać raka żołądka, zaś krwawienie ze stolcem może być objawem raka odbytnicy.

Wymieniłem tylko ważniejsze wczesne objawy. Brak ich nie wyklucza możliwości choroby. Poza objawami związanymi z danym narządem, w którym rak się rozwija, występują też objawy ogólne, takie jak: szybki spadek wagi, postępujące osłabienie i wyniszczenie organizmu.

Jeszcze raz podkreślam, że wszystkie wyżej podane objawy nie muszą koniecznie oznaczać raka. Tylko lekarz może z ogólnego obrazu i w połączeniu z innymi objawami wywnioskować, czy w danym wypadku istnieje rzeczywiście podejrzenie raka.

Od podejrzenia do istotnego rozpoznania raka jest nieraz jeszcze daleka droga. Tylko w szpitalu, zwłaszcza w ośrodkach specjalnie przystosowanych do diagnozowania i leczenia raka, można dojść do ostatecznego rozpoznania. Do tego celu służą w pierwszym rzędzie badania rentgenowskie, dalej cały szereg innych badań pomocniczych, laboratoryjnych, takich jak badanie moczu, krwi, płwociny, stolca, badania zeszkrobin tkankowych itd. W niektórych przypadkach wykonuje się za pomocą specjalnych instrumentów bezpośrednie oglądanie wnętrza narządów, np. oskrzela płuc (bronchoskopia), wnętrza pęcherza (cystoskopia), wnętrza żołądka (gastroskopia) itd. Jeżeli podejrzany guz jest dostępny, wówczas wycina się małe kawałki guza i bada pod mikroskopem. Jest to najważniejsze i decydujące badanie w każdym przypadku raka.

LECZENIE RAKÓW

Jeżeli rozpoznanie raka zostało ustalone ponad wszelką wątpliwość, należy chorego jak najszybciej poddać leczeniu. Postępy medycyny w ostatnich latach zwiększyły wybitnie szanse całkowitego wyleczenia raka.

Istnieją trzy metody leczenia: 1) leczenie chirurgiczne (operacja), 2) leczenie radioaktywnością i 3) leczenie chemiczno-hormonalne. Najczęściej leczenie odbywa się przez kombinację tych trzech metod.

O ile chory przychodzi do lekarza w okresie, gdy w ustroju znajduje się tylko ognisko pierwotne raka bez wtórnych przerzutów,

wówczas problem leczenia nie przedstawia większych trudności. Wycięcie pierwotnego ogniska leczy chorego całkowicie i radykalnie. Ogromne postępy w ostatnich latach w dziedzinie techniki operacyjnej i anestezji (narkozy) uczyniły zabiegi operacyjne znacznie bezpieczniejsze i skuteczniejsze niż to było dawniej.

Gorzej przedstawia się sprawa, gdy w ustroju pojawiły się już pierwsze przerzuty. Ale i w tych przypadkach możliwości wyleczenia czy podleczenia są obecnie znacznie większe niż np. kilkadziesiąt lub nawet kilkanaście lat temu. Rozporządzamy dzisiaj całym szeregiem środków leczniczych, które zmieniły beznadziejną dawniej prognozę. Do tych nowych środków należy naświetlanie promieniami Roentgena, leczenie promieniami radu (wynalezione przez naszą wielką rodaczkę Marię Curie-Skłodowską) oraz w ostatnich kilku latach naświetlanie „bombą” kobaltową i leczenie radioaktywnymi izotopami powstającymi z rozpadu atomów. Jest ciekawą i niezupełnie jeszcze wytłumaczoną rzeczą, że radioaktywność, która nieraz wywołuje raka może również, zastosowana w odpowiednich dawkach, leczyć raka w ustroju ludzkim.

Idealnym osiągnięciem byłoby wynalezienie związków chemicznych, które by niszczyły raka, nie szkodząc przy tym choremu, podobnie jak się ma np. sprawa z antybiotykami używanymi do leczenia schorzeń infekcyjnych. Są już obecnie pewne dane wskazujące na to, że w przyszłości leczenie raka może rozwinąć się w tym kierunku. Już obecnie, w ograniczonych przypadkach, stosuje się pewne substancje chemiczne, które — jakkolwiek nie leczą radykalnie — to jednak wywierają hamujące działanie na rozwój pewnych rodzajów raka.

Mówiąc o leczeniu chemicznym należy wspomnieć też o leczeniu hormonalnym. Okazało się, że pewne hormony (substancje chemiczne wytwarzane w ustroju ludzkim przez tzw. gruczoły dokrewne) mają wpływ na powstawanie i rozwój niektórych raków. Na przykład podawanie hormonu żeńskiego (estrogenu — wyciągu z jajników) wywiera hamujący wpływ na rozwój raka prostaty u mężczyzn. Z drugiej strony podawanie hormonu męskiego (androgenu — wyciągu z jąder) wywiera dobroczynny wpływ i hamuje rozwój raka piersi.

Jak widzimy więc z wyżej podanego przeglądu lecznictwa rak nie jest już dzisiaj tak beznadziejną chorobą jak kilkadziesiąt lat temu. Jednakże skuteczne leczenie raka jest zależne od wczesnego rozpoznania.

Jakkolwiek osiągnięto duże sukcesy lecznicze, to jednak do radykalnego rozwiązania problemu raka jest jeszcze daleko. Najlepiej byłoby usunąć przyczynę, a przez to zapobiegnie się powstawaniu raka. Na całym świecie, we wszystkich państwach cywilizowanych, tysiące naukowców pracuje gorączkowo nad przyczyną i naturą raka. Miliony zwierząt poświęcono już w badaniach doświadczalnych nad mechanizmem powstawania i leczenia raka. Rezultaty są mimo to jeszcze dość nikłe.

Świat naukowy patrzy jednak raczej optymistycznie w przyszłość — jeśli chodzi o rozwiązanie zagadnienia raka. Ogromne postępy we wszystkich dziedzinach nauki, jakie zauważamy w ostatnich czasach, wpływają niewątpliwie i na wyniki badań nad rakiem. Prędzej czy później rak przestanie być straszną plagą ludzkości.

Dr Wiktor Tomaszewski

KAFEJKI

WSZYSCY już chyba felietoniści pisali o kafejkach londyńskich, więc pora i na nas. Powstały te kawiarenki po ostatniej wojnie i zaczęły się mnożyć jak grzyby po deszczu. Pierwszą, na Park Lane, założył Polak. Narodowym napojem angielskim była od wieków herbata (od dwu wieków, bo przedtem było piwo) i żaden Anglik nie brał do ust kawy. Miała ona dla nich widocznie ową obrzydliwą gorzkość, jaką w ostrych słowach potępił kiedyś nasz Wacław Potocki. Wiadomo, że Anglicy przepadają za słodzciami. Ale w czasie ostatniej wojny łatwiej było na Wyspę sprowadzać kawę niż herbatę (Kenia leży o wiele bliżej niż Cejlon) i ni stąd ni zowąd kawę zaczęły serwować Lyonsy. Ale jeszcze około roku 1950 kontuare Lyonsa zdobyły wywieszki: „TRY COFFEE“, „Spróbuj kawy“. Po dziś dzień zbyt wielu odważnych nie ma. Ale kawa co innego, a kafejka co innego. Nie kawa podbiła Londyn, a za nim z wolna też resztę miast angielskich, lecz kafejka. Nie gorzki smak napoju, lecz atmosfera lokali.

Kafejki są w Anglii miejscami, gdzie świeci słońce kontynentalne. Zamiast wyjeżdżać na kontynent, można przez godzinkę nasycić się jego atmosferą w kafejce. Ścisłe mówiąc, dwu krajów łacińskich: Włoch i Francji. Poza tym Anglicy wszystko doprowadzają do doskonałości, ale wiele nie wymyślają. Kafejki tedy są jakby ekranem życia i obyczajów europejskich. Młodzież angielska chociażwie je podpatruje i naśladowuje.

Polacy ze względu na Kolumba, który odkrył pierwszą kafejkę na Park Lane, skłonni są uważać kawiarnię londyńską za swój wymysł. Owszem, polskie kafejki nie są najgorsze i w większości artystycznie urządzone. Obsługa w nich nie liczy się do najgrzeczniejszych, ale nawet w surowości właścicieli i kelnerów jest coś bardzo swojskiego. Wyniosłe uwagi mają tu smak ojczywego miodu. Zresztą polskie kawiarenki piękną najlepszą i na polską modłę ciastka. Tylko tam można sobie zaordynować kremówkę, struclę z makiem i prawdziwego dobosza.

Nie Polacy wszakże nadają ton życiu kawiarnianemu stolicy Anglii. Jest to niepodzielna domena Włochów, oczywiście. Maszyny do parzenia kawy są włoskie; głównie „Gaggia“ albo duża „La San Marco“. „Espresso“ i „capuccino“ też włoska specjalność. Właścicielami są przeważnie Włosi. Stąd też i nazwy lokali: „Medici“, „Boccaccio“, „Tivoli“, „Presto“, „Gondola“, „Casa Mario“, „Zia Teresa“ etc. Za kontuarami mówi się zwykle po włosku, kelnerki w większości są czarnowłose i z reguły na pytanie o narodowość odpowiadają: „Sono Italiana“. Również publiczność posługuje się w pierwszym rzędzie, zwłaszcza w czasie wolnych od pracy week-endów, językiem włoskim. Kafejki więc posiadają w najlepszym razie tylko w połowie publiczność angielską. Reszta jest pochodzenia kontynentalnego. I właśnie dlatego miejsca te cieszą się takim powodzeniem, bo młodzież angielska przychodzi tu podpatrywać Europę.

Kafejka nie jest, jak się często mniema, francuska, lecz włoska. We Francji nie ma tego typu lokali: małych i pomysłowo zdobionych. Kawiarnia francuska w swym typie zbliża się do środkowo-europejskiej dużej i wygodnej hali. Inny typ, to brudne i byle jakie bistrot, gdzie się konsumuje na stojąco. Stąd nawet wywodzi się etymologię tego wyrazu od rosyjskiego przysłowka „bystro“ — szybko. Istnieją też w Paryżu „caves“ egzystencjalistów, czyli piwnice, ale to raczej winiarnie niż kawiarnie. W ogóle Francuzi dla oświecenia myśli stosują raczej wino. Natomiast Włosi spijają ocean kawy w maleńkich, ale przeważnie nie dekorowanych kawiarenkach. Londyńska kafejka odznacza się więc zupełnie swoistym charakterem. Aby jej nadać charakteru kontynentalnego, właściciele musieli się uciec do dekoracji. Londyńska kafejka bez artystycznej dekoracji jest nie do pomyślenia, a w każdym razie powodzenie jej nie byłoby wielkie. Gdyż cel jej polega na dostarczaniu złudzenia, że bywalcy znajdują się na kontynencie. Jest to zatem odrębny, nowy typ lokalu, który powstał z połączenia włoskiego smaku do kawy i z konieczności stworzenia „klimatu“ kontynentalnego poprzez dekorację. Jest to jakby teatr złudzeń. Za dziewięć pensów można wypić trochę słodkiego płynu i znaleźć się w Awinionie lub, jak w polskim „Cul de Sac“, w Paryżu.

W kawiarence „Medici“, naprzeciw kościoła hiszpańskiego, wisi odbitka proklamacji króla Karola o „likwidacji kawiarni“ z roku 1675. Proklamacja, kończąca się słowami „God save the King“, głosi, że „the multitude of Coffee-Houses have produced very evil and dangerous effects“. Oczywiście wtedy chodziło o szkodliwe plotkowanie, czyli o nastroje rewolucyjne, ale od wieków kawiarnia posiadała podejrzaną konduktę. I dziś także uważa się kafejki za jedno ze źródeł zła.

Niby dlaczego? Ze młodzież przesiaduje tam godzinami? A gdzie ma siadać? Czy w ciemnych zaułkach i na trawie parków? Ze się młodzi wpatrują w siebie z cięłyymi minami? A cóż robili od stworzenia człowieka na ziemi? Ze dziewczęta noszą spodnie? Dziwnie się wszystko na świecie obraca. Kiedyś nawet mężczyźni nie nosili spodni. Z wyjątkiem dzikich narodów północy, które oglądzeni Rzymianie z pogardą nazywali „nationes braccatae“, czyli „narody w spodniach“. Po prostu na północy było zimniej niż w słonecznej Italii i trzeba było łączyć dobrze okrywać. Wszystko wskazuje na to, że spodnie staną się w niedalekiej przyszłości również strojem kobiet (jak jest zresztą od dawna w Turcji i u ludów turkmeńskich). A trzeba przyznać, że spodnie to strój skromniejszy od sukien, zwłaszcza zwiewnych i krótkich. Tylko natura ludzka jest konserwatywna i nie znosi zmian. Oburzają się niektórzy, że po tych kafejkach widuje się dziewczęta, które plotą włosy w końskie ogony. Cóż z tego? To początek powrotu do pięknych a zarzuconych warkoczy. Albo cóż z tego, że młodzi tańczą w niektórych kawiarniach rock-n-rola? Jest to taniec o wiele bardziej przyzwoity niż staromodne tanga i walce, których celem była podnieta zmysłowa. Rock zaś to taniec sportowy, dający upust energii młodzieży. Jakoś trzeba wytrząść ciało, gdy się ma lat osiemnaście. A wszystko to dzieje się w atmosferze zabawy zbiorowej i kontrolowanej oczyma wszystkich obecnych.

Po lępkach więc wrogów kafejki! Od kawy, drodzy Czytelnicy, się zaczyna i na kawie się życie kończy. Wróciwszy do kawy, autor tych słów dobrze wie, jaka to rzecz niewinna.

J. B.

Na wystawie w Brukseli

Byłam już kilka razy na wystawie w Brukseli, a jeszcze nie widziałam wszystkiego, bo teren wystawy zajmuje 200 hektarów powierzchni, nie wszystkie pawilony są już otwarte (choć to blisko połowa maja), a zwiedzanie niektórych z nich zabiera dużo czasu, na angielski np. trzeba liczyć prawie dwie godziny. Urzekła mnie w tym pawilonie sala wynalazków angielskich, wśród których znajduje się nie tylko maszyna parowa, szczeniaki i penicylina, ale także jedwabny cylinder, tenis, podwiązki, termos, skauting, most żelazny itd.

Oglądając piękną salę, poświęconą tradycjom i symbolom angielskiego imperium, podkładam polską treść pod angielskie godła. Oto miecz koronacyjny, a mnie się wydaje, że tu leży Szczerbiec; oto insygnia speakera parlamentu, a ja na ich miejscu widzę tablicę z wyjątkami ustaw: „neminem captivabimus“, „pacta conventa“, „egzekucja dóbr“, wyjątki z Konstytucji Trzeciego Maja.

Na miejscu Newtona widzę Kopernika, a w sali bibliotecznej znikają z grzbietów książek nazwiska angielskie i zjawiają się polscy autorzy. Lista tłumaczeń Szekspira? Nie! Sienkiewicz. Nad tą szafą umieścilibyśmy napis, że nasz renesans był drugi w Europie, zaraz po włoskim, a nad tamtą, że romantyzm był okresem rozkwitu naszej literatury.

Jaka szkoda, że nie ma pawilonu polskiego...

Zwiedziliśmy wspaniały pawilon angielski, chodźmy dalej. Oto wielkie koszary z plastyku, w których mieszczą się Sowiety. Przed wojną rywalizowały z Niemcami wielkością pawilonu, teraz Niemcy mają drobne pawilony, a odpowiednikiem Rosji stała się Ameryka.

Wokół sowieckiej siedziby pełnią straż nagie, czarne platany, wznoszące do nieba okaleczające konary bez liści.

Przekraczam próg strzeżony od wewnątrz przez dwa wielkie pomniki: dziewczynę, z

nogami jak kłody, która rozdziera snop zboża, robotnika o nieproporcjonalnie wielkich łapach. A za nimi, w dali, wznosi się potworny posąg Lenina, o złej, nasrożonej twarzy. Lenin panuje nad całym sowieckim hantarem i straszy świat dwoma sputnikami. Ze wszystkich ścian, ze wszystkich kątów wali w widza nachalna, bezmyślna propaganda sowieckiej szczęśliwości, wyrażająca się nie tylko słowem, ale tysiącem fotograficznych uśmiechów obywateli rosyjskich, którymi oblepione są mury. W bocznej sali, pod każdą ścianą, stoją szeregi aparatów telewizyjnych. Na wszystkich ekranach pojawiają się równocześnie te same twarze i znikają, robiąc miejsce innym. Towarzyszą im wybuchy śmiechu. A oto moja własna twarz zjawia się na wszystkich ekranach i idzie razem ze mną.

— Oko Moskwy idzie za mną — myślę i przechodzę do następnej sali, natrafiając na drzwi z napisem: „chambre d'écoute“. Izba podsłuchów? Zawracam i idę wzdłuż roślin uwieczonych w doniczkach. Teraz dopiero widzę, że izba podsłuchów to kabina do słuchania płyt, a w sali telewizji jakiś nieeuropejski typ kręci aparatem, wyłapując

twarze zwiedzających po to, żeby je pomnożyć wielokrotnie na ustawionych w sali ekranach telewizyjnych. Trzeba wyjść i odechnąć świeżym powietrzem po dusznej atmosferze sowieckiego pawilonu. Nie szukam już nawet książki pamiątkowej, w której zwiedzający wpisują pochwały i krytyki w rodzaju np. „wasz pawilon jest reakcyjny”. Jeszcze za progiem natrafiam na podręczne środki sowieckiej propagandy: wielkie kino, kiosk z gazetami.

Idę do Stanów Zjednoczonych. Czym odpowiedzą na sowiecką propagandę, na sputniki, na groźną minę Lenina? Okrągła forma budynku amerykańskiego, przezroczyste szyby, nieduże kwitnące drzewka owocowe, rosnące wokół, nadają mu wygląd łagodny i przyjemny, zwłaszcza, gdy się przychodzi wprost z pawilonu sowieckiego. A wewnątrz duża sadzawka i wolne, prawdziwe drzewa, naokoło których wzniesiono mury budynku. Drzewa mają pełno zielonych liści, które korzystają swobodnie ze słońca i powietrza, bo w dachu jest otwór, przez który widać błękit nieba, a lekki dach z promienistej siatki nie hamuje dopływu światła.

Wnętrze pawilonu, trochę chaotyczne, przypomina duże podwórze; jakieś murki, fontanny-młynki, tablice z malowidłami. Tuł otacza kilka zamkniętych budek. — Co to jest? — pytam „hostessy”. — Maszyna do głosowania. Może pani głosować. — Na co? — Na gwiazdy filmowe, Kim Novak albo Marlenę Dietrich.

Jest godzina druga i zaczyna się defilada manekinów. Jako protest przeciwko sukniom-trapezom Nowy Jork lansuje suknie-worki, kostiumy kąpielowe-worki. Wszystkie strasznie krótkie.

Siadam na wygodnym fotelu, których pełno ustawiono na okrężnym tarasie. Amerykanie pomyśleli o tym, żeby zwiedzający ich pawilon goście mogli odpocząć. Podsumowuję to co widziałam w pawilonie Stanów. Moda, telewizja kolorowa, gwiazdy filmowe... gdzież propaganda? W telewizji był film rysunkowy... Ta frywolna atmosfera jest doskonałym antidotum na nieprzyjemne wrażenie opresji, jakie wywołuje pawilon sowiecki. Zapewne, są i tu poważne zagadnienia, automacja, maszyny elektroniczne, aparaty zastę-

pujące ręce itp., a i maszyna do głosowania jest elementem propagandy, ale dyskretnym. Przypomina mi się lista wielkich emigrantów, którą widziałam w pawilonie amerykańskim. W polskim pawilonie mogłoby być tak samo: Chopin, Maria Curie-Skłodowska, Lelewel, Conrad, Kościuszko, Mickiewicz itd. Albo urządzilibyśmy salę na temat: „Polacy w cywilizacjach świata”. Byłaby równie interesująca jak sala wynalazków w pawilonie angielskim.

Idę dalej, w stronę państw arabskich, wciśniętych między dwie strefy wpływów: Rosję i Amerykę. Spotykam znajomych, którzy mówią mi, że w pawilonie sowieckim usunęto księgę pamiątkową, bo ludzie zbyt swobodnie korzystali z możliwości pisania w dowolnym języku uwag o pawilonie. Znajomi ostrzegają mnie, że to wszystko co się widzi w czeskim pawilonie w dziale porcelany, jest po prostu przywiezione z przedwojennych muzeów w Pradze.

Idę do czeskiego pawilonu, przyjmując z góry, że nakarmi mnie tam propaganda. Tymczasem już od progu uderza atmosfera europejska, artystyczne figurki, harmonijny układ. Propagandy znacznie mniej, niż u bolszewików i dyskretniejsza. Dużo świętych obrazów, tryptyk ołtarza z XVI wieku, a w jednej z sal klawicywna Mozarta, a nad nim napis: „Jeżeli jakieś miasto ma prawo nazywać się miastem Mozarta, to nie jest nim Salzburg, którego Mozart nie cierpiał, ani Wiedeń, który pozwolił mu umrzeć z głodu i pochował go w grobie zbiorowym, a tylko i jedynie jego złota Praga”.

Mijam Czeski w kostiumach ludowych i myślę, że podobnie, tylko bez propagandy, mogłoby wyglądać polski pawilon. Jaka szkoda, że go nie ma...

Byłaby w nim makijeta Gdyni, dźwięg przewracający wagon węgla nad okrętem, byłaby izba łowicka, filmy o polskich zwyczajach ludowych, byłyby ogromny świecznik z kryształków soli wielickiej...

Trzeba odwiedzić jeszcze innych Słowian. Tych z Jugosławii. Oto wielki, szklany pawilon. W dodatku otwarty po godzinie 6-tej, kiedy wszystkie inne pawilony z wyjątkiem amerykańskiego są już zamknięte. Niestety, zawiera prawie wyłącznie propagandę ko-

munistów. Na drugim piętrze jest kopia sarkofagu z XIV wieku. Jeden z nielicznych eksponatów nie służących propagandzie. Kilka dni temu studenci serbscy z Brukseli poszli na wystawę do pawilonu jugosłowiańskiego i pytali personelu obsługującego pawilon, czy w sarkofagu leżą Jugosłowianie wymordowani przez komunistów. Zamiast odpowiedzieć, obsługa zawezwała policję, która dowiedziawszy się, że chodzi tylko o informację, co jest w sarkofagu, uznała, że obsługa jest po to, żeby odpowiadać na pytania.

Patrzę na ściany pokryte napisami i myślę że gdyby tak miał wyglądać polski pawilon, to lepiej, że go nie ma.

Jadwiga Pomorska

PRAWNIK-ARTYSTA

Halina Sukiennicka, wilnianka, znany prawnik z zawodu, autorka poważnych prac prawniczych, w tym jednej wydanej przez Sorbonę — sięgnęła w dziedzinę sztuki. Wystawa jej obrazów i ceramiki, w salach Polskiej YMCA w Londynie, jest zarazem podstawą dyplomu wydanego artystce przez londyńskie Studium Malarstwa Stalugowego USB, gdzie studiowała malarstwo od r. 1953 pod kierunkiem prof. Mariana Szyszko-Bohusza.

35 obrazów i ceramiki, które z punktu zdobyły uznanie publiczności, pokazują rzetelny i oryginalny talent Haliny Sukiennickiej, wypowiadający się w kierunku nowoczesnego ekspresjonizmu formalistycznego. Dojrzałość intelektualna daje wyraz przeżyciu artystycznemu, a temperament wyzwala żywą siłę, wyczuwalną w tej wystawie, która sumuje dorobek pierwszego pięciolecia.

S. L.

KONKURS S.P.K.

Ogłoszony przez Stowarzyszenie Polskich Kombatantów w połowie r. ub. konkurs na sztukę jednoaktową został rozstrzygnięty przez jury w składzie: J. Domańska (przewodnicząca), Z. Kasprzycka, A. Czulowski, A. Dragowski, T. Sułkowski.

Nie przyznano żadnej z nagród, natomiast wyróżnione zostały dwie sztuki: Eugeniusza Sermentowskiego „Rejtan i Kasztelanka” oraz Janiny Węgrzyńskiej-Kościalkowskiej „Arcypanna”. Autorom przyznano po £ 10.

MECENASI Z WENEZUELI

KONKURS LITERACKI — z inicjatywy i dzięki ofiarności Polaków zamieszkałych w Wenezueli, Związek Pisarzy Polskich na Obczyźnie rozpisuje konkurs na: a) powieść lub zbiór opowiadań, 250-300 stron maszynopisu na interlinii; b) zbiór esejów, 200-250 stron maszynopisu na interlinii; c) zbiór wierszy lub utworów poetycki, 100-150 stron maszynopisu na interlinii.

W konkursie za najlepsze prace (bez względu na ich rodzaj literacki) będą przyznane trzy nagrody: I £ 150, II — £ 100, III — £ 60.

Fundatorzy zapewнили środki pieniężne na wydanie drukiem wszystkich nagrodzonych utworów.

Maszynopisy oznaczone godłem (wraz z zamkniętą kopertą zawierającą imię, nazwisko i adres), należy nadsyłać do dnia 1 listopada 1958 r. pod adresem Związku Pisarzy, 312 Finchley Road, London, N.W.3.

NOWOŚĆ!

NOWOŚĆ!

POUCZAJĄCA ZABAWA DLA DZIECI POLSKICH

NASZ KRAJ — POLSKA

UKŁADANKA GEOGRAFICZNA

Przez układanie obrazkowej mapy Polski dziecko nasze poznaje ojczyste nazwy i elementy geograficzne oraz dowiaduje się, jakie jest ich rozmieszczenie na mapie i wzajemne położenie, co mu potem ułatwi opanowanie znajomości mapy ziemi ojczystej. — Ta sama mapa obrazkowa, po oprawieniu w ramki, może zdobić ścianę sali szkolnej, przedszkola lub pokoju dzieciennego w domu polskim na obczyźnie.

Przy zamówieniu należy zaznaczyć, czy chodzi o układankę, czy o mapę obrazkową do oprawy i zawieszenia.

CENA wraz z instrukcją **2 SZYLINGI.**

(z opłatą pocztową)

Przy zamówieniach zbiorowych (co najmniej 10 egz.) 10% rabatu.

Na żądanie wysyła:

KATOLICKI OŚRODEK WYDAWNICZY „VERITAS”, 12 Praed Mews, London, W.2

LISTY I UWAGI

O WĄTPLIWOŚCIACH DUSZY POETYCKIEJ

Było to tak.

W jednym piśmie literackim, które strasznie szanuję, wyczytałem, w wolnej chwili, następującą wiadomość, nadesłaną, o ile się nie mylę, z Polski, przez p. Mariana Piechala:

„Przeczytałem wiadomość w gazecie. W japońskim mieście Sungawa zmarł lekarz Yasue Ogakawa który pracował nad wytworzeniem surowicy przeciwko zatruciu penicyliną. Podjął się roli krolika doświadczalnego i polecił zastrzyknąć sobie dawkę surowicy w celu wypróbowania jej skutku. Próba nie powiodła się, po 90 minutach nastąpił zgon. Do ostatniej chwili Yasue Ogakawa opowiadał asystującym mu kolegom lekarzom co odczuwał od chwili, kiedy otrzymał zastrzyk. Yasue Ogakawa światło, Yasue Ogakawa nadzieja. On jedyny ocali świat.”

Zamyśliłem się nad tym. Może i ocali, jeżeli przedtawiał świat nie zginie, rozleciałszy się w drobne atomy.

Przerawszy jednak rozmyślania o straszonym losie świata, spostrzegłem, że przecież ktoś poustawił sobie słowa te bardzo ładnie i interesująco — może zecer, — a skoro „Wiadomości” — bo one to były — dały to na czolowej stronie, to jest to nie wiadomość, lecz w i e r s z !

Bo to wyglądało tak:

Marian Piechal

OCALENIE

Przeczytałem wiadomość w gazecie

„W japońskim mieście Sungawa

zmarł lekarz

Yasue Ogakawa

który pracował

nad wytworzeniem surowicy

przeciwko zatruciu

penicyliną

Kropki nie ma. I tak dalej jeszcze, ale nie będę zajmował więcej miejsca. Każdy sobie sam poustawia.

Postanowiłem więc napisać list do redaktora „Wiadomości”. Ale wierszem! A więc tak:

Przeczytałem wiadomość w „Wiadomościach”.

W jakimś mieście na świecie

poeta Marian Piechal

napisał wiersz „Ocalenie”

o lekarzu Yasue Ogakawa

światle

nadziei

który jeden jedyny

ocali

świat.

Więc czytam raz drugi

i myślę rozważam

dłaczego redaktor „Wiadomości”

ustalił

rozstrzygnął

i wydrukował

ten wiersz?

Jak on to wie, że to jest wiersz?

Więc myślę rozważam

może i to co teraz piszę

jest wierszem

według

nowych

modnych

kanonów?

Na świadectwo capacitatis nie musiałem długo czekać, bo w „Wiadomościach” ukazała się odpowiedź:

„p. Al. W. w Genewie. Za list i wiersz dziękujemy.”

Kropka. W i e r s z ! Jestem więc poetą. Nie zrobił mnie poetą zecer, ale ja sam, na maszynie do pisania, tak porozstawiałem rzeczowniki i czasowniki, że musiał z tego wyjść prawdziwy wiersz, prawdziwa poezja, nowoczesna!

Do czegoż to człowiek nie dochodzi na starość, mając trochę silnej woli. No i nie-co kropki — jeżeli to się mierzy na kropki — poezji w duszy...

Ale...

Jak to niedawno wysperzał Szperacz w „Wiadomościach”, Iłakowiczówna, na prośbę o napisanie przedmowy do tomiku poezji miłosnej sześciu młodych poetów, starała się wyjaśnić im spokojnie, że choć pisanie wierszy „niekoniecznie musi znaleźć sobie urzeczywistnienie w poezji. Jest to po prostu pomysłowość, szukająca ujścia i można ją daleko pożyteczniejszej i stanowczo korzystniejszej ulokować w każdym innym fachu, niż akurat w poetyckim”.

Zapewne, w międzyczasie, Szperacz powiedział już o tym redaktorowi „Wiadomości”!

Swoją drogą, teraz zaniepokoiłem się poważnie: może jednak tę kropkę poezji z duszy źle ulokowałem i nie w tym co trzeba fachu?...
Aleksander Wasung (Genewa)

ZDOBYĆ CZYTELNIKÓW

Z wielką przykrością dowiaduję się o zmianie tygodnika ZYCIA na miesięcznik... Tutejsza Polonia pozwoliła sobie wyrwać język straciwszy jedyne i ostatnie pismo polskie... Nie daj Boże, by coś podobnego miało spotkać ZYCIE... Uczynię wszystko, by wśród znajomych tutejszych i przyjezdnych zdobyć nowych czytelników dla ZYCIA...

Ks. Alfred Guzy (Buffalo)

CYBERNETYKA

Zwrócono mi uwagę, że w numerze majowym ZYCIA z br. p. T. Felsztyn w swym artykule pt. „Dziesięć lat cybernetyki” powołuje się na mnie dla ilustracji swej tezy o fałszywych wnioskach filozoficznych zwolenników cybernetyki.

Po zapoznaniu się z wywodem p. Felsztyna muszę stwierdzić, że przytoczył on połowę jednego zdania z mojego technicznego artykułu (Biuletyn S. T. P., maj 1956, str. 31) przekręcając przez to jego sens. Dla ścisłości podaję pełny tekst tego zdania: „Tak więc tradycyjny problem jak organizm może wykonywać celową czynność bez współdziałania teleologicznych układów przyczyn został rozwiązany na korzyść naukowego materializmu (za to właśnie filozoficzne wnioski Teorii Informacji są ostro zwalczane przez komunizm, który zarzuca Teorii „wspólną z idealizmem pozycję wroga materializmowi dialektycznemu”)”.

P. Felsztyn pisze, iż nie ma nic bardziej fałszywego niż ten wniosek, przytaczając na swe poparcie tezę, o której według niego zapominają podobno niektórzy filozofowie cybernetyki, iż maszyna może wykonywać tylko te czynności, do których została zbudowana.

Pragnę teraz stwierdzić, że mój powyżej cytowany wniosek oparty jest na wypowiedziach dwu twórców cybernetyki. N. Wienera i W. R. Ashby'ego i bynajmniej nie jest sprzeczny z tezą, na którą powołuje się p. Felsztyn. O tezie tej zresztą trudno jest zapomnieć, gdyż jest podstawową dla cybernetyki (por. mój artykuł, str. 24). Obaj wymienieni autorzy stwierdzili, iż przyczyno-

wość w sensie teleologicznym nie jest sprzeczna z przyczynowością wyrażoną w sensie mechanistycznym i że celowe postępowanie może być opisane przy użyciu podstawowego pojęcia cybernetyki, jakim jest sprzężenie zwrotne. Pogląd ten podzielany jest przez wielu współczesnych uczonych, jak można się przekonać przeglądając literaturę cybernetyczną. Nie chcę tych zagadnień omawiać w tym miejscu. Pragnę tylko nadmienić, że nawet wstępna analiza powinna zacząć się od sprecyzowania znaczenia rozpatrywanych pojęć, jak to słusznie podkreślił cytowany przez p. Felsztyna W. Sluckin.

W dalszym ciągu swego artykułu zarzuca p. Felsztyn cybernetyce determinizm. Jest to zarzut bezpodstawny dla każdego, choć trochę zetkniętą się z założeniami cybernetyki (piszę o tym w moim artykule, str. 30). Fakt, że filozofia cybernetyki jest jednak materialistyczną znajduje potwierdzenie w wypowiedziach Wienera. Stwierdził on, że materializm i mechanizm są synonimami i że zagadnienie kontrowersji między mechanizmem i witalizmem sprowadza się do źle postawionego pytania. Muszę dodać, że ten naukowy materializm to oczywiście nie jest materializm dialektyczny; co więcej, poglądy Wienera są ostro zwalczane właśnie przez teoretyków komunizmu.

P. Felsztyn obawia się słowa materializm w cybernetyce i wydaje się utożsamiać go zrazem z brakiem religijności. Na tego rodzaju obawy odpowiedział już Wiener podkreślając, że wyodrębnienie elementów mechanistycznych zawartych w procesach uważanych dotychczas za wyłączną domenę ducha tylko jeszcze bardziej podkreśla i uwiarygodnia jego odrębny charakter i nieodzowność.

To, że poglądy twórców cybernetyki nie odpowiadają p. Felsztynowi i jak wynika z jego artykułu, są w kolizji z głębokimi przekonaniem religijnymi autora, nie może świadczyć o błędności tych cybernetycznych poglądów.

Nienaukowy charakter artykułu p. Felsztyna utrudnia dyskusję o cybernetyce i teorii informacji. Gdyby p. Felsztyn zapoznał się był dokładnie z moim artykułem, który cytuję, przekonałby się m. in., że sprzężenie zwrotne nie jest urządzeniem, lecz własnością, posiadaną przez wiele urządzeń i organizmów, oraz że początek cybernetyki sięga lat 1940-1943 (choć sam termin „cybernetyka” powstał w 1947); tak więc i tytuł artykułu zamieszczonego w ZYCIU nie jest właściwy.

R. Syski

PISMO I AUTOR

Do trafnych uwag p. Giertycha na temat „Zycia” (Luty 1958) pragnę dorzucić słów parę.

Dobrze jest, że „Zycie” zdecydowało się na politykę „otwartych drzwi”, to jest na szeroką współpracę piszących, bo plaga prasy polskiej jest obsadzenie jej przez „żelazne pióra”, na co narzekają nawet ci, co z pióra żyją...

O ile sprawa honorariów (które powinno się płacić) nie zależy jedynie od dobrej woli Redakcji, o tyle sprawa stosunku do autora jest od niej całkowicie zależna.

Redaktor ma bardzo rozległe prawa, skoro decyduje o doborze materiału, którego każda redakcja ma więcej, niż trzeba. Na tym powinny się kończyć uprawnienia redakcji. Niekiedy zachodzi potrzeba skrócenia artykułu, nie mieszczącego się w ramach pisma. W zasadzie skróty powinny być uzgadniane

ŻYCIE

Wydaje:

KATOLICKI OSRODEK WYDAWNICZY

„VERITAS”, — 12 Praed Mews, London, W.2.
Telefony: AMBASSADOR 6879; PADDINGTON 9734

Prenumerata (płatna z góry): kwartalnie: szyl. 9/-; dol. 1.50; fr. fr. 540; półrocznie: szyl. 18/-; dol. 3.00; fr. fr. 1.080; rocznie: szyl. 36/-; dol. 6.00; fr. fr. 2.160. W prenumeracie lotniczej dolicza się koszt przesyłki lotniczej. **Wpłaty:** a) w krajach bloku szterlingowego: Postal lub Money Orderami lub czekami bankowymi „crossed” (//); b) w krajach bloku dolarowego: International Money Orderami lub zwykłym przekazem jakiegokolwiek banku amerykańskiego; c) we wszystkich innych krajach: do miejscowego przedstawiciela naszego pisma sposobem przyjętym w danym kraju lub międzynarodowym przekazem pocztowym wprost do Administracji ŻYCIA. Zmiana adresu: szyl. 1/-, płatne równocześnie z zawiadomieniem.

Ceny ogłoszeń: 1 cal × 1 lam £ 1.50, dol. 3.00, fr. fr. 1000. Kolor. 100% drożej. **PRZEDSTAWICIELSTWA:** Argentyna: „Libreria Polaca”, Serrano 2076, piso I, Buenos Aires. Australia: „Spolem”, 64 Tapley's Hill Rd., Royal Park, Adelaide, S.A.; R. Treister, 138 Burton St., Darlinghurst, N.S.W. Belgia: Mme E. Kulakowska, 1, Avenue Tedesco, Bruxelles 16. Pren. kwart, 60 frs. Brazylia: Książnica Polska, Caixa Postal 5201, Rio de Janeiro; ks. dr Antoni Łatka, Praça Cel. Fernando Prestes No. 233, Sao Paulo. Dania: Ks. O. J. Szymaszek, Skt. Annae Kirke, Hans Bogbinders Alle 2, Kobenhavn S. Francja: Ks. K. Stolarek, 29 Av. du Gen. Leterc, La Ferté-sous-Jouarre, (S. et M.), JC 5 603 40. Holandia: B. Galas, Fagelstraat 15A, Breda. Kanada: Canadian Mosaic Publishers, Suite E, 4118 Western Av., Montreal 6; International Book Service, 57 Queen St. W., Toronto. Niemcy: St. Mikiejuk, Gablonzerstr. 7/I, 13b) München 45. Pren. kwart. 5.40 MD. Norwegia: B. Łubiński, Kongesgat 2, Moss. Stany Zjedn.: „Gryf Publication”, 296 Sheridan Av., Albany, N.Y.; M. Kijowski, 380 North Av., Dunellen, N.J.; „Pomoc” — Eksport-Import, 761 Filmore Ave., Buffalo 12, N. Y.; S. J. Rozmysłowicz, 5718 St. Lawrence, Detroit 10, Mich.; Mme J. Stojanowska, 424 Ave. „E”, Bayonne, N. J.; Veritas Americana, 134-09 Cherry Ave., Apt. 3B, Flushing 55, N.Y. Szwajcaria: Mme B. Gierszewska, Wallisellenstr. 483, Zurich, konto pocztowe: Zurich VIII 50734. Pren. kwart. 3.75 fr. Szwecja: Mgr B. Z. Kurowski, Lund, Revingegatan 13B. Pren. kwart. 4.80 krs. Włochy: Antoni Grzybowski, via Michele Amari 52, Roma.

dzieci młodemu katolikowi, aby zrezygnował z nadarzającej się okazji apostołstwa, w stosunku do własnej narzeczonej...

Osobiście w postawie Polonusa widzę brak miłości bliźniego i pychę, że on jest lepszy od osoby przez siebie potępionej, i od całego tłumu. Mimo woli nasuwa się skojarzenie z Pisma Św.: Dziękuję Ci, Boże, że nie jestem jak ten celnik itd.

I. Dworzański

z autorem i niektóre polskie pisma to robią. Ale ostatecznie można by się pogodzić z tym, że zrobi to redakcja ze względu na czas i dodatkowe koszty korespondencji. Skróty jednak nie mogą oznaczać przeróbek i wstawek. Nie można traktować autora jak sztućki, a jego artykułu, jak zadania szkolnego. Obarcza się go w ten sposób odpowiedzialnością tak za to, co napisał i podpisał, jak i za to, co mu do tekstu wstawiono, lub zmieniono. Przykreść, zrobiona autorowi jest większa jeszcze, gdy mu się wsadza do tekstu słowa, których nie używa, lub do których ma uprzedzenie. Zastępowanie wyrazów obcych przez swojskie nie jest trafne, bo wyrazów tych używa się celem uniknięcia powtórzenia, a zresztą wartość uczuciowa tych synonimów nie jest zawsze ta sama. Jeżeli rytm pisania autora i „poprawiającego” nie jest identyczny, wstawione słowa są widoczne. Istnieje też niebezpieczeństwo wsadzenia autorowi do artykułu wyrażań z „żargonu dziennikarskiego” (jak mawiał mój polonista z czasów gimnazjalnych).

Czytelnik chce sobie wyrabiać samodzielnie sąd o autorze na podstawie tego, co autor napisał, bez przyprawy redakcji. Czasem z jakiegoś słowa, używanego już tylko przez pokolenie urodzone w poprzednim wieku, odgadnie wiek pisarza, czasem jakiś regionalizm nasunie mu myśl o dzielnicy, z której autor pochodzi, niekiedy zwróci uwagę charakterystyczną interpunkcją. (André Gide np. stawał zbyt mało przecinków, ale na szczęście nikt ich nie dopisywał.)

Na zakończenie jedno życzenie pod adresem „Życia”: przy doborze materiału, gdy dany autor odpowiada wszystkim wymaganiom pod względem treści, formy, aktualności, ideologii itp., niechże redakcja daje pierwszeństwo tym, którzy nigdzie jeszcze nie drukowali.

Jadwiga Pomorska
(Bruksela)

SZAFOWANIE KRWIĄ

W wielkanocnym numerze ŻYCIA ukazał się artykuł p. Z. Ławrynowicza p.t. „Pokolenie bez przdziału”.

Autor pisał go na inny temat, ale mimochodem poruszył pewne zagadnienie historyczne w sposób, jak mnie się wydaje, nie przemyślany. Wymienił on jednym tchem Samosierrę, powstania i Monte Cassino, jak gdyby to można było brać pod jeden strychulec. Co innego jest Samosierra i Monte Cassino, a całkiem co innego powstania.

Nie przypuszczam, by pisząc „Samosierra”, autor artykułu miał na myśli dosłownie bohaterską szarżę szwadronu kawalerii, i nic ponadto. Raczej sędzę, że ta nazwa użyta jest jako „pars pro toto” i oznacza wkład narodu polskiego do wojen napoleońskich. Nie wyobrażam sobie traktowania tego epizodu w oderwaniu od całości zagadnienia.

Związanie losów narodu polskiego z Napoleonem było wynikiem świadomej decyzji przywódców narodu, za którymi stało całe społeczeństwo polskie. Nie było innego wyboru. W ówczesnej sytuacji był to jedyny sposób poruszenia sprawy polskiej z martwego punktu. Nie mieliśmy wówczas nic do stracenia, a wszystko do wygrania. Co prawda, rachuby zawiodły... mimo zawodów położenie narodu polskiego po kongresie wiedeńskim było bez porównania lepsze niż bezpośrednio po rozbiorach.

„Samosierra” posunęła sprawę polską nie o jeden krok, lecz co najmniej o staję. Autor twierdzi, że nie posunęła o krok. Poza wymienionymi korzyściami konkretnymi, „Sa-

mosierrą” oczywiście w tym szerszym tego słowa znaczeniu, przyniosła nam doniosłe korzyści moralne. Była ona ceną odkupienia win narodu w stosunku do ojczyzny. Przywróciła nam dawno utraconą wiarę w siebie i szacunek ludzki...

„Samosierra”, wciąż w znaczeniu skrótu, wpłynęła na ważną decyzję polityczną, dotyczącą narodu polskiego, a powziętą w zgorą 100 lat po upadku Napoleona.

Ogłoszenie niepodległości Polski przez Mocarstwa Centralne, w dniu 5 listopada 1916 roku, było nieudaną próbą powtórzenia historii. Niemcy chcieli, wzorem Napoleona, zjednać sobie Polaków i w ten sposób zyskać cennego sprzymierzeńca do wojny z Rosją.

...Ostatecznie zadecydowała Kościuchnowka. ...Podobnie jak Samosierra, Monte Cassino było wynikiem przemyślanej decyzji, powziętej z pełnym poczuciem odpowiedzialności.

...Wprawdzie, jak dotąd, Monte Cassino nie przyniosło Polsce bezpośrednich, konkretnych korzyści, to jednak, podobnie jak „Samosierra”, przywróciło nam zachwianą wiarę w siebie i szacunek ludzki. Pod Monte Cassino nie biliśmy się dla nikogo, tylko dla siebie.

O ile chodzi o powstania, to nie były one wynikiem przemyślanej decyzji, powziętej z poczuciem odpowiedzialności, lecz przeciwnie, wybuchały przypadkowo z inicjatywy czynników mało lub zgoła nieodpowiedzialnych. Powstania cofnęły sprawę polską niemal do punktu, skąd wystartowaliśmy w dobie napoleońskiej...

...O ile chodzi o straty w ludziach, poniesione w naszych walkach, to jermiaszowe żale autora artykułu nad tymi stratami są nieuzasadnione. Jedynie w jednym wypadku przyznaję mu słuszność. Masakra ludności w wyniku powstania warszawskiego — to jest rzeczywiście koszmarnie. Natomiast, o ile chodzi o nasze straty w polu, to chwala Bogu, nie są one duże.

Z tego co czytamy w artykule wynikałoby, że grozi nam wytepienie, o ile będziemy dalej tak szafować krwią. Ale co mają mówić narody, które się naprawdę straszliwie wykrawiały? Np. Amerykanie w czasie wojny secesyjnej, Niemcy i Rosjanie w czasie obu wojen światowych, a chociażby nasi gospodarze brytyjczy w pierwszej wojnie światowej...

Śmiało można powiedzieć, że przeciętny pułk piechoty miał w czasie pierwszej wojny światowej kilkakrotnie więcej zabitych niż wynosiły nasze straty pod Monte Cassino...

Może to porównanie pomoże nam sprawdzić całe zagadnienie do właściwych proporcji.

Adam Jarosiński

ARTYKUŁY POLONUSA

Artykuł Polonusa w nr. 3 ŻYCIA „Delikatna sprawa” świadczy, że nie ma on chrześcijańskiego podejścia do ludzi. Opisując trudności katolickiej pary narzeczeńskiej i znając tylko jedną osobę z tej pary, umieścił nieznaną sobie osobę w szufladce potępionych, a dla drugiej ma tylko jedną radę, aby narzeczeństwo zerwała.

W tym samym numerze ŻYCIA jest wyjątek z przemówienia Ojca św., pt. „Odpowiedzialność świeckich”. Cytuję z niego: „Obok ducha apostołstwa, który ich ożywia muszą oni posiadać zaletę, bez której uczyniliby więcej złego niż dobrego, a mianowicie: takt”.

Zdaje się, że Polonus nie ma ani ducha apostołskiego, ani taktu. Polonus chce ra-

Rud

SUBSKRYPCJA „BIBLIOTEKI POLSKIEJ“
NA CZERWIEC 1958

DANUTA MOSTWIN
DOM STAREJ LADY

Powieść

CENA w przedpłacie: szyl. 10/3; dol. 1.50; fr. fr. 615.
ZAMÓWIENIA PRZYJMUJE «VERITAS»

**APTEKA
JEST JEDYNĄ PLACÓWKĄ
KTÓRA MA PRAWO
PRZYGOTOWYWAĆ I WYDAWAĆ
LEKI NA RECEPTY**

**JEŚLI LEKI
TO Z APTEKI**

ADRES APTEKI GRABOWSKIEGO:

M. B. GRABOWSKI
175 DRAYCOTT AVENUE, LONDON, S. W. 3.

MASZYNY DZIEWIARSKIE

GIROTEX 360 podwójna	£ 52.15.0
GIROTEX 400 podwójna	£ 58.15.0
TEXILIA TV4 podwójna	£ 48.10.0
TEXILIA 402 podwójna	£ 60. 0.0
PASSAP M201 pojedyn.	£ 31.19.0
z dostawką	£ 49.18.0
TRICOLETTE podwójna	£ 46. 0.0
ORION 356 podwójna	£ 45. 0.0
STRIGO 360 podwójna	£ 44. 0.0
RAPIDEX 320 podwójna	£ 44. 0.0
KNITMASTER 4500 poj.	£ 27.17.6
z dostawką	£ 38.15.0
RAPIDEX 171 pojedyn.	£ 22. 0.0
ASK 181 pojedyncza	£ 22. 0.0

WŁÓCZKA „LEE“

100% wełna Botany 3 lub 4-skret-
na osiąga do 600 zł. za funt, cło
50 zł. 1 lb. — 16 motków po 1 oz.
— 37 6. Również Double Knitting
i Baby Wool. Zestaw 78 różnych
kolorów na żądanie.

HASKOBA

121 Earls Court Rd., London, S. W. 5.
Tel. FRE 7888.

LEKI DO POLSKI
HASKOBA LTD.

121, Earl Court Road, London, S. W. 5.
Cennik (400 pozycji) paczek
NA ŻĄDANIE.



**OSZCZĘDZAJ
NA
WŁASNY
DOM**

Każde
£ 100. daje rocznie **£ 4.0.0**
lub **£ 4.5.0**

Lokuj swoje oszczędności bezpiecznie
na dobry procent — wolny od podatku.
4% lub 4¼ rocznie

POMÓŻ SOBIE I INNYM RODAKOM
W NABYCIU WŁASNEGO DOMU.
Żądajcie informacji; można pisać po polsku.

GUARDIAN BUILDING SOCIETY

2 Southampton Row, LONDON, W.C. 1.

Członek Związku Building Society korzysta
z usług bankowych NATIONAL BANK LTD.
1/3 New Oxford Street, London, W. C. 1.

Lokaty gwarantuje
88 LAT ISTNIENIA, £ 7.000.000 MAJĄTKU.
zwrot lokat na żądanie (w parę dni).



POLSKA — W. BRYTANIA — POLSKA

Bilety kolejowe (również sypialne), lotnicze, morskie
o r a z

ZASWIADCZENIA POKRYCIA DEWIZOWEGO

dla otrzymania paszportu w Polsce

wystawia

na terenie Wielkiej Brytanii

POLSKIE BIURO PODRÓŻY

FREGATA

(Oddział spraw krajowych)

122 WARDOUR ST., LONDON, W.1. Tel. GER 2522

TRANSPORT RODZIN Z POLSKI DO:

USA, KANADY, AUSTRALII, PŁD. AFRYKI